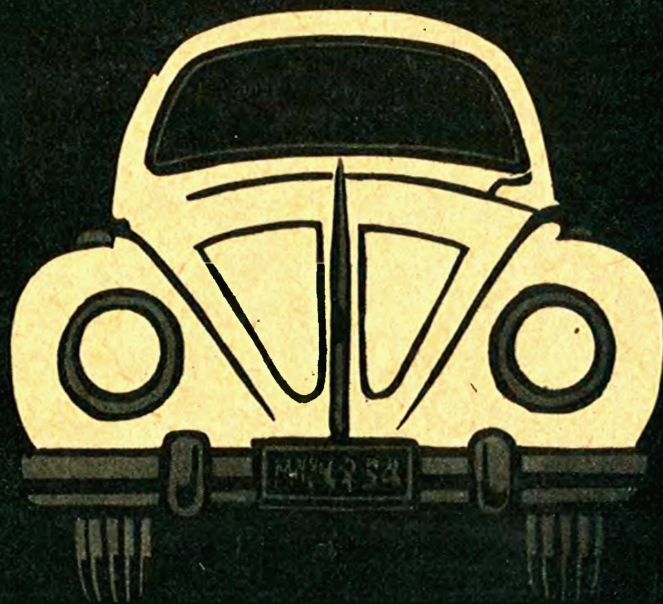


Barbara Krzysztoń

Agata



Barbara Krzysztoń

Agata



ISKRY • WARSZAWA • 1974

Po burzliwym sezonie letnim Rabka we wrześniu zapada w sen jesiennie-zimowy. Kto zechciałby w grudniu lub w lutym spędzić urlop w tej małej miejscinie, położonej na zboczach Grzebienia i Bani? Poronin, Bukowina – a, to zupełnie co innego. Tam się jeździ.

Tymczasem Rabka jest o wiele piękniejsza w zimie. Wygodnie, cicho, górki wcale nie gorsze niż w sławnej Bukowinie, puste lodowisko, pusta Szumiąca z działającym wyciągiem narciarskim, las w śniegu, zimowa trasa – na Turbacz, puste sklepy i kawiarnie. Odważnych wczasowiczów można policzyć na palcach. Z góry wiadomo, że są to ludzie poszukujący spokoju i ciszy – prawdopodobnie nieszkodliwi dziwacy.

Przez środek „Zdroju” prowadzi ulica Parkowa, przy której znajdują się co ważniejsze obiekty. Z jednej strony ciągnie się park, z drugiej domy wczasowe i pensjonaty. Tutaj oczywiście mieści się Zarząd Zdrojowy i poczta. Tuż przy poczcie (no bo gdzież by indziej) ulica Poczтовая – krótka ślepa uliczka, zakończona kępą świerków. Na tle tego miniaturowego lasku stoi mały, uroczy domek państwa Rawiczów. Właściciele – para emerytów – mieszkają w dwóch pokojach z kuchnią na parterze. Oczywiście w zimie dom świeci pustkami.

Jednak w tym roku państwo Rawiczowie mieli lokatorkę, młodą panią z Krakowa, która od dwóch tygodni zajmowała mały pokoik, również na parterze. Obecność sympatycznej, spokojnej krakowianki była dla gospodarzy atrakcją – nie mówiąc już o pewnym bądź co bądź dochodzie, na pewno nie do pogardzenia w „martwym sezonie”. Wprawdzie pani Rawiczowa wolałaby może jakąś bardziej towarzyską osobę gościć

u siebie, ale powściągliwość lokatorki mogła mieć również swoje dodatnie strony. Agata Domańska („Mój Boże! Kto dzisiaj używa takiego imienia?”) zajmowała pokój z osobnym wejściem z klatki schodowej. Pokazywała się rano, żeby przygotować śniadanie i skorzystać z łazienki, zamieniała kilka słów z gospodynią, uśmiechała się przepraszająco i zniknęła bezszelestnie. W ciągu dnia pojawiała się równie cicho w kuchni po wodę do herbaty. Staruszkowie zwykle spędzali wieczory przy telewizorze, ale pani Agata nigdy nie skorzystała z zaproszenia.

— Może to i lepiej? — pocieszali się nieraz. — Mamy za to spokój.

W sobotę padał śnieg i pan Rawicz musiał włożyć swój stary kozuszek, aby uprzątnąć ścieżkę prowadzącą do furtki. Z daleka zobaczył młodą osobę ubraną jak na Rabkę dość ekstrawagancko. Miała na sobie ciemnozielony płaszcz „maxi”, obsyty czarnym futerkiem, na nogach długie, czarne, obcisłe buty, a na głowie coś na kształt śmiesznego berecika. Była szczupła i zgrabna. Szła powoli, jakby szukała właściwego domu.

Ciekawe, do kogo ona idzie — pomyślał Rawicz i chociaż ścieżkę już uprzątnął, zaczął uklepywać śnieg po bokach, zerkając w stronę nadchodzącej. Nieznajoma była już zupełnie blisko i pan Rawicz mógł teraz stwierdzić, że jest wyjątkowo ładna. Oparł się na swojej łopacie i z uśmiechem przyglądał się młodej kobiecie.

— Dzień dobry. Czy to dom państwa Rawiczów? — głos miała również bardzo miły.

— Tak, Rawiczów. A o co chodzi?

— Czy u państwa mieszka pani Agata Domańska?

— Tak. Ale nie ma jej w domu. Pani przyjechała z Krakowa? Z wizytą?

— Tak. Jestem koleżanką Agaty. To straszne, że jej nie zastałam. Ale chyba niedługo przyjdzie? Może na obiad? Niestety dzisiaj wieczorem muszę wracać do Krakowa.

– Pani Agata jada obiady poza domem. Zresztą niedaleko. Tutaj zaraz jest restauracja „Pod Gwiazdą”. Koło pierwszej pani Domańska tam zawsze bywa, ale może pani wejdzie i napije się herbaty? Proszę bardzo.

– Ależ nie. Nie chciałabym robić kłopotu – spojrzała na zegarek – dopiero jedenasta. Gdzie ona może teraz być?

– Rano wychodzi na spacer. Trudno mi powiedzieć, w jakim kierunku, ale wiem, że często wstępuje na kawę do „Zdrojowej”. Gdyby pani jej tam nie zastała, proszę wrócić do domu. Naprawdę proszę się nie krępować.

Objął jeszcze, jak się idzie do „Zdrojowej”.

– Od nas wszędzie jest blisko – stwierdził z zadowoleniem.

Młoda osoba uśmiechnęła się, podziękowała i odeszła w kierunku poczty. Po powrocie do domu musiał trzykrotnie opowiedzieć dokładnie żonie, jak wyglądał niespodziewany gość.

– Och! O wiele młodsza i przystojniejsza. Zresztą sama zobaczysz, bo na pewno ją przyprowadzi. Chociaż kto wie, może wejdzie tak jak zwykle cichutko albo w ogóle się nie pokaże? Jeżeli tamta chce wracać wiecznym autobusem... O której jest ostatni autobus do Krakowa?

– Przecież nie będzie jej trzymała cały dzień poza domem – oburzyła się pani Rawiczowa. – Wiesz, ona jest trochę dziwna.

– Dziwna! Dziwna! Dlaczego zaraz dziwna! Że z tobą nie plotkuje! Babskie gadanie.

Ale i pan Rawicz był jakby zły na lokatorkę. Wreszcie nikt jej się nie narzuca. Nie musi tak stronić od ludzi.

Koło dwunastej listonosz przyniósł awizo dla Agaty Domańskiej.

– Zawsze mówiłam, żebyśmy założyli telefon – powiedziała pani Rawicz. – Goście nie musieliby latać na pocztę.

– Tak, tak, a cały rok płaciłabyś rachunki? Jakby był w domu, wszyscy by dzwonili, czy potrzeba, czy nie. Poczta niedaleko, parę kroków!

Pani Rawicz kręciła się niespokojnie po kuchni.

– Na pewno coś ważnego. A jak nie wróci na czas?

– Przestań się tym wreszcie zajmować! Wezwanie jest na

dziewiątą wieczór. Po obiedzie zawsze wraca do domu. Dlaczego by miała akurat dzisiaj nie wrócić?

Jednak obydwójce nasłuchiwali, czy lokatorka nie wraca. Mijały godziny, a pani Agata się nie pokazywała. Wreszcie o czwartej wróciła razem z koleżanką. Weszły obydwie do kuchni. Nieznajoma zrobiła na pani Rawicz jak najlepsze wrażenie. Przedstawiła się (nazywała się Mirosława Pelska), podziękowała panu Rawiczowi za pomoc. Była miła, uśmiechnięta i w przeciwieństwie do swojej przyjaciółki dosyć rozmowna. Zachwyciła się Rabką, domkiem Rawiczów, koniecznie chciała wiedzieć, ile pokoi odnajmują, czy trzeba wcześniej rezerwować miejsce i w ogóle wszystko ją interesowało. Wreszcie oświadczyła, że z rozkoszą spędziłaby u nich dwa tygodnie pod koniec lutego, ale oczywiście gdyby jej się udało wygoszpodarować jakiś urlop, to wcześniej napisze do pani Rawiczowej, podając dokładną datę przyjazdu.

Agata była (nawet jak na siebie) wyjątkowo małowówna. Nastawiła wodę na herbatę, pokręciła się po kuchni, wreszcie wyraźnie niezadowolona przerwała miłą pogawędkę pań. Po prostu oświadczyła, że herbata jest już gotowa.

— Niech pani nie zapomni o telefonie — zawołała za nią Rawiczowa.

— Nie, na pewno nie zapomnę — odpowiedziała i zdawało się, że jak najszybciej chce wyjść z kuchni, jakby w obawie przed dalszą rozmową.

— Pani Agato, chciałbym jak zwykle o ósmej zamknąć bramę. Niech pani weźmie ze sobą klucz.

— Dobrze, dziękuję.

— Będziemy oglądali telewizję i możemy nie usłyszeć, jak pani wróci, więc niech pani przypadkiem nie zostawi otwartej bramy.

— Proszę się nie martwić, będę uważała.

— Do widzenia — powiedziała Mirka. — Zresztą jeszcze wpadnę się pożegnać.

Odeszły pobrzękując filiżankami z herbatą.

— Co za miła osoba. Grzeczna, pogodna i taka ładna.

— Ładna, ładna... po prostu młoda — poprawił pan Rawicz,

który na każdy temat miał trochę inne zdanie.

– Widziałeś, jak Agata zaczerwieniła się, kiedy jej dałam awizo?

– Może była zła, że ta druga widziała.

– O Boże! A skąd ja mogłam wiedzieć, że to tajemnica?

– Przecież wcale nie mówiłem, że to tajemnica! Zawsze musisz się uczeplić jakiegoś słowa!

Usiedli, trochę na siebie zagniewani, przed telewizorem.

Mirka istotnie przysłała się pożegnać o wpół do siódmej.

– Bardzo mi było miło państwa poznać. Tak mi się tu podoba, że aż szkoda wyjeżdżać.

– Jutro niedziela, niech pani zostanie.

– Nie mogę, naprawdę żałuję. – Położyła rękawiczki na stole i zaczęła czegoś szukać w torebce. – Gdzieś zapisałam, o której mam pociąg.

– Zaraz pani powiem, niech pani nie szuka. Za piętnaście siódma odchodzi pociąg do Chabówki, a w Chabówce złapie pani pośpieszny z Zakopanego do Krakowa.

O siódmej dwadzieścia.

– O jej, czy zdążę?!

– Musi się pani pośpieszyć. Ale zdąży pani na pewno, tylko niech pani już leci.

– Do widzenia! Bardzo dziękuję!

– Pani Agata nie odprowadzi pani?

– Prosiłam ją, żeby się położyła. Trochę ją głowa boli. Do widzenia.

Oczywiście zostawiła na stole rękawiczki Pan' Rawicz musiał sobie przypomnieć młodzieńcze lata i gonić roztrzepaną pannę. Mirka była już przy furtce ogrodowej. Jeszcze raz podziękowała, zawołała „do widzenia”, pomachała ręką i pobiegła w górę uliczki.

– Jak będziesz łąził w kapciach po śniegu, to znowu się pochorujesz – urągała pani Rawiczowa.

– Daj już spokój – mruknął mąż. Ale obydwójce byli zadowoleni. Jakoś dzień przeszedł szybciej, coś się przecież wydarzyło. Oglądali w skupieniu program, tylko kiedy zegar wybił siódmą, żona westchnęła – „ciekawa jestem, czy

zdążyła?” -- i poszła szykować kolację, bo o ósmej miał być film w telewizji.

Lidka Rogalska, przystojna, dobrze zbudowana pani w średnim wieku wkroczyła do orbisowskiej „Piwnicy” zaraz po ósmej. Towarzyszył jej urodziwy młody człowiek o wyglądzie kulturysty i uśmiechu prowincjonalnego amanta, któremu „żadna się nie oprze”. Stolik, koniak, „kazaczok”. Trzeba przyznać, że pani Lidka miała „dobre tempo”, zwłaszcza jeśli chodzi o alkohol.

Mały parkiet „Piwnicy” powoli zapełniał się tańczącymi parami. Przed dziewiątą zrobiło się zupełnie tłoczno. Wtedy właśnie zauważyła Danusię Nowak, sekretarkę z instytutu, którego dyrektorem naukowym był profesor Rogalski, czyli po prostu jej mąż.

– To taka mała plotkareczka z instytutu – powiedziała do swojego partnera, obejmując go wyzywająco za szyję. Danusia była w jakimś większym towarzystwie. Z ukradkowych spojrzeń jej znajomych można było łatwo się domyślić, że natychmiast skomentowała zachowanie profesorowej. Była podniecona, zaróżowiona i w ogóle w „szampańskim-” nastroju. Pani Lidka starała się ją ignorować, toteż ostatkiem dobrej woli powstrzymała się od jakiejś cierpkiej uwagi, kiedy poprawiając makijaż w toalecie zobaczyła w lusterku rozpromienioną Danusię.

– Pani profesorowa! Jak się cieszę, że panią widzę. Broszę się nie gniewać, ale ja zawsze panią podziwiam i w ogóle ubóstwiam!

– Pani bardzo miła – powiedziała Rogalska lodowatym tonem i pośpiesznie zaczęła chować kosmetyki do torebki.

– Prawda, jak tu cudownie! – zaszczebiotała Danusia, wykonując grzebieniem coś dziwnego koło swojej głowy. – Zakopane w zimie jest bombowe! – Odwróciła się nagle w stronę pani Lidki. – Cały instytut bawi się w tym roku na Podhalu!

Nagle profesorowej zdawało się, że Danusia uśmiecha się w

jakiś szczególny, złośliwy sposób.

Co mnie to obchodzi – pomyślała, ale coś ją podkusiło, żeby zapytać:

– Cały instytut? To znaczy kto?

– Och, po prostu tłum „naszych” tu zimuje. Wczoraj na Krupówkach spotkałam Ziembickiego, na Bukowinie siedzi paczka z Andrzejem Drawskim na czele, nawet nasza Agatka... Chyba się jednak opaliłam? – zapytała wpatrując się w swoją zaczerwienioną buzię.

– Nasza Agatka? – wycedziła pani Lidka z przekąsem.

Bezczelne ścierwo – pomyślała i zatrzasnęła z impetem torebkę.

– Agata Domańska – stwierdziła z pewnym zdziwieniem Danusia.

– Także jest w Zakopanem?

– No, niezupełnie, ale w każdym razie na Podhalu. A pan profesor? Nie przyjedzie? Mój Boże, taki zapracowany...

Nagle pani Lidka zdecydowała się.

– Danusiu, chodźmy już stąd. Zapraszam panią na koniak.

– Och! Cudownie! Uwielbiam koniak! – zgodziła się z entuzjazmem.

Danusia z zachwytem sadowiła się przy barze, starając się robić taką minę, jakby co drugi dzień pijała koniak z profesorową. Młody „kulturysta” zaczynał się już potężnie nudzić, natomiast towarzystwo Danusi z zainteresowaniem obserwowało dwie kobiety, które sprawiały wrażenie zakochanych w sobie przyjaciółek. Pan Zdzisio chciał koniecznie przyłączyć się do pan, ale Lala chwyciła go za rękaw oświadczając, że go nie puści, choćby nie wiem co. Kiedy wreszcie pani Lidka wróciła do stolika, rumieniec na jej twarzy świadczył o ilości wypitych kolejek, a zły błysk w oczach nie wróżył nic dobrego.

– Rysiu, wychodzimy – oświadczyła stanowczo.

– Kochanie, jest jeszcze bardzo wcześnie – zaprotestował młody człowiek.

– Wychodzimy natychmiast. Muszę się przewietrzyć – roześmiała się nerwowo. – Przejazdźka dobrze mi zrobi.

– Kotek, chyba nie zamierzasz urządzić w nocy jakiegoś rajdu, tym bardziej po alkoholu.

– Możesz ty prowadzić, przecież nie jesteś pijany. Zresztą nie ma o czym mówić, idziemy.

Szosa zakopiańska była prawie pusta. Rysio jechał na pełnym gazie. Był po prostu wściekły. Nie podobała mu się ta cała eskapada. Początkowo usiłował udawać urażonego kochanka.

– Mogłabyś przynajmniej mnie nie wciągać w swoje małżeńskie sprawy – powiedział obrażonym tonem. – Nie wiedziałem, że jesteś aż tak zazdrosna.

– Nie bądź śmieszny! Nie jestem wcale zazdrosna o Adama ani on o mnie. Od lat te sprawy zostały między nami uzgodnione. Ale nie zniosę tej rozplotkowanej atmosfery, tej aury skandaliku. Byłe pinda bawi się moim kosztem. Powiedziałam Adamowi... A zresztą, głupstwo.

– Wracamy.

– Nie, nie wracamy! Byłam przekonana, że to już stara, przebrzmiała historia. Myślałam, że interesuje się teraz zupełnie inną panią.

– Dlaczego przejmujesz się jakimiś głupstwami? Przecież ta dziewczyna była całkiem pijana. Zresztą wcale nie chcę brać udziału ani nawet być świadkiem jakiejś awantury.

– Nie będzie żadnej awantury. Chcę tylko coś sprawdzić. Adam zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem, że nie może przyjechać na niedzielę, tak jak obiecywał. Jestem teraz przekonana, że jest u niej. Pojedziemy tylko pod dom i sprawdzimy, czy jego fiat nie stoi gdzieś w pobliżu.

Rysio zatrzymał wóz.

– Kotek, jesteśmy już blisko Chabówki. Proszę cię, wracajmy. To naprawdę nie ma sensu.

– Och, daj spokój. Zupełnie nie rozumiesz, o co chodzi. Adam jest naiwny jak dziecko. Od lat wszystkie jego asystentki podkochiwały się w nim. Schlebiali to jego próżności. Teraz, kiedy stoi u progu światowej kariery, każda z tych pań wyobraża sobie, że zdoła go zatrzymać przy sobie. To jest

szansa dla takiej dziewczyny. Nie rozumiesz tego? Skończyły się niewinne flirty. Chodzi o bilet do Genewy, Paryża, Bóg wie gdzie jeszcze.

— Wolisz wykorzystać ten bilet dla siebie?

Pani Lidka roześmiała się głośno i nieprzyjemnie.

— Jesteś bezczelnym idiotą. Jedziemy.

Rysio nie odezwał się już więcej. W Chabówce ostro skręcił w boczną drogę do Rabki. Koło rabczańskiej stacji kolejowej zatrzymał się znowu.

— No i gdzie teraz?

— Podjedź pod dworzec. Zapytam jakiegoś kolejarza.

Z fantazją objechał klombik przed dworcem i zahamował gwałtownie. Jak na zamówienie w progu stanęło dwóch mężczyzn. Jeden mocno zawiany tarł drugiego za rękę. Odwrócili się w stronę nadjeżdżającego samochodu. Pani Lidka uchyliła drzwiczki.

— Przepraszam panów, gdzie jest ulica Pocztowa?

— Pojedzie pani prosto pod górę. Potem wzdłuż parku i to będzie druga przecznica w lewo. Koło poczty oczywiście.

— Dziękuję. Jedziemy.

Nietrudno było znaleźć Pocztową. Rysio zatrzymał samochód u wylotu pustej, zaśnieżonej uliczki. Rabka spała, jak przystało na porządne małe miasteczko.

— Który numer?

— Zaczekaj tu. To tylko kilka domów. Sama poszukam.

Wysiadła, mocno strzelając drzwiczkami. Rysio obserwował ją, jak szła wydeptaną ścieżką w swoich lakierkach połyskujących w świetle latarni. Widział z daleka, jak zatrzymała się przed ostatnim domem, a potem pchnęła furtkę i weszła do ogródka.

— Oczywiście sprawdzi, czy samochód nie stoi z drugiej strony domu – mruknął wściekły i zapalił papierosa.

Czas mu się cholernie dłużył. Było zimno i śnieg znowu zaczął padać. Wymyślał sobie w duchu od idiotów:

Ale się ubawiłem, rany boskie, ale frajda.

Właśnie zapalał następnego papierosa, kiedy zobaczył z daleka Lidkę. Szła szybko, o ile było to w ogóle możliwe na

zaśnieżonej ścieżce, powiewając polami rozpiętego futra. Kiedy była już blisko, zapuścił motor. Usiadła, zadyszana, koło niego.

— Jedźmy, jedźmy... — szczykała zębami.

Zrobiło mu się jej nie wiadomo dlaczego żal.

— Zmarzłaś?

— Okropnie.

— No i co?

— Nie ma go. Nie ma żadnego samochodu.

— No, widzisz. Jesteś sina z zimna. Ale za to wytrzeźwiałaś.

Roześmiał się i pocałował ją w lodowaty policzek.

Kretyn — pomyślał — po co ja się w to pakuję?

Byli już z powrotem koło dworca. Dodał gazu.

Niedziela zapowiadała się wyjątkowo pogodnie. Przy śniadaniu wspominali sympatyczną panienkę z Krakowa, a potem pan Rawicz poszedł znowu odgarnąć śnieg w ogródku. O dziesiątej ktoś energicznie zapukał. W progu stał mężczyzna w krótkim kożusku.

— Czy u państwa mieszka pani Domańska?

Pan Rawicz był tak zdziwiony, że w pierwszej chwili nie odpowiedział. Nagle okazało się, że ich lokatorka nie jest takim odludkiem, na jakiego wyglądała!

— Domańska! Agata Domańska — powtórzył młody człowiek.

— Tak, tak! Te drzwi naprzeciwno. Proszę zapukać, ale nie wiem, czy jest w domu.

— Na pewno jest! — zawołała z kuchni pani Rawiczowa. — Jeszcze chyba nie wyszła.

— Skąd wiesz, że nie wyszła?

— Nie było jej rano. Przecież przychodzi robić sobie śniadanie. I do łazienki też nie szła jeszcze, i wody nie grzała...

Tymczasem młody człowiek już od dłuższej chwili pukał do pokoju Agaty.

— Niech pan głośniej puka, na pewno jeszcze śpi — upierała się Rawiczowa.

— No przecież widzisz, że nie otwiera!

— Mocno śpi, trzeba inaczej — Rawiczowa weszła na schody i

sama zapukała, a kiedy nikt nie odpowiedział, kilkakrotnie szarpnęła klamkę.

— O Boże, może jej się coś stało!

— Nie opowiadaj, stara, głupstw! Widocznie nie ma jej w domu.

— Przecież mówię ci, że nie wychodziła. Chodźmy, zajrzemy przez drzwi balkonowe.

Wszyscy troje wyszli na dwór, obeszlili dom dookoła i po trzech schodkach weszli na niewielki balkonik. Przez szyby zasłonięte gęstą firanką nie można było dojrzeć wnętrza pokoju.

Nieznajomy nacisnął klamkę, ale okazało się, że drzwi były zamknięte.

— Gdzie jest klucz?

— Jak to gdzie? Na pewno w środku. Niech pan zostawi. Zamknięte, to zamknięte

— W pokoju pali się światło! Musiało się coś stać. Wybiję szybę i otworzę drzwi.

— Nie ma mowy! — zdenerwował się Rawicz. — Po prostu wyszła na spacer. Od razu robicie taki gwałt, jakby się Bóg wie co stało.

— Ale ty jesteś uparty! Nie wychodziła!

— Przestań już to samo powtarzać w kółko! Przynies z szufladki zapasowe klucze, może któryś będzie pasować!

Po kilku minutach szamotania się z zamkiem drzwi nagle ustąpiły. Nieznajomy pchnął je gwałtownie, szarpnął firankę i na chwilę znieruchomiał. Rawiczowa krzyknęła równocześnie z obcym mężczyzną.

— Matko Boska!

— Agata!

Rawiczowa stała w progu, jakby nie mogła się poruszyć. Na tapczanie leżała nienaturalnie skrzyżowana Agata, ubrana w ciepły sweter i grubą spódniczkę. W zaciśniętej ręce trzymała brzeg koca zwisającego na podłogę. Tapczan był nie zaścielony, obok na stoliku paliła się nocna lampka, na krześle koło kaloryfera leżał rozłożony popielaty płaszcz z misia.

Nieznajomy wszedł do pokoju, nachylił się nad Agatą, chwycił ją za ramię i potrząsnął.

— Agato, Agato...

Potem odwrócił się do Rawiczów i powiedział bardzo cicho:

— Ona nie żyje.

Pierwszy odezwał się Rawicz.

— Co pan opowiada, to niemożliwe!

— Matko Boska! Jezusie Nazareński... — lamentowała jego żona.

— Uspokój się wreszcie! Co pan opowiada — powtórzył i chciał wejść do pokoju. Nieznajomy chwycił go za ramię i wyciągnął z powrotem na balkon.

— Niech pan tam nie wchodzi.

— Co mi pani... — Spróbował się wyrwać, ale natychmiast zrezygnował. — To niemożliwe, pan się myli...

— Ona nie żyje — powtórzył obcy.

Rawiczowa płakała. Stary spojrział na nią, jakby nadal nie rozumiał, o co chodzi.

— Przestań! — krzyknął z nagłą złością. — Idź po lekarza!

— Lekarz nic pomoże. Trzeba zawiadomić milicję. Czy jest u pana telefon?

— Nie ma. Można zadzwonić z poczty. — Spojrział nieufnie na mężczyznę. — Pan się na pewno myli. Właściwie kim pan jest? Ja muszę zobaczyć.

— Chodźmy do domu.

— Kim pan jest?

— Nazywam się Andrzej Drawski. Jestem znajomym... kolegą Agaty.

— O Boże, Boże! Co jej się mogło stać? A prosiłam panią Mirkę, żeby nie wyjeżdżała.

— O czym pani mówi?

— Była u niej wczoraj, gdyby z nią została na noc, może by... może by...

Andrzej patrzył na Rawiczową w osłupieniu.

— Mirka? Mirka Pelska?

— Przyjechała z Krakowa. To pewnie serce...

— Chodźmy. Musi mi pani powiedzieć, co tu się stało.

Starzy szli teraz pokornie z powrotem.

— Nic się nie stało. Była, pogadały i wyjechała.

— Niech pani postara się opanować. — Drawski posadził staruszkę na krzeselku w kuchni. — Pójdę zawiadomić milicję i zaraz wrócę.

Jednak nie odchodził. Kiedy zapalał papierosa, ręce mu drżały. Był blady i wcale nie wyglądał tak młodo.

Komendant Kozoń siedział w swoim pokoju i z pasją wpatrywał się w telefon. Zbliżała się już czwarta po południu, porucznik Jaworski z Nowego Targu przez trzy godziny przesłuchiwał świadków, potem gdzieś poleciał, a jego posadził przy telefonie. Porucznik uparł się, żeby zawiadomić Kraków.

Nic nie szkodzi. On się wygłupi, nie ja — pomyślał Kozoń. Był po prostu zły.

Że też musiała tutaj przyjechać, żeby sobie odebrać życie! Jakby nie mogła u siebie w domu odkręcić gazu albo coś w tym rodzaju.

Gdyby chodziło o kogoś z Rabki, już dawno by wiedział, co w trawie piszczy. Znał tu wszystkich. Wiedział, jacy ludzie mieszkają w „Zdroju” na górze, jacy na dole w starej Rabce, kto z kim się kłóci, kto kogo nienawidzi, jakie mają do siebie pretensje i w ogóle kto z kim i dlaczego. Nawet gdyby nie wiedział, mógłby z łatwością się dowiedzieć. Ale tej babki nikt nie znał. Pani doktor Agata Domańska, lat trzydzieści pięć. Niezamężna, pracuje w Instytucie Doświadczalnym Chemii Nieorganicznej w Krakowie. Koniec, kropka.

Kozoń otworzył teczkę. Na wierzchu leżał ten idiotyczny list. Przed godziną przyniosła go kelnerka ze „Zdrojowej”. Wiadomość o „wypadku” rozeszła się oczywiście lotem błyskawicy po całym miasteczku. Panna Kazia nie była pewna, czy to chodzi właśnie o tę panią, która od trzech tygodni przychodziła do niej na kawę, ale prawdopodobnie z czystej ciekawości przyleciała na milicję ze swoją rewelacją. No i zgodziło się. Rysopis, fotografia, wygląd tej drugiej, no i wreszcie imię — „Agata, ta czarna mówiła do niej Agata. To

śmieszne imię, prawda?”

Panna Kazia koniecznie chciała zobaczyć Agatę, ale porucznik Jaworski powiedział, że na razie nie trzeba.

— Wczoraj tak około jedenastej ta blondyna, to znaczy Agata, siedziała przy stoliku za choinką, piła kawę i coś tam sobie pisała – klepała podniecona panna Kazia. — I wtedy przyszła ta czarna. Widziałam ją po raz pierwszy, ale zwróciłam na nią uwagę, bo to była fajna babka. Miała fantastyczne buty. Lula odeszła specjalnie od expressu, żeby je obejrzeć. Obcisłe jak pończocha. No więc siedziały potem razem, bardzo długo. Podałam im jeszcze dwa razy kawę. Wyszły po drugiej. Wie pan, u nas w zimie kawiarnia jest prawie pusta. Trochę obgadywałyśmy tę czarną. Była w drugim płaszczu „maxi”, fantastyczny! Po ich wyjściu sprzątałam stół i znalazłam ten list pod cukiernicą. Widocznie jak tamta przyszła, to przerwała pisanie i list odłożyła na bok. A potem się zagadały. Wyleciałam za nimi, ale już ich nie dogoniłam. Pomyślałam, że jej oddam, jak dzisiaj przyjdzie. Ale nie przeszła. Lula opowiadała o jakiejś pani z ulicy Pocztovej, że do niej ktoś przyjechał, a dzisiaj znaleziono ją nieżywą, więc pomyślałam, że kto wie, czy to właśnie nie ona. Nie, nie słyszałam, o czym rozmawiały. Ta czarna była bardzo uprzejma. Jak jej podałam kawę, powiedziała: „Dziękuję, jest pani wspaniała”. Za każdym razem kiedy podchodziłam, uśmiechała się. Jak płaciły, powiedziała: „Tak miłej i szybkiej obsługi nigdzie nie spotkałam”. Miła, prawda?

No a list okazał się zupełnie zwyczajny. Żadna rewelacja. Z treści wynikało, że był pisany do siostry.

Kochana Siostrzyczko! Cudownie wypoczywam. Czują się znakomicie... Potem zachwyty na temat Rabki. Ze górk, że śnieg, cisza, spokój itd. itd. Zaczynam już tęsknić do ludzi, o chyba nieomylny znak, że wróciłam do formy. Bardzo się cieszę, że przyjedziesz do Krakowa. Andrzej zanudza mnie, żądając kategorycznej odpowiedzi. czy pójdziemy z nim na bal do Plastyków. Oczywiście nie mogłam się umówić bez porozumienia z Tobą, ale chyba pójdziemy? Prawda? Spotkałam wczoraj Jurka Walickiego i „Mamuta”. Nie wiem, czy ich pamiętasz – moi koledzy z Wydziału. Mieszkają w „Stasinie”. To jest Dom Pracy i Wypoczynku UJ-tu. Bardzo śmieszni chłopcy. Umówiłam się z nimi jutro na brydza. Kie... Tu list się urywał. Poniżej dopisane było – jakby w pośpiechu – jeszcze kilka słów. Okazało się, że Rabka wcale nie jest taka spokojna, jakby się wydawało. Chciałabym pozbyć się wszystkich kłopotów. Pójdę jutro na Luboń. Tam nikt mnie nie znajdzie. Za schroniskiem...

To wszystko. List był niestarannie złożony, na zewnętrznej stronie miał odbite kółko – widocznie cukiernica stała przedtem na czymś mokrym.

– No i co z tego – mruknął komendant Kozoń i zaczął przerzucać nagromadzone w teczce protokoły. Zeznanie Jolanty Paraś. Miała wczoraj wieczorem dyżur na poczcie. Owszem, przypomina sobie panią, która zgłosiła się na rozmowę z Krakowem. Rozmowa jest zresztą odnotowana, a tu jest awizo. Przed nocnym okienkiem czekało jeszcze czterech interesantów.

– Przyjmowałam właśnie telegram. Weszła jakaś kobieta w popielatym misiu. Nie znam jej. Nigdy jej przedtem nie widziałam. Nie wiem, może to ona. Nie potrafię powiedzieć, nie przyglądałam się. Panie poruczniku, niech pan przyjdzie do nas wieczorem na pocztę. Jest prawie ciemno. Świeci się tylko jedna żarówka, no i lampa na moim biurku. Była średniego wzrostu, miała na sobie popielaty płaszcz z misia, uszyty

niemodnie. Dosyć długi, szeroki, z olbrzymim kołnierzem. Była nim jakby owinięta, kołnierz miała postawiony, z przodu trzymała go ręką. Na głowie miała czapkę z jakiegoś puchatego futerka, spod czapki wystawała jasna grzywka. Podeszła do okienka i podała awizo. Nie, nie odezwała się. Była chyba zakatarzona albo płakała, bo odwróciła się bokiem i wycierała chusteczką nos. Zresztą nie wiem. Zgłosiłam awizo w centrali, a tej pani powiedziałam, żeby chwilę poczekała. Tak, przyszła punktualnie. Była dziewiąta. Czekala gdzieś z boku, nie zwróciłam uwagi. Po kilku minutach miała już połączenie. Zawołałam: „Kraków do pierwszej”. Z mojego okienka nie widać kabin telefonicznych. Rozmawiała dosyć długo – sześć minut. Po skończonej rozmowie nie podeszła do okienka, widziałam, że wychodzi. Zdawało mi się, że płakała, bo miała chusteczkę przy twarzy i tak coś... chlipała. Nie, nie zawołałam jej, bo po co- Rozmowa była opłacona przez Kraków.

— O rany — sapnął komendant Kozoń. — Można się tak jeszcze bawić tygodniami Przesłuchiwać telefonistkę z centrali — a nuż słyszała urywek rozmowy, odszukać tych czterech ludzi z poczty (o ile będzie się dało ustalić, gdzie mieszkają i kto zacz), aby rozwiązać nader ważną zagadkę, czy Agata Domańska płakała, czy też miała no prostu katar itd. itd. W każdym razie wiadomo, że do Domańskiej przyjechała koleżanka, Mirosława Pelska; wyjechała pociągiem do Chabówki za piętnaście siódma (kasjerka z Rabki pamiętała ją- poza tym Pelska rozmawiała z kolejarzem na peronie — pytała, czy pociąg do Chabówki przyjedzie punktualnie i czy zdąży na zakopiański). W Chabówce wsiadła do pociągu zakopiańskiego, co potwierdził dyżurny ruchu, rozmawiał z nią i widział, jak wsiadała do pociągu. Migoń, wiadomo, każdą przystojniejszą babkę obejrzy. Więc wyjechała, koniec, kropka. Tymczasem Agata Domańska o dziewiątej rozmawiała z Krakowem. Jak stwierdzono, rozmowę zamówił Adam Rogalski. W każdym razie ktoś z jego domu. Łatwo sprawdzić, czy to był Rogalski. Musiał jej powiedzieć coś bardzo niemilego, skoro dziewczynie odechciało się wszystkiego i zażyła cyjanek. Oczywiście pomęczą teraz tego Rogalskiego i kilka innych osób, żeby się

dowiedzieć, dlaczego ona to zrobiła.

Rozważania komendanta Kozonia przerwało wejście porucznika Jaworskiego.

— Był Kraków?

— Jeszcze nie.

— Czwarta dwadzieścia — mruknął Jaworski i rzucił na krzesło zaśnieżony płaszcz.

— Panie poruczniku. Czy pan nie sądzi, że to było samobójstwo?

— Tak wygląda.

— No to dlaczego... — Kozoń przerwał. Jaworski na pewno chowa coś w zanadrzu i udaje mądrego. — Po jaką cholere przyjeżdżała do Rabki?

— Jak pan myśli? Ile wczasowiczek wozi ze sobą w walizce na wszelki wypadek cyjanek? Bo z listu nie wynika, żeby to była osoba, która zamierza odebrać sobie życie. Planowała raczej brydża i w niedalekiej przyszłości bal u Plastyków. Nagle wieczorem, po rozmowie z panem Rogalskim, wraca i popełnia samobójstwo.

— Ten cały Rogalski mógł jej powiedzieć coś takiego, że dziewczynie odechciało się balu u Plastyków raz na zawsze.

— Może, może.

— No pewnie, trzeba jeszcze koło tego pochodzić. Choroba, Kraków zawsze musi nam podrzucić jakieś świństwo.

Porucznik roześmiał się.

— Nikt nam jej nie podrzucał! Sama przyjechała.

Na szczęście zadzwonił właśnie telefon. Kozoń, zupełnie zdegustowany, podniósł słuchawkę.

— Posterunek Milicji Obywatelskiej w Rabce... Tak jest... — podał słuchawkę Jaworskiemu — Kraków, do pana.

Jaworski słuchał w skupieniu.

— Tak, tak jest... — powtarzał. Potem odłożył słuchawkę. — Za godzinę przyjadą z Krakowa.

— Za godzinę! Oczywiście zapomnieli o drobnym fakcie, że mamy zimę i śnieg. Jak dobrną za półtorej godziny, to będzie dobrze — rzucił zgryźliwie Kozoń.

— Kapitan Derko wyjechał z Krakowa piętnaście minut temu.

– Interesująca panienka z tej Agaty, skoro Derkę wysłali.

– Może nie tyle Agata jest interesująca, co profesor Rogalski. Nie słyszeliście o nim? Ostatnio robią koło niego straszny szum. Naukowiec światowej klasy. Widziałem z nim wywiad w telewizji. Podobno ta jego praca to rewelacja w dziedzinie chemii. Jest dyrektorem Instytutu Doświadczalnego Chemii Nieorganicznej w Krakowie.

Mgr Mirosława Pelska jest od dwóch lat jego asystentką. Oczywiście to wszystko może nie mieć nic wspólnego ze śmiercią Agaty Domańskiej. Po prostu denatka była również pracownikiem naukowym tego instytutu. Ale nad Rogalskim teraz strasznie wydziwiają. Mówią, że prawdopodobnie za tę pracę dostanie Nobla. W marcu wyjeżdża na międzynarodowy zjazd chemików do Paryża, gdzie będzie referował swoje wyniki, znane już zresztą i komentowane w świecie.

Kozoń słuchał wykładu Jaworskiego i gratulował sobie w duchu znajomości psychiki ludzkiej.

Ale mądry! – myślał. – Niby tak się interesuje odkryciami naukowymi! Gdybym nie wiedział, że rozmawiał z tymi chemikami ze „Stasina”, tobym chyba uwierzył, że do poduszki czytuje sobie najnowsze publikacje profesora Rogalskiego.

– No tak – powiedział powoli – teraz rozumiem, dlaczego Kraków, to złapał. Oni zresztą każdą ciekawszą sprawę muszą nam sprzątnąć sprzed nosa.

Jaworski roześmiał się głośno.

Na dodatek ma obrzydliwy śmiech – pomyślał Kozoń.

Państwo Rawiczowie dopiero o jedenastej wieczorem opuścili posterunek milicji w Starej Rabce. Towarzyszył im Andrzej Drawski. Szedł obok milczący i przygnębiony. Koło dworca kolejowego zatrzymał się.

– Chyba nie ma pan zamiaru jechać teraz w nocy?

– O tej porze nie będzie już autobusu do Bukowiny – odpowiedział z wahaniem – ale może złapię jakiś pociąg do Zakopanego, no a stamtąd jakoś się dostanę do domu.

– Ależ to bez sensu – powiedział Rawicz. – Co się pan ma

tluc po nocy! Może pan przecież przenocować u nas i rano wyjechać autobusem bezpośrednio do Bukowiny.

— Oczywiście — poparła męża Rawiczowa. — Niech pan zostanie u nas na noc. Bardzo pana prosimy. Nam będzie również jakoś... raźniej. Proszę.

Poszli więc dalej we trójkę stromą uliczką w stronę poczty.

Rawiczowa przygotowała gorącą herbatę i siedzieli potem jeszcze długo, rozmawiając o Agacie, o tym, jak się zachowywała, jak spędzała czas. Andrzej palił papierosa za papierosem i niechętnie odpowiadał na pytania starych. Natomiast z uwagą słuchał opowieści Rawiczów. Kilka razy wstawał i chciał już odejść, ale staruszkowie zatrzymywali go.

— Może herbaty? Niech pan jeszcze posiedzi! Naprawdę proszę zostać — mówiła Rawiczowa.

O pierwszej gospodyni odprowadziła go do pokoiku na pięterku. Kiedy mijali drzwi Agaty, zatrzymał się.

— Chyba tych drzwi nie da się otworzyć jakimś innym kluczem?

— Ależ nie — powiedziała Rawiczowa, jakby trochę przestraszona. — Chce pan tam wejść? Panie Andrzeju, przecież drzwi są zaplombowane!

— Nie... Oczywiście, że nie. Zastanawiam się tylko, czy... przedtem ktoś ich nie otworzył... Wczoraj...

— Wykluczone! To dobry zamek. Jaloski. Panie Andrzeju, o czym pan myśli? Przecież ona... ona urobiła to sama. Niemożliwe, żeby ktoś...

— Tak, tak... Mówię głupstwa, proszę nie zwracać na to uwagi. Dobranoc. I dziękuję.

— Dobranoc, panie Andrzeju — odpowiedziała z westchnieniem gospodyni. — Ja wiem, to trudno zrozumieć, gdy ktoś...

— Dobranoc pani — przerwał Andrzej i poszedł na górę.

Na drugi dzień komendant Kozoń krążył po Rabce z miną wielce zatroskaną. Dzieci z piekielnym wrzaskiem kotłowały się w parku, zjeżdżały na sankach, butach i wszelkich innych możliwych przyrządach sportowych, baby rajcowały koło

piekarni, trzech dziarskich młodzieńców we włózkowych czapeczkach z pomponami wysypało się z knajpki – słowem dzień przebiegał normalnie i jak na razie bezawaryjnie. Kozoń niedbałym ruchem podnosił rękę do daszka i głęboko zamysłony wędrował dalej przez zaśnieżone uliczki. Ostro ofuknął Janka od Nowaków, który z głupawym uśmiechem zagadnął:

– No co, Józek, co nowego?

– Ty, Janek, uważaj sobie! – powiedział godnie. – Jak twój stary wróci z Nowego Targu, to ci mordę stłucze, tylko się dowie o Danielaków. A ja nie jestem dla ciebie żaden Józek. Wódki z tobą nie piłem. – I nie czekając na celną replikę (Janek nie lubił zostawać dłużnym), ruszył dalej.

Wstąpił „Pod Gwiazdę” i pogadał z kelnerem Jabłońskim. Nie spodziewał się żadnej rewelacji – Jabłoński co miał do powiedzenia, powiedział już wczoraj Jaworskiemu – ale co to szkodzi jeszcze raz zapytać.

No i rzeczywiście nic nowego. Wiadomo, „panienki” jadły wczoraj obiad „Pod Gwiazdą”. Jabłoński Agatę znał z widzenia, bo od trzech tygodni przychodziła do nich na obiady. Kozoń zniechęcony poszedł z powrotem w stronę poczty.

Co za historia z tym kluczem... Derko oczywiście przesadza, na pewno nic w tym nie ma. No, ale dla porządku można by sprawę zbadać. Rawiczowa upiera się, że jak Domańska sprowadziła się do nich, klucz od drzwi balkonowych na pewno tkwił w zamku. Domańska paliła papierosy i bardzo często uchylała drzwi, żeby się przewietrzyło. No a teraz klucza nie ma. Może wrzuciła kiedyś przez roztargnienie do torebki, a potem zgubiła? Albo sama Rawiczowa schowała klucz, tylko tego nie pamięta? Różnie bywa. Wreszcie jakoś otworzyli te cholerne drzwi. Wprawdzie stara stanowczo twierdzi, że to był klucz zapasowy, ale czy można jej wierzyć? Ona często o czymś zapomina. Ma już swoje lata. Derko z Jaworskim robią mądre miny, a sprawa wydaje się zupełnie prosta.

Kozoń właśnie zatrzymał się, niezdecydowany, czy nie

wstąpić jednak do Rawiczów (zawsze swojak ze swojakiem łatwiej się dogada), kiedy nagle zobaczył Andrzeja Drawskiego wychodzącego z poczty.

A ten tu czego? – zdziwił się i szybko dogonił młodego człowieka.

– Pan jeszcze w Rabce?

Tamten wcale się nie spieszył.

– Jak pan widzi – powiedział z nieco drwiącym uśmieszkiem.

– Ma pan tu jeszcze coś do roboty?

– Muszę koniecznie mieć coś, do roboty? Po prostu nie wyjechałem, jak pan raczył przed chwilą zauważyć, i sędzę, że ten fakt nie wymaga komentarza.

Poeta – pomyślał Kozoń z rozdrażnieniem, ale ograniczył się tylko do znaczącego „no, no”. Jeszcze przez chwilę obserwował, jak Drawski odchodzi spokojnie w stronę „Zdroju”, po czym wszedł na pocztę. W okienku z napisem „Rozmowy międzymiastowe” siedziała Parasiówna.

W sobotę miała noc, to dzisiaj pracuje rano, zgadza się – stwierdził urzędowo.

Zaczekał chwilę, aż Parasiówna upora się z zamówieniem Wrocławia, i przywołał ją do drugiego wolnego okienka.

– Czego ta łajza od ciebie chciała? – zapytał ostro.

– O kim mówicie?

– No, ten filozof, co przed chwilą stąd wyszedł. Tylko nie kręć.

Jolanta Paraś zaczerwieniła się.

– Czego stryj chce? Już mi się nie wolno odezwać do nikogo?

– Ej, Jolka, uważaj. Jak Zygmunt wróci z wojska, to ty zaraz inaczej zaśpiewasz.

– To był klient.

– Czego chciał?

– O Boże! To był brat tej... tej Domańskiej.

– Ona nie ma żadnego brata.

– Przyrodni. Okropnie rozpacza ...co się stryj dziwi. Chciał porozmawiać. Pytał, czy przyszła wtedy wieczorem na pocztę, co mówiła i w ogóle. On nie może zrozumieć, dlaczego to

zrobiła...

– A ty, głupia kozo, oczywiście mu wszystko powiedziałaś?

– Żal mi go było.

– Żal, żal. Jak wylecisz z poczty, to mnie nie będzie ciebie żal.

Zmiataj do roboty.

Parasiówna chlipnęła nosem i z obrażoną miną wróciła na swoje miejsce.

Koza – pomyślał ze złością i trzasnął drzwiami. Teraz już zdecydowanym krokiem poszedł w kierunku ulicy Pocztowej. Przez chwilę stał pod domem Rawiczów, po czym wszedł między drzewa, które tworzyły mały zagajnik u wylotu uliczki. Pokręcił się między sosenkami zupełnie bez celu. Poniżej zagajnika był ostry spadek aż do rzeki. Dochodziły stamtąd krzyki i nawoływania dzieci. Dobrze znał to zbrocze. Niejednego guza nabił sobie jako chłopiec zjeżdżając stamtąd na butach.

Kiedyś sobie lby porozwalają – pomyślał, ale nie chciało mu się brnąć po śniegu, żeby przegonić dzieciarnię. – A-niech tam – machnął ręką.

Zastanawiał się właśnie, - pod jakim pretekstem wejść do Rawiczów, kiedy z dołu, spomiędzy drzew, wyłonił się zasapany Franek Wajda. Gramolił się prawie na czworakach, ciągnąc za sobą sanki. Buzię miał czerwoną z wysiłku, ale roześmianą od ucha do ucha. Zatrzymał się, spojrzął na komendanta, ryknął „duch! duch!” i zaczął zwiewać.

– Franek, smarkaczu! – krzyknął Kozoń, z wysiłkiem biegnąc po głębokim śniegu w jego stronę. – Zatrzymaj się, szczeniaku!

Franek stał pod drzewem z taką miną, jakby miał się za chwilę rozpłakać albo parsknąć śmiechem.

– Co się wygłupiasz! Chcesz sobie nogi połamać?!

– Przestraszyłem się – powiedział Franek z szelmowskim uśmiechem.

– Czego, głupi? Boisz się ducha w biały dzień!

Z dołu słychać było nawoływania „Franek! Franek!” i po chwili wyłonił się utyłtany w śniegu może dziesięcioletni chłopak.

– Franek wystraszył się komendanta! Franek wystraszył się

komendanta! – rozwrzeszczał się malec i chciał zawrócić, ale zwałił się w zaspę.

– Cicho bądź, Tadek! To ty opowiadałeś o duchu!

– Ale wtedy było ciemno i naprawdę pod drzewem stał duch!

– zaperzył się Tadek.

– Tak, tak, taki sam jak dzisiaj!

– Uspokójcie się zaraz. O czym ty mówisz?!

– W sobotę zjeżdżaliśmy na sankach, tam na dole – pokazał w nieokreślonym kierunku. – Wszyscy już poszli, bo zrobiło się ciemno. A Tadek założył się, że zjedzie z samej góry. Mówiłem mu, że wpadnie na drzewo, ale on się uparł. A jak wszedł na górę, to zaczął wrzeszczeć „duch, duch” i zjechał, ale na tyłku – Franek chichotał jak oszalały.

– Ty też widziałeś tego „ducha”?

– Nie... Gdzie tam... – Franek trochę się speszył. – On tak się darł, że się wystraszyłem i uciekliśmy przez mostek na dole.

– Która była wtedy godzina?

– A bo ja wiem. Ciemno już było.

– Teraz słuchajcie, smarkacze. Jak was jeszcze raz zobaczę na tej górcie, to wam lanie spuszcę. Chcecie sobie nogi połamać? Powiedz tym na dole, że się mają zaraz stamtąd wynosić. A z twoją matką, Franek, to sobie pogadam, bo już nie pierwszy raz widzę cię tu z sankami

– Panie komendancie, my już nie będziemy – obiecywali chórem.

– No już, zmykajcie

Kozoń poprawił czapkę i zamasyście ruszył w stronę domu Rawiczów.

Ten mądrała Jaworski nie gadałby z chłopakami – pomyślał z satysfakcją.

Śmierć Agaty wywołała w instytucie zrozumiałą sensację. Od kilku dni nie mówiono o niczym innym. Pojawienie się kapitana Derki komentowano w najrozmaitszy sposób. Jedni nie dopatrywali się w tym niczego szczególnego – „Po prostu taki jest tryb postępowania” – mówili. Inni snuli nie kończące się domysły.

O wpół do ósmej z placu Szczepańskiego odjeżdżały dwa

pełne autokary dowożące pracowników do instytutu. Pani Teresa z Wydziału Finansowego, która zawsze „wszystko wiedziała”, rozpoczynała swoją działalność, udzielając informacji i zbierając wszelkie możliwe ploteczki. W autobusie panował przyjemny, podniecający gwarek. Nikt nie krępował się szczególnie, tym bardziej że pierwszym kursem jeździli pracownicy administracji oraz niższy personel pomocniczy, rozpoczynający urzędowanie o ósmej.

O wiele spokojniej zachowywali się pasażerowie kursu o ósmej trzydzieści, co zresztą nie świadczyło wcale o tym, że młodzi naukowcy z instytutu nie interesowali się sprawą. Po prostu byli bardziej powściągliwi i z różnych względów wstrzymywali się od komentarzy. Prawie wszyscy znali Agatę, niektórzy byli z nią zaprzyjaźnieni Jeszcze z okresu studiów. Kiedy autobus stawał na dziedzińcu instytutu, wysiadali pośpiesznie i rozchodzili się w milczeniu każdy w swoją stronę. Pojawienie się kogokolwiek z zespołu profesora Trembickiego, u którego pracowała Agata, wywoływało pełną zaskoczenia ciszę, po czym pośpiesznie rozpoczynano rozmowę na jakikolwiek neutralny temat.

Kto tylko mógł, nie opuszczał „Pawilonu A”, który stał wśród paru łąsawych sosenek, oddalony o kilkaset metrów od budynku administracyjnego. Mieściły się w nim laboratoria i pracownia. W przyływie fantazji twórczej dyrektor administracyjny instytutu nazwał to pomieszczenie „Pawilonem A”, dając tym samym do zrozumienia, że kiedyś stanie obok „Pawilon B”, którego jednak nigdy nie zbudowano. Ale nazwa się przyjęła i tak już zostało.

Pani Teresa z niebywałą satysfakcją opowiadała przyjaciółkom o tym, jak magister Pelska zareagowała na wiadomość o śmierci Agaty.

— Podobno mało brakowało, a zemdlaby. Potem tak płakała, że nie można jej było uspokoić. Teraz płacze! A Rogalski zamknął się w swoim gabinecie i nie wystawia nosa na świat Boży. Widziałam go dzisiaj, jak wysiadał z samochodu. Błady, ponury...

— Pani Tereso, pani Tereso, niech pani przestanie! — błagała

pani Pola. – Naprawdę niech pani przestanie!

– Rzeczywiście! – wzruszyła ramionami Teresa. – Przecież wszyscy o-tym wiedzą!

– Ale ja nie chcę! Mnie to nie interesuje!

W środę wrócił z urlopu Drawski.

– Przerwał urlop, żeby być na pogrzebie Agaty – stwierdziła stanowczo pani Teresa. – No i Dorotka została sama, bez opieki – dodała z uśmiechem.

Dorotka nie była już małą dziewczynką, ale najbliżsi koledzy Agaty starali się wyręczyć ją we wszystkich kłopotliwych i nieprzyjemnych sprawach „papierkowych” i urzędowych. Siostra Agaty studiowała we Wrocławiu matematykę. Była już na trzecim roku.

W czwartek zdjęto pieczęcie z drzwi mieszkania Agaty i wręczono jej siostrze klucze. Dorota nie wyjechała natychmiast po pogrzebie do Wrocławia. Zapłaciła rachunek w hotelu, zabrała swoją walizeczkę i wprowadziła się do kawalerki.

– Muszę uporządkować rzeczy Agaty, a poza tym muszę się zastanowić – powiedziała do Andrzeja. – Tylko nie mów, że nie powinnam o tym wszystkim myśleć. W ogóle, proszę cię, nie udzielaj mi żadnych rad! Nie byłabym w stanie ich wysłuchać.

Mirka Pelska płakała. Początkowo usiłowała zachować spokój, ale już po kilku zdaniach nerwy odmówiły jej posłuszeństwa.

– Nie mogę sobie tego wybaczyć -- mówiła drżącym głosem. – Nigdy sobie nie wybaczę, że doprowadziłam ją do tego... To moja wina... Ale naprawdę nie przypuszczałam...

– Proszę się trochę uspokoić. Wiem, że moje pytania sprawiają pani przykrość, ale trudno, muszę je zadawać.

– Nie o to chodzi... Ja chcę powiedzieć panu wszystko, ale... Bardzo pana przepraszam. Postaram się już nie robić scen... Proszę pytać dalej.

– Więc pojechała pani do Rabki. Nie bardzo rozumiem, po co?

— Chciałam z nią porozmawiać. Proszę pana, ja. lubię jasne sytuacje. Nie chcę, żeby pan się domyślał Bóg wie czego. Więc... Wolę sama wszystko opowiedzieć.

— Słucham.

— Jestem... bardzo zaprzyjaźniona z profesorem Rogalskim. To wspaniały człowiek. Pod każdym względem. Wspaniały jako człowiek, wielki naukowiec, cudowny przyjaciel. Ale on jest bardzo nieżyciowy. Powiedziałabym... wręcz niezaradny. Chociaż jestem od niego o wiele młodsza, zawsze mam ochotę opiekować się nim. Miałam jak najlepszą wolę... proszę mi wierzyć... – znowu się rozpląkała.

— Rozumiem, wszystko rozumiem. Słucham dalej.

— Widzi pan, on swego czasu przyjaźnił się z Agatą Domańską. Bardzo dużo mówiło się o tym w instytucie. Byłam wtedy jeszcze studentką, ale na uczelni też się trochę o tym mówiło. Potem ta przyjaźń, czy jak to inaczej nazwać, skończyła się.

— Dlaczego? Pokłócili się? O co?

— Nie... Zresztą nie wiem dokładnie. Znam tę historię tylko z opowiadania.

— Profesora?

— Tak. Po prostu Agata za dużo spodziewała się po tej znajomości. Profesor jest delikatny... nie potrafi się zachować brutalnie. Kiedy się zorientował, że Agata przywiązuje zbyt wiele wagi do ich... przyjaźni, chciał jej jakoś powiedzieć, że to nie ma sensu i w ogóle... ale nie miał odwagi... nie chciał jej ranić. I tak powoli starał się odsunąć od Agaty. Unikał jej... Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby jej powiedział prawdę... No, ale cóż zrobić... Kiedy zaczęłam pracować w instytucie, sytuacja była okropna.

— Pani знаła profesora, to znaczy utrzymywała pani z nim kontakty prywatne?

— Tak. Widzi pan, tak się przypadkowo zdarzyło, że mój ojciec zajmował się konserwacją samochodu profesora od lat. Ojciec ma warsztat samochodowy...

— Tak, wiem.

— No więc znałam profesora najpierw z widzenia, no a

potem, kiedyś, z jakiejś okazji poznałam go osobiście. Podczas studiów oczywiście nasza znajomość była bardzo luźna... Profesor był dla mnie kimś wspaniałym i zupełnie niedostępnym. Ale jak zdałam egzamin magisterski, zaproponował mi pracę w instytucie. Oczywiście zgodziłam się z radością. No i tak powoli... Zaprzyjaźniłam się z nim. Bardzo sobie cenię tę przyjaźń. Wiem, co o mnie mówią. Ale nic mnie to nie obchodzi. Pani Teresa, pani Pola i inne paniusie ich pokroju opowiadają niestworzone historie. Nie dbam o to.

— Ale wróćmy do Domańskiej.

— Agata musiała przejmować się tymi wszystkimi plotkami. Ja w swojej naiwności nie orientowałam się... to była moja pierwsza praca, pierwszy kontakt z ludźmi, których uważałam za... no prawie za geniuszy. To śmieszne, ale tak było. Agata była o mnie zazdrosna. Stała się agresywna. Profesor w takich sytuacjach jest zupełnie bezradny. Łagodził sytuację, jak mógł. Wtedy właśnie Agata przeniosła się do pracowni profesora Trembickiego. Profesor Rogalski utrzymywał z nią kontakty towarzyskie, ale starał się ograniczyć je do minimum. Stale jej powtarzał, że jest bardzo zajęty.

Przeszło dwa lata panował względny spokój. Przyznam się, że zupełnie o Agacie i... o tamtej historii zapomniałam. Nie zwracałam na nią uwagi. Proszę pana. Nie lubię niedomówień. Chcę, żeby pan wiedział wszystko. Zakochałam się w profesorze. Ale to nie było tak, jak sobie wyobrażała pani Teresa i całe jej towarzystwo. Ja niczego nie oczekuję od profesora. Nawet miłości. Wiem, że ma żonę, z którą jest szczęśliwy... To wszystko jest okropne... ale ja naprawdę jestem do niego serdecznie przywiązana. Przepraszam pana, znowu się rozkleiłam...

Więc Agata dała Rogalskiemu przez te dwa lata spokój. Wiedziała, że profesor pracuje nad bardzo ważnym zagadnieniem. Z kolei Adam sądził, że już zrezygnowała... Ale kiedy ogłosił swoje wyniki... okazało się, że się mylił. Agata zaczęła go prześladować, dochodziło do przykrych scen... Adam nie wiedział, co z tym fantem zrobić. Ona twierdziła, że ją oszukał... że nigdy nie zerwał ich... znajomości... że wymawiał się tylko

pracą i ona rozumiała to wyśmienie, ale że jej obiecał, że jak skończy, to poświęci jej cały swój czas, że wyjadą gdzieś razem... i w ogóle takie głupstwa...

Adam był przerażony. On jest naprawdę okropny niezdara. Zawsze boi się, żeby nie sprawić komuś przykrości... i... jakoś nie wyjaśnił sytuacji tak zupełnie do końca... Agata wyjechała do Rabki, ale przed wyjazdem dała mu miesięczny termin do namysłu. Nie wiem, co zamierzała uczynić po powrocie. Namawiałam Adama, żeby porozmawiał z nią jasno i otwarcie. On był taki nieszczęśliwy... Wreszcie dlaczego taki człowiek ma tracić chwile odpoczynku i spokoju na głupie historie... Wiem, że źle zrobiłam... ale wydawało mi się, że przetnę sprawę raz na zawsze...

Wsiadłam w autobus i pojechałam do Rabki. To była ostatnia sobota urlopu Agaty. Wiedziałam, że za tydzień wróci i wszystko zacznie się od początku... Chciałam oszczędzić profesorowi scen... Myślałam, że przez tydzień Agata zdąży sprawę przemyśleć i jakoś się to ułoży. Już panu mówiłam, że lubię jasne sytuacje... Adamowi powiedziałam tego dnia rano, że jadę do Rabki. Bardzo się zdenerwował. Nie wiedziałam, że zamówił rozmowę telefoniczną z Rabką... Niepotrzebnie... zupełnie niepotrzebnie...

— No więc rozmawiała pani z Domańską. Co jej pani powiedziała i jak ona to przyjęła?

— Powiedziałam jej prawdę. Że on jej nie kocha i nigdy nie kochał... że spotykał się z nią tylko z litości... żeby mu dała spokój... Zdawało mi się, że lepsza jest najgorsza prawda niż dalsze okłamywanie.

— Jak ona to przyjęła?

— Nad podziw spokojnie. Byłam przygotowana na okropną awanturę, a tymczasem ona zachowała się bardzo godnie... Powiedziała, że wszystko rozumie i że to jej wina, bo miała głupie złudzenia...

— Gdzie ją pani znalazła? W domu?

— Nie. Nie zastałam jej w domu. Była w kawiarni. Rozmawialiśmy bardzo długo. Potem zaproponowała mi wspólny obiad „Pod Gwiazdą”. Po obiedzie wstąpiłyśmy do

domu na herbatę. Dopiero tutaj rozkleiła się zupełnie. Płakała... Potem mnie przepraszała, wreszcie powiedziała, że ją głowa boli i musi się położyć. Było mi strasznie przykro.

Zażyła relanium i położyła się na tapczanie. Leżała tak spokojnie, że myślałam, że już zasnęła. Przykryłam ją kocem. Wtedy się odezwała: „Idź już, proszę cię, zostaw mnie nareszcie samą”. Spojrzałam na zegarek, dopiero wtedy, i okazało się, że jest bardzo późno.

Nie pamiętałam dokładnie, o której mam pociąg do Krakowa. Ale pan Rawicz, gospodarz, u którego Agata wynajęła pokój, powiedział mi, jakie mam połączenie z Krakowem i że muszę się śpieszyć. Wybiegłam z domu. W ostatniej chwili zdążyłam na pociąg. To wszystko...

— Kiedy pani wychodziła z pokoju, pani Domańska leżała na tapczanie?

— Tak.

— Spała?

— Chyba jeszcze nie. Ale była w takim półśnie.

— Czy drzwi na balkon były otwarte., czy zamknięte?

— Drzwi?... Nie pamiętam... Chyba zamknięte... Tak, na pewno zamknięte. Byłoby przecież zimno.

— Gdzie stały filiżanki?

— Jakie filiżanki?

— Piłyście panie herbatę.

— Ach, tak. Nie pamiętam. Na stole... Nie... Agata postawiła swoją na stoliku koło tapczanu.

— Była w niej jeszcze herbata?

— Nie wiem.

— Kiedy dowiedziała się pani, że profesor zamówił rozmowę telefoniczną z Rabką?

— Na drugi dzień, w Krakowie.

— Przecież pani Rawiczowa przy pani wręczyła Domańskiej awizo.

— No tak, mówiła coś o telefonie, ale nie wiedziałam, że chodzi o telefon od Adama.

— Zna pani treść tej rozmowy?

— Tak... W przybliżeniu... Adam... to znaczy ona zapytała, czy

to wszystko, co jej powiedziałam, jest prawdą... a on potwierdził.

— Jak to przyjęła?

— Podobno płakała i prosiła, żeby jej nie porzucił... Ach, jakie to straszne — Mirka znowu zaczęła szlochać. — Chciałam jak najlepiej, nie przyszło mi nawet na myśl, że ona tak postąpi... jak mogła zrobić coś takiego... Będę miała wyrzuty sumienia do końca życia...

Mirka Pelska nie mogła się uspokoić. Zupełnie już nie panowała nad sobą. Kapitan Derko przyglądał jej się w zadumie, wreszcie powiedział:

— Na razie dziękuję pani.

I wyszedł z pokoju.

*

— Niepotrzebnie usiłuje pan być taki dyskretny — kapitan Derko, z pobłażliwym uśmiechem przyglądał się siedzącemu po drugiej stronie biurka Andrzejowi. — Wreszcie stosunki łączące Agatę Domańską z profesorem były przez pewien czas publiczną tajemnicą. Poza tym zapomina pan chyba o osobach pokroju pani Teresy.

— Nie, nie zapominam. Jestem przekonany, że został pan dokładnie poinformowany o wszystkich osobistych sprawach pracowników instytutu. Tym bardziej nie widzę powodu, dla którego miałbym panu powtarzać plotki, jakie w ciągu ostatnich lat obiegły nasz instytut.

— Panie magistrze. Nie siedzimy u Michalika przy małej czarnej i nie zamierzam z panem plotkować. Proszę, żeby pan odpowiadał na pytania. Pomijanie faktów, które są publiczną tajemnicą, nie ma sensu.

Andrzej zapalił następnego papierosa.

— A więc Agata Domańska po złożeniu egzaminu magisterskiego zaczęła pracować w instytucie w zespole profesora Rogalskiego. Po pewnym czasie zaczęto poszeptywać na temat... „sympatii”, jaką darzył profesor swoją asystentkę.

— Nie wiem. Nie pracowałem wtedy w instytucie.

— Oczywiście. Pan pracuje w zespole profesora Trem-

bickiego dopiero od trzech lat?

— Tak.

— I nie znał pan przedtem Agaty Domańskiej?

— Znałem ją. Była również asystentką na wydziale, prowadziła zajęcia z moją grupą.

— Dwa lata temu Agata została przeniesiona, czy też raczej sama prosiła o przeniesienie do zespołu profesora Trembickiego. Czym tłumaczy pan tę zmianę? Profesor Trembicki zajmuje się zupełnie inną problematyką.

— Nie można tu wprowadzić takiego wyraźnego rozgraniczenia. Zresztą Agata była wtedy w trakcie pisania pracy doktorskiej, która w pewnym sensie wchodziła również w zakres zainteresowań profesora Trembickiego...

— Doprawdy? Ale mogła równie dobrze pisać tę pracę u Rogalskiego? Czy to jest takie korzystne zmieniać w trakcie pisania promotora?

Andrzej milczał przez chwilę.

— No więc dobrze — powiedział wreszcie niechętnie. — Wiem, do czego pan prowadzi. Ma pan rację, przeważały prawdopodobnie względy osobiste. Ale... Pan nie znał Agaty. To była naprawdę wspaniała dziewczyna. Dobra, miła, inteligentna. Pozostawała może, przez jakiś czas, pod urokiem profesora Rogalskiego, nie wiem, to naprawdę nie moja sprawa. Sądzę, że go kochała. Już rok pracowałem w instytucie, ale nie znałem jej dobrze. Mówiono, że zespół profesora rozpada się, niektórzy doszukiwali się przyczyny nieporozumień w zainteresowaniu profesora nową, podobno niezwykle uzdolnioną pracownicą — Mirką Pelską. Ale były to tylko plotki, powtarzane przez panie pokroju Tereski. Dwa lata temu Agata przeniosła się, na własną prośbę, ale oczywiście za zgodą Rogalskiego, do naszego zespołu. Przyznam się, że obawiałem się trochę tej nowej koleżanki. Szybko okazało się, że nie miałem racji. Była świetnym pracownikiem, spokojna, skromna i koleżeńska. Zaprzyjaźniłem się z nią. O wiele później zrozumiałem, jaki to musiał być trudny okres w jej życiu. Na pewno zdawała sobie z tego sprawę, że plotkowano na jej temat. Ale zachowywała się tak, jakby nie przychodziło jej to

nawet do głowy. Po jakimś czasie przestano się nią interesować. Zajęto się natomiast Mirką. Zresztą Mirka potrafiła ustalić swoją pozycję w instytucie. Nic sobie nie robiła z plotek, nawet przeciwnie, sama je prowokowała, dając do zrozumienia, że ma wpływ na profesora. Zaczęto się jej bać. To znaczy, nie chciałbym, żeby mnie pan źle rozumiał. Ona nie robiła żadnych świństw nikomu. Tylko po prostu przestano przy niej mówić głośno.

— Jakie były stosunki między paniami?

— Oziębłe. Nie zwracały na siebie uwagi.

— Ozy w ostatnim okresie nie było żadnych nieporozumień między nimi?

— Nie. W każdym razie ja o tym nie wiem

— I od dwóch lat wszystko układało się tak idealnie, równiutko, grzecznie?

— Panowały między nimi poprawne stosunki. Natomiast do profesora Agata żywiła jakąś niechęć, ale wydawało się, że stara się nad tym panować. To zresztą rozumiała.

— Więc jak wytłumaczyć, że nagle obydwójce zainteresowali się Agatą? Pelska, która na pewno nie była jej przyjaciółką, nagle składa jej wizytę w Rabce i tego samego dnia d. woni do Domańskiej profesor.

— Ona utrzymywała z profesorem kontakty służbowe i w pewnej mierze towarzyskie. Poza tym musiało się coś wydarzyć. Nie wiem co. Ale Agata przed wyjazdem była u profesora na rozmowie. Wróciła bardzo wzburzona. Nie chciała mi powiedzieć, o co chodzi. „Powie ci, ale me teraz. Teraz nie mogę” – powtarzała. Nie pytałem zresztą z ciekawości. Chciałem jej pomóc. Widziałem, że od pewnego czasu jest zdenerwowana, że umawia się z Rogalskim na jakieś rozmowy. Obawiałem się nawet, że to ta stara historia.

— Obawiał się pan? Dlaczego?

— O Boże! Natychmiast pomyśli pan, że ja... No, po prostu lubiłem Agatę i nie chciałem, żeby miała kłopoty. Mogła sobie naprawdę ułożyć jakoś inaczej życie osobiste. Powiedziałem jej o tym. Ale ona była zaskoczona moimi obawami. Śmiała się ze mnie, że we wszystkim dopatruję się „sprawy sercowej”, tak jak

pani Teresa.

— Kiedy miała miejsce ta burzliwa, jak sędzę, rozmowa?

— Tuż przed jej wyjazdem na „zimówkę”. Zresztą chyba od dawna się na coś takiego zanosilo. Agata źle się czuła. -Myślałem, że ma jakieś kłopoty, ale potem się okazało, że jest chora. Pod koniec sierpnia miała ciężką operację. Woreczek żółciowy z jakimiś komplikacjami. Blisko miesiąc leżała w szpitalu. Przyjechała Dorota, jej siostra, i obydwójce odwiedzaliśmy ją często. Wydawało mi się, że powoli wraca do zdrowia. Istotnie wyglądała coraz lepiej. Po wyjściu ze szpitala pojechała prawie natychmiast do sanatorium do Krynicy. Wróciła w pierwszych dniach grudnia. Była w fatalnym stanie. Może nie poświęciliśmy jej tyle uwagi, na ile zasługiwała. Cały instytut był wtedy w podniosłym nastroju. W połowie października ukazała się praca profesora. Rewelacyjna praca. Rozpoczęły się serie wykładów, wizyt, spotkań. To był wielki triumf instytutu w ogóle, a profesora Rogalskiego w szczególności. Pan słyszał zapewne?

— Tak, wiem.

— Agata przyjechała w dzień wielkiego odczytu zorganizowanego w naszym instytucie. Nie będę wymieniać, jakie osobistości zostały zaproszone, bo to jest nieistotne. W każdym razie Agatą pojawiła się. Nagle, nikt nie miał czasu się nią zajmować. Przyznam się szczerze, że nie mogę sobie teraz darować tej obojętności, jaką jej okazaliśmy. Zwłaszcza ja, a byłem przecież jej przyjacielem. Przez moment pomyślałem, że źle wygląda.

Dopiero pod koniec wykładu profesora spostrzegłem, że jest przerażająco blada. Spytałem ją szeptem, czy się źle czuje, odpowiedziała mi, że nie, żebym na nią nie zwracał uwagi. W pewnym momencie- wstała i wyszła.

O wiele później spotkałem ją w naszym pokoju. „Już się skończyło?” — zapytała. I jakby nie słuchała tego, co do niej się mówi. Byliśmy wszyscy szalenie podnieceni. W takim momencie naprawdę jakieś osobiste niechęci są nieistotne. Nawet nie wiem, kiedy wyszła.

Późno wieczorem przypomniałem sobie o niej i zrobiło mi się

niezmiernie przykro. Przyszła do pracy po raz pierwszy po długiej nieobecności i chyba jeszcze bardzo źle się czuła. Pojechałem do niej. Siedziała w fotelu, owinięta szalem, i trzęsa się jak w febrze. Zrobiłem jej gorącej herbaty, a ona rozplakała się nagle. „Andrzej, ja nie wiem, co mam ze sobą zrobić” – powiedziała. Nie mogłem się jednak z nią dogadać.

W czasie mojej wizyty zadzwonił telefon. Z rozmowy zorientowałem się, że dzwoni Rogalski. Agata nagle zrobiła się szalenie zmobilizowana, ale bardzo szybko skończyła rozmowę. Powiedziała: „Nie będę teraz z tobą rozmawiać. Muszę mieć czas do zastanowienia się. Ty również pomyśl, jak wybrniesz' z tej sytuacji”. Potem poprosiła mnie, żebym już poszedł, bo chce się położyć. „Wszystko już dobrze. Nie przejmuj się. Jestem jeszcze trochę osłabiona”. Uspokajała mnie.

Na drugi dzień przyszła do instytutu. Przeprosiła mnie, zresztą zupełnie niepotrzebnie, bo niby za co? Zaczęła normalnie przychodzić do pracy. Była skupiona i milcząca. Wiedziałem, że coś się z nią dzieje. Potem nastąpiła seria telefonów. Umawiała się na jakieś spotkanie, potem ktoś (wydaje mi się, że to profesor) zadzwonił, że nie może przyjść. Agata denerwowała się coraz bardziej.

Potem Rogalski wyjechał na trzy dni. Po jego powrocie Agata znowu do niego zadzwoniła. Powiedziała, że dzwoniła do domu, ale nie mogła go zastać. Stanowczo zażądała spotkania, wreszcie powiedziała: „Jak wolisz, porozmawiamy w instytucie. Zaraz u ciebie będę”. I poszła. Przyznam się, że czekałem na jej powrót. Nie mogłem się wziąć do żadnej roboty.

Wróciła chyba po godzinie. Była po prostu wyburzona. Chodziła po pokoju, rzucała niedopałki na ziemię, wreszcie chwyciła płaszcz i wybiegła. Dogoniłem ją, bo przecież nie było autokaru, a na piechotę do autobusu miejskiego to kawał drogi. Powiedziała mi, żebym dał jej święty spokój, i poleciała. Na drugi dzień oświadczyła, że wyjeżdża na urlop. Za trzy dni istotnie wyjechała. Wzięła bezpłatny miesięczny urlop. I to chyba wszystko. Nie dziwi się pan chyba, że po trzech tygodniach, będąc w Bukowinie, chciałem ją odwiedzić.

— Nie, nie dziwię się. Proszę mi powiedzieć, czy wszyscy

pracownicy są zobowiązani zostawiać dokładny adres wyjeżdżając na urlop?

— Tak. To jest u nas bardzo przestrzegane. Wszyscy zostawiają adresy u pani Danusi.

— Zawsze?

— Tak, zawsze. Zresztą Agata nie miała chyba powodu, żeby ukrywać miejsce swojego pobytu.

— A pan skąd miał jej adres?

— Od Agaty. Napisała do mnie z Rabki.

— O czym pisała?

— Och, o niczym szczególnym. Że się lepiej czuje, że odpoczywa, że jest piękna zima...

— Dlaczego pan nie wyjechał w niedzielę z Rabki?

— Nie rozumiem.

— Przenocował pan u państwa Rawiczów, a w poniedziałek był pan cały dzień w Rabce.

— Po prostu nie miałem ochoty wyjeżdżać.

— Tak było miło?

— Niech pan przestanie.

— Panie Drawski! Jest pan stanowczo za dorosły na zabawę w detektywa. Chyba, że są inne powody pańskiego zachowania?

— Nie rozumiem.

— Rozumie pan świetnie. Był pan na poczcie i opowiedział pan wzruszającą historię Jolancie Paraś (urzędniczce z okienka nr 1) o zbolałym bracie, którym rzekomo pan jest. Jak to pan musi wiedzieć i zrozumieć, co się tu wydarzyło. Naiwna panienska wdała się z panem w rozmowę, przywołała nawet swoją koleżankę, która poprzedniego dnia miała wieczorem dyżur w centrali telefonicznej. Sądzę, że będzie miała kłopoty, że w ogóle z panem rozmawiała. Chciał pan jednak koniecznie znać treść rozmowy, ale telefonistka, jak się można było spodziewać, nie słuchała tej rozmowy. Włączyła się tylko raz, po trzech minutach. Usłyszała kobiecy głos „nie możesz mnie zostawić, nie możesz tego zrobić”. Tak? Był pan również na dworcu kolejowym. Potem złożył pan wizytę dwóm panom w „Stasinie”. Czy może mi pan wytłumaczyć, po co to wszystko?

— Chciałem wiedzieć.

— Co?

— Chciałem zrozumieć, co się stało.

— Mam nadzieję, że pan jednak zaniecha tej działalności. To jest dziecinne. Ale wróćmy do pańskiej osoby. Rozmawialiśmy z kierowcą autobusu, którym pan podobno przyjechał z Bukowiny. (Wielka szkoda, że nie zachował pan biletu). Kierowca spełniał również funkcje biletera. Większość ludzi wsiadała i wysiadała na trasie pomiędzy Bukowiną a Rabką. Bilety na całą trasę od Bukowiny do Rabki wykupiło tylko sześciu pasażerów. Pozostali wsiadali lub wysiadali po drodze. Autobus wychodzi z Morskiego Oka. Do Bukowiny przyjechał już zatłoczony, kierowca nie potrafił opisać tych sześciu osób. Pamięta tylko, że wśród nich była jedna kobieta. Zresztą nie można mu się dziwić, siedzi przecież tyłem do pasażerów i na przystankach wydaje bilety prawie przez ramię. W związku z tym nie mamy właściwie dowodu, że pan przyjechał w niedzielę rano.

— Chyba pan nie sądzi, że przyjechałem w sobotę wieczorem? Co robiłbym przez całą noc?

— Nie wiem. Ale a propos, co pan robił w sobotę?

— Mam opowiedzieć, co robiłem przez cały dzień? Od rana?

— Niech będzie od rana.

— Wstałem koło godziny wpół do dziewiątej. Zjadłem śniadanie w towarzystwie kolegów. Często robiliśmy sobie wspólne śniadania i kolacje.

— A obiady?

Andrzej wzruszył ramionami.

— Różnie. Nie krępowaliśmy się wzajemnie. Więc tego dnia śniadałem z przyjaciółmi, jeżeli to ma jakiegokolwiek znaczenie.

— Ma. Proszę dalej.

— Potem koledzy wybrali się na narty.

— A pan?

— Nie. Poprzedniego dnia naderwałem sobie ścięgno w nodze. W prawej nodze, jeżeli to pana interesuje.

— Owszem. Nie zauważyłem, żeby pan kulał.

— Robiłem sobie okłady – mruknął Andrzej. — To pomaga... No więc zostałem w domu. Chciałem trochę poczytać, może

nawet popracować, ale po godzinie miałem już dosyć. Doszedłem do wniosku, że szkoda marnować dnia. Mój urlop niedługo się kończył. Wybrałem się na wycieczkę.

— Mimo bolącej nogi?

— Panie kapitanie! Przecież nie byłem chory. Jak pan zauważył, nawet nie utykałem. Po prostu mam nieco słabe wiązania w kostce i bałem się forsować nogi na nartach. Chodzić mogłem. Zresztą jechałem autobusem.

— Gdzie pan się wybrał?

— Do Chochołowa. Wróciłem późnym popołudniem. Chyba była już szósta.

— I znowu wspólna kolacja?

— Nie. Nie byłem głodny. W Zakopanem zjadłem kiełbaski z rusztu. Napilem się tylko herbaty. Słyszałem rano, że moi koledzy umawiali się na popołudniowego brydża. Przechodząc koło pokoju Zygmunta Leskiego słyszałem dochodzący stamtąd gwar. Nie miałem ochoty na karty, a wiedziałem, że będą grali do późnej godziny, poza tym... pan wie... taki kawalerski brydzyk... Wypije się przy tym jakiś winiaczek, na to również nie miałem ochoty.

— Kiedy się pan zobaczył z kolegami?

— W ogóle się z nimi nie widziałem tego dnia.

— Herbatę gotuje pan w pokoju? — zdziwił się Derko.

— Mam grzałkę. Czasem dłużej czytam w nocy i nie chcę budzić gospodarzy, ich córka śpi w kuchni.

— Było jeszcze wcześniej.

— Tak, ale jak już panu mówiłem, nie chciałem, żeby mnie koledzy wciągnęli do gry, bo miałem zamiar rano wcześniej wstać ze względu na wyjazd do Rabki, więc starałem się nie wychodzić z pokoju.

— Pan Zygmunt Leski pukał do pańskiego pokoju o jedenastej, ale pana podobno jeszcze nie było?

— Oczywiście, że byłem. Słyszałem, że się do mnie dobijają, ale nie odezwałem się. Udawałem, że mnie nie ma. Drzwi zamknąłem na klucz. Chciałem mieć święty spokój. Zresztą szybko zrezygnowali i poszli do pokoju Zygmunta.

— Rano widział się pan z kolegami?

- Nie.
- Może z gospodarzami?
- Nie. Byli chyba w kościele. W kuchni nie zastałem nikogo. Zrobiłem sobie herbatę i wyszedłem.
- Nie wstąpił pan do pana Zygmunta, żeby mu powiedzieć, że pan wyjeżdża?
- Sądziłem, że jeszcze śpi. Nie chciałem go budzić. Zresztą poprzedniego dnia powiedziałem mu, że wyjeżdżam na niedzielę.
- Pańscy koledzy byli bardzo zaniepokojeni pańskim zniknięciem.
- Do czego pan zmierza?
- Po prostu chciałbym dać panu pewną radę. Proszę nie szukać na własną rękę żadnych „śladów” ani nie zamazywać tych, które mogą prowadzić do pana.
- Do mnie? Przecież to nonsens!
- Dlaczego?
- Jak to, pan poważnie przypuszcza...
- Niczego nie przypuszczam. Powiedzmy, że to może być jeden z wariantów tej sprawy, jedna z hipotez. Jeżeli ją udowodnię, przestanie być tylko hipotezą.
- Ale dlaczego, po co miałbym... coś takiego robić! Agata była moją bliską koleżanką.
- Tylko?
- Ano tak. Domyślam się źródła tych „informacji”. Wysłuchuje pan bzdur, które panu opowiada pani Teresa, największa plotkarka, jaką w życiu spotkałem!
- Niech się pan uspokoi. Nie powiedziałem przecież, że Domańska była pańską kochanką.
- Ale pan tak myśli.
- Skąd pan może wiedzieć, co ja myślę. Zresztą dosyć tego. Proszę mi powiedzieć, kiedy pan poznał siostrę Agaty?
- Dorotę?
- O ile wiem, ma tylko jedną siostrę?
- Tak, oczywiście... Poznałem ją w ubiegłym roku... chyba w maju.
- Często ją pan spotykał?

– Przecież pan wie, że Dorota studiuje we Wrocławiu... Spotykaliśmy się dosyć rzadko. W lipcu wyjechaliśmy we trójkę na spływ kajakowy. Agata wróciła wcześniej do Krakowa, źle się czuła. Była już chora.

– Pan chce się ożenić z Dorotą?

– Nie wiem... Właściwie tak... ale co to n\ a wspólnego...

– Pytał pan przed chwilą o motywy. Założmy – tylko niech się pan znów nie unosi – powiadam: założmy, ;'e łączyły pana z Agatą stosunki dość intymne. Potem poznaje pan młodszą siostrę swojej „przyjaciółki”, zakochuje się w niej i chce pan zerwać niewygodną znajomość. Ale Agata nie chce się zgodzić. Może pana szantażuje, może uwikłała pana w splot przeróżnych skomplikowanych wydarzeń i nie mogąc się od niej uwolnić, załatwia pan sprawę kategorycznie i w sposób nieodwracalny, tym bardziej że zależy panu tylko i jedynie na Dorocie, której nie chce się pan wyrzec za żadną cenę.

– I zabiwszy starszą siostrę, żenię się z młodszą?

– Bywa i tak.

– Wymyślił pan romansidło, którego nie powstydziliby się pani Teresa.

Kapitan Derko roześmiał się głośno, ale zaraz spoważniał.

– W każdym razie nie ma pan alibi.

– Gdybym miał kogoś zamordować, na pewno postarałbym się o żelazne alibi, od tego bym zaczął.

Derko przez chwilę przyglądał się z uwagą Andrzejowi Drawskiemu.

– Żelazne alibi – powtórzył i zapatrzył się ponad głowę Andrzeja w jakiś niewidoczny punkt na ścianie – na przykład jakie?

– Nie wiem. nie zastanawiałem się nad tym. Nie mam zamiaru nikogo mordować. W każdym razie sto osób mogłoby przysiąc, że właśnie w tym czasie byłem zupełnie gdzie indziej.

– No tak, wrócimy jeszcze do tego tematu. – Derko zaczął układać jakieś teczki w biurku, a potem zatrzasnął energicznie szufladę. – Na razie dziękuję panu. Proszę przeczytać i podpisać protokół.

Derko przestał się interesować swoim rozmówcą. Podniósł

słuchawkę telefoniczną.

— Zygmunt? Wpadnij do mnie.

Potem zwrócił się do Andrzeja:

— Proszę podpisać na każdej stronie; o tu, na dole. Sierżant zaprowadzi pana do sekretariatu, gdzie potwierdzą panu przepustkę.

Andrzej wyszedł bez słowa. W drzwiach prawie się zderzył z młodym porucznikiem.

— No i jak? — zapytał porucznik Zygmunt Bartkowski.

— Przeczytaj protokół, potem porozmawiamy. Samochód gotowy?

— Czeka od godziny.

— Jedziemy.

— Może wstąpimy gdzieś na obiad? W Zakopanem będziemy dopiero po czwartej.

— Weź termos z kawą. W Myślenicach kupimy jakieś kanapki. Czy doręczono Rogalskiej wezwanie?

— Tak. Dzwoniłem do Zakopanego. Dzisiaj rano dostała wezwanie na siedemnastą, tak jak chciałeś.

— No to jedziemy.

Pani Lidka od kilku dni mówiła wszystkim swoim znajomym, że chyba będzie musiała wrócić do domu wcześniej, niż zamierzała, ale jakoś nie mogła się zdecydować na wyjazd. Nadal opalała się na Gubałówce i odwiedzała zakopiańskie knajpki, z tą tylko różnicą, że od pewnego czasu towarzyszył jej przystojny rajdzista w ciemnych okularach, a młody kulturysta gdzieś zniknął. Wezwany w pilnych sprawach rodzinnych („niestety... to straszne... jak mi przykro...”), wyjechał do domu. Na widok Danusi Nowak pani Lidka przechodziła szybko na drugą stronę ulicy albo skręcała do pierwszego lepszego sklepu. Któregoś dnia Danusia usiłowała ją dogonić, wołając „Lidka, Lidka!” („Oczywiście, przecież wypilam z nią na ty”), ale profesorowa zdążyła wsiąść w przejeżdżające sanki i odjechać. Poza tym nic się nie działo.

Wezwanie do komendy MO wytrąciło ją zupełnie z rów-

nowagi. Pojechała wprawdzie ze znajomymi na Gubałówkę. Ale po godzinie wróciła. Zgłosiła się do komisariatu nieco spóźniona, ale uśmiechnięta. Czekał na nią porucznik Jaworski z Nowego Targu i dwóch panów z Krakowa: kpt. Derko i por. Bartkowski. Pani Lidka wyraźnie usiłowała sprawiać wrażenie osoby beztroskiej. Zachowywała się swobodnie, może trochę za swobodnie. Na pytania odpowiadała z pobłażliwym uśmiechem: „Pan mnie już o to pytał, poruczniku ’... Każdym gestem zdawała się demonstrować lekkie zdziwienie i z trudem hamowała zniecierpliwienie. Porucznika Jaworskiego znała. Oczywiście nie omieszkała o tym wspomnieć

— Nie rozumiem, dlaczego pan powtórnie zadaje mi te same pytania. Już za pierwszym razem byłam nieco zdziwiona, dlaczego właśnie ja byłam przesłuchiwana w tej sprawie.

— Aż przesłuchiwana? Nie przesadzajmy. Zapewniam panią, że to jest normalny tryb postępowania. Rozpoczynamy śledztwo od zera. Musimy się dowiedzieć, kim była główna osoba dramatu, jakich miała przyjaciół, jakich wrogów, co robiła, jaka była naprawdę. Tego nie wyczytamy z dowodu osobistego denatki. Muszą nam w tym pomóc ludzie, którzy ją znali.

— Tak, ale ja prawie nie znałam pani Domańskiej. Zresztą pan wypytuje, gdzie byłam i co robiłam... właśnie wtedy... tego dnia...

— To chyba naturalne.

— Może. Ale bardzo krępujące. Mówiąc szczerze za pierwszym razem byłam w stanie to zrozumieć. Ale powtórne wezwanie trochę mnie dziwi.

— Widzi pani, sprawę przejął Kraków. Kapitan Derko, który z ramienia komendy wojewódzkiej prowadzi śledztwo, nie może się zadowolić wyłącznie suchym protokołem.

— Nie chciałem przerywać pani pobytu w Zakopanem i wzywać panią do Krakowa — odezwał się spokojnie Derko. — Kręcę się trochę po Podhalu, więc postanowiłem skorzystać z okazji i porozmawiać z panią.

— Rozumiem.

— Ale wracając do tematu. Wydaje mi się, że pani jednak

znała Agatę Domańską dosyć dobrze. W tej chwili już nie jesteśmy w punkcie zerowym, jak to określił porucznik Jaworski.

— Domyślam się.

— Wiem, że to może być dla pani nieprzyjemne, ale niestety, musimy poruszyć ten temat. Żeby pani ułatwić rozmowę, zapewniam panią, że orientujemy się w stosunkach, jakie łączyły panią Domańską z profesorem.

I wiemy, że pani była o wszystkim poinformowana.

— Stosunki, jakie łączyły panią Domańską z profesorem! Boże, cóż za określenie! Już koledzy z instytutu nie omieszkali naświetlić „sprawy”. Wyobrażam sobie panią Teresę w akcji. Ale trudno. Widzę, że muszę panu niektóre sprawy wyjaśnić.

— Właśnie tego się spodziewam.

— Mój mąż, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale mój mąż jest bardzo prózny — zresztą jak prawie każdy mężczyzna. Lubi, gdy go podziwiają, zabiegają o jego względy, to mu schlebia, zwłaszcza jeżeli osobą „oczarowaną” jest kobieta. Naprawdę jest zainteresowany wyłącznie swoją pracą i sobą samym. Ja zupełnie nie znam się na chemii i nie mogę podziwiać jego wyczynów naukowych. On szuka stale potwierdzenia. Pan rozumie? On się nigdy do tego nie przyzna, ale przeżywa różne kryzysy i załamania. Potrzebuje kogoś, kto mu będzie wciąż powtarzał, że jest genialny i na dodatek będzie umiał docenić to, co on robi. Poza tym, jak pan pewnie zauważył, Adam jest bardzo przystojnym mężczyzną, ale już niemłodym. Podziw kobiety, i to o wiele młodszej, szczególnie mu schlebia. Ale na tym koniec. Kiedy znajomość staje się nazbyt bliska i zobowiązująca, Adam szybko się wycofuje. Zaczyna mu ciążyć kłopotliwa sytuacja. Proszę pana, Adam uczuciowo jest związany wyłącznie ze mną. Wbrew pozorom jesteśmy bardzo dobrym małżeństwem. Oczywiście wiem o jego przygodach z asystentkami. Bo to na ogół są jego asystentki. Ale nie przywiązuję do tego wagi. Zazwyczaj dowiaduję się o tym ostatnia — tak to bywa, ale potem mąż sam mi o nich opowiada. Zwykle wtedy, kiedy sprawa jest już przebrzmiała. I tak też było z Agatą. To nie była dziewczyna dla niego. Zresztą

trudno ją nazwać dziewczyną, dawno już wyrosła ze szkolnego mundurka. Za poważna, za bardzo „na serio”. No i oczywiście sprawa szybko się rozleciała.

— Nie była pani zazdrosna?

— Nie. To znaczy trochę. Ale właściwie bardzo krótko. Dowiedziałem się o tej „sympatii” już w momencie, kiedy sprawa dojrzała do zerwania. Przez jakiś czas zwracałam trochę uwagi na Agatę, ale potem zupełnie przestałam się nią zajmować.

— Kiedy to było?

— Och, dwa albo trzy lata temu.

— Od dwóch lat nie interesowała się pani w ogóle Domańską?

— Zupełnie.

— W takim razie dlaczego w sobotę, 14 stycznia pojechała pani do Rabki?

— Jak to?

— Przecież była pani w nocy o 11-ej u Domańskiej.

— Nie, to nieprawda.

— Proszę się zastanowić, zanim pani odpowie. Nie ma sensu zaprzeczać. W „Orbisie” spotkała pani Danutę Nowak?

— Tak, chyba tak.

— O czym pani z nią rozmawiała?

— Nie pamiętam... no, o znajomych. Danusia opowiadała, kogo spotkała w Zakopanem. Zresztą nie potrafię dokładnie powtórzyć tej rozmowy. Byłam nieco zawiana.

— O której wyszła pani z „Piwnicy”?

— Nie wiem... Byliśmy tam dosyć długo.

— Szatniarka zeznała, że wyszła pani stosunkowo wcześniej. Przed dziesiątą.

— Nie wiem, która mogła być godzina. Wyszliśmy, ponieważ chciałam się pozbyć Danusi. Ona jest taka nachalna.

— Dokąd się pani udała?

— Pojechaliliśmy do „Watry”, ale nie dostaliśmy wolnego stolika.

— A potem?

— Potem... postanowiliśmy pojechać na spacer.

— Gdzie?

- Kawalek zakopiańską szosą. W stronę Nowego Targu.
- No i dokąd dojechaliście państwo?
- Naprawdę nie potrafię powiedzieć dokładnie.
- Minęliście Nowy Targ?
- Chyba tak... – pani Lidka zawahała się. – Tak, na pewno przejechaliśmy kawalek dalej. Zatrzymaliśmy się przy jakiejś bocznej drodze. Wypaliliśmy papierosa, trochę porozmawialiśmy... no i wróciliśmy do Zakopanego.
- Co było dalej?
- Wróciłam do domu.
- Proszę pani. Naprawdę szkoda czasu na takie bajeczki. Pokojówka z „Modrzewiówki” oświadczyła, że wróciła pani do pensjonatu dopiero o szóstej rano. uprzątała właśnie hall i widziała panią.
- Skąd ona może wiedzieć, czy nie wyszłam rano na spacer. Mogłam wracać ze spaceru.
- Wyszła pani na spacer przed szóstą? I to na dodatek w czarnych lakierkach i w wieczorowej sukni? Miała pani rozpięte futro na sobie.
- Pani Lidka przez chwilę milczała. Wreszcie powiedziała niechętnie.
- Pan mnie zmusza do bardzo nieprzyjemnych zwierzeń. To naprawdę moja osobista sprawa, gdzie byłam co robiłam. Ale jeśli odmówię odpowiedzi, pan pomyśli Bóg wie co. No więc po powrocie do Zakopanego wstąpiłam do Ryszarda na kieliszek koniaku. Potem zrobiło się już późno. Nie chciałam o tej porze wracać do pensjonatu. Istotnie wróciłam do domu dopiero o szóstej rano. Wiedziałam, że c tej porze drzwi wejściowe będą już otwarte.
- Jak się nazywał ten młody człowiek, z którym spędziła pani noc?
- Pani Lidka gniewnie wzruszyła ramionami.
- Ryszard Markowski.
- Jego adres?
- Nie znam jego adresu.
- Nie szkodzi. My znamy. Pani sądzi, że pan Ryszard Tarkowski potwierdzi pani zeznania?

– Jestem o tym przekonana.
– Na pani miejscu nie byłbym tego taki pewny.
Pani Lidka uderzyła dłonią o blat biurka.
– Mam tego dosyć!
– Ja również – powiedział ostrym tonem Derko. – Jakiej marki samochód ma ten pani „inżynier” z Zabrze?
– Skodę.
– O jedenastej w nocy podjechała pani pod dworzec kolejowy w Rabce czerwona skoda. Rozmawiała pani z dwoma mężczyznami, którzy wychodzili właśnie ze stacji. Pytała pani o ulicę Pocztową.
– To nie byłam ja.
– Rozpoznali pani fotografię.
– Musieli się pomylić. Zresztą skąd mogę wiedzieć, co się przywidziało jakiemuś pijakowi.
– Skąd pani wie, że byli pijani?
– Wiadomo, co o tej porze robią mężczyźni na dworcu kolejowym. Piją piwko w restauracji dworcowej.
– Jeden z nich jest kolejarzem. Może był już po służbie i po prostu wychodził z pracy? Skończmy tę zabawę. Ci mężczyźni czekają w sąsiednim pokoju. Czy mam ich zawołać?
Profesorowa nerwowo obracała w palcach zapalniczkę. Widać było, że nawet nie wie, co trzyma w ręce.
– Była pani w rękawiczkach?
– Co takiego .
– Czy miała pani rękawiczki na rękach? Sądzę, że nie.
– Nie rozumiem.
– Czy jest pani pewna, że nie zostawiła pani żadnych odcisków palców? A na pana Markowskiego niech pani naprawdę nie liczy – dodał po chwili Derko.
Rogalska nadal milczała.
– No więc?
– No tak... Byłam w Rabce... Nie chciałam o tym powiedzieć, bo wiedziałam, że będzie mnie pan podejrzewać. – Nagle się rozplakała. – To było straszne. Ja tego nie zrobiłam. Nie wiem, co mi przyszło do głowy. Adam właśnie poprzedniego dnia zadzwonił, że nie może do mnie przyjechać, tak jak obiecywał...

I kiedy Danusia Nowak powiedziała... powiedziała w taki szczególny, obrzydliwy sposób, że „nasza” Agatka też jest na Podhalu, nagle pomyślałam, że Adam mnie okłamuje... że na pewno jest u niej... Chciałam tylko sprawdzić. Gdyby jego samochód stał pod domem, w ogóle bym tam nie wchodziła... po prostu bym wiedziała, chciałam się tylko przekonać. Gdybym była trzeźwa, nigdy bym tego nie zrobiła...

— Czego by pani nie zrobiła?

— No... Nie pojechałabym do Rabki. To było głupie.

— Więc pojechała pani do Rabki, żeby sprawdzić, czy mąż pani nie złożył wizyty pani Domańskiej? Proszę to dokładnie opowiedzieć.

— Ulicę Pocztową znaleźliśmy bez trudu. Ryszard zatrzymał samochód koło poczty, a ja poszłam w stronę tego domu. Furtka w ogrodzie była otwarta. Obeszłam dom dookoła, ale nie znalazłam samochodu męża. Za domem jest garaż, oczywiście nocą był zamknięty. Pomyślałam, że może wprowadził wóz do garażu. W całym domu były wygaszone światła. Tylko w jednym pokoju na parterze świeciło się. Tam jest taki mały taras. Weszłam na ten taras... ale nic nie mogłam zobaczyć, bo na drzwiach balkonowych wisiała zasłona. Stałam przez chwilę nasłuchując. Kiedy się oparłam o te drzwi, żeby zajrzeć do środka, okazało się, że są tylko lekko przymknięte. Wystraszyłam się, że teraz ten ktoś, kto jest w pokoju, na pewno mnie zobaczy. Ale w pokoju nadal panowała cisza... a przez szparę... bo drzwi się uchyliły... zobaczyłam tapczan i Agatę... tak dziwnie skrzyżowaną. Uciekłam...

— Weszła pani do pokoju?

— Nie... zresztą może weszłam. Stałam w progu i myślałam: „Jej coś się stało”. Tak. Zrobiłam kilka kroków w jej stronę, ale zaraz się zatrzymałam, bo zdałam sobie sprawę, że powinnam jak najszybciej stamtąd uciekać.

— Proszę powiedzieć dokładnie, co pani widziała.

— Ona leżała na tapczanie. Była ubrana... nie pamiętam, jak... chyba w spódnicę i sweter. Miała ciało tak nienaturalnie wykręcone, że od razu zrozumiałam, co się stało... to znaczy, że nie żyje. W ręce trzymała brzeg koca, który zwisał na podłogę.

Nie wiem nic więcej.

— Dlaczego nie powiedziała pani tego od razu?

— Bałam się. Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Miałam nadzieję, że jakoś uda mi się uniknąć... uniknąć...

— Czy jest pani pewna, że to już wszystko? Radzę się zastanowić.

Profesorowa wahała się przez chwilę, wreszcie powiedziała z desperacją.

— Nie, to nie wszystko. Byłam już przy furtce ogrodowej, kiedy pomyślałam, że jutro rano ktoś wejdzie do pokoju i znajdzie ją... Przyjedzie milicja... Będzie śledztwo... Nie przyszło mi wtedy nawet do głowy, że to może być morderstwo. Byłam przekonana, że to samobójstwo albo wypadek. Ale w takich sytuacjach milicja również się pojawia. Nie znam się na technice śledztwa, daktyloskopii i różnych takich sprawach, ale u nas nawet dziecko wie coś o odciskach palców — pani Lidka uśmiechnęła się z pewnym wysiłkiem. — Byłam- w zupełnej panice. Pomyślałam o tym wszystkim w ułamku sekundy i wróciłam. Szalikiem wytarłam klamkę i szybę w drzwiach balkonowych. Weszłam do pokoju, żeby wytrzeć wewnętrzną klamkę. Nie pamiętałam, czy jej dotykałam. Wtedy z zamka wypadł klucz. Przyszło mi do głowy, że jak zamknę drzwi na klucz, to będzie zupełnie oczywiste, że nie mogłam wejść przez balkon, a drugich drzwi, które zresztą nie wiem, dokąd prowadzą, nie dotykałam. Nawet do nich nie podchodziłam. Zamknęłam pokój od zewnątrz i zabrałam klucz. Nie mogłam go zostawić, bo wtedy cały mój pomysł, że niby nie wchodziłam przez taras do pokoju, byłby nierealny. Oczywiście kiedy ochłonełam i zastanowiłam się nad tym względnie spokojnie, zrozumiałam, że zrobiłam straszne głupstwo. Ale było już za późno. Jechałam z Ryśkiem szosą zakopiańską i nie mogłam mu powiedzieć, żeby wrócił do Rabki. Zresztą bałam się wracać. Nie wiedziałam, co zrobić z kluczem. Najchętniej wyrzuciłabym go gdzieś do zasy py śnieżnej, ale nie chciałam tego robić przy Ryśku.

— Ma pani jeszcze ten klucz?

— Nie. Wrzuciłam go do rzeki na drugi dzień podczas

spaceru.

Derko przyglądał się przez chwilę pani Lidce.

— Chyba pani rozumie, w jakiej się pani znalazła sytuacji?

— Tak... Oczywiście... ale ja tego nie zrobiłam. Ona wtedy już nie żyła. Powiedziałam prawdę. Nie miałam powodu. Wiedziałam, że to stara historia, zresztą, mówiłam już panu, nie traktowałam poważnie sympatii mojego męża.

— Okoliczności przemawiają przeciwko pani.

— Wiem...

— W takim razie proszę się zastanowić, kto mógłby mieć powód, żeby zamordować Agatę Domańską.

— Pojęcia nie mam. Nikt ze znanych mi ludzi nie mógł tego zrobić.

— Ja bym ją przymknął — powiedział porucznik Jaworski po wyjściu pani Lidki z pokoju.

— Po co? Przecież nie ucieknie, jest pod pańską opieką. A poza tym te drzwi były naprawdę przez jakiś czas otwarte.

— Skąd pan wie?

— Tej nocy, jak pan sobie przypomina, padał śnieg. Przez uchylone drzwi musiało go sporo nawiać do pokoju. Kiedy Rogalska je zamknęła, śnieg stajał, ale na podłodze pozostała charakterystyczna plama.

— Załóżmy, że tak było. No to co z tego?

— Co z tego? — powiedział Derko z roztargnieniem, jakby wszelkie wyjaśnienia uważał za zbędne. — Doktor Ziarnicki określił przypuszczalny czas zgonu: od dziewiątej do jedenastej. Właściwie nawet od ósmej do jedenastej, ale przyjęliśmy godzinę dziewiątą, dziewiątą piętnaście jako najwcześniejszą, ponieważ Domańska była o dziewiątej jeszcze na poczcie. Nawiasem mówiąc nie podoba mi się ten jej telefon. Ale to zupełnie inna sprawa. Od początku miałem wątpliwości, czy lekarz sądowy podał właściwą godzinę zgonu. Ale doktor Ziarnicki jako punkt wyjścia przyjął, że zwłoki przebywały przez cały czas w ogrzewanym pokoju. Jeżeli jednak przez pewien okres, nie wiemy jeszcze, jak długo, leżały w tempera-

turze o wiele niższej od pokojowej, znamiona śmierci wystąpiły z dużym opóźnieniem, a więc śmierć mogła nastąpić wcześniej, niż przypuszczamy. W takim razie Rogalska nie mieści się w tym czasie.

— Ma pan rację.

— No, no, niech się pan za bardzo nie przywiązuje do tej koncepcji. Po prostu to jedna z możliwości i nie należy jej lekceważyć.

Andrzej zjawił się w instytucie dopiero o pierwszej. Ponieważ musiał tego dnia skończyć „testy specjalne”, zamknął się natychmiast w pracowni. Kiedy koło szóstej wyszedł z „Pawilonu A”, okazało się, że autobus do miasta dawno już odjechał. Dopiero o dziewiątej odchodził ostatni autokar odwożący pracowników, którzy musieli zostać w instytucie do tak późnej godziny. Na małym parkingu przed budynkiem administracyjnym stało kilka samochodów prywatnych. Portier obiecał, że zadzwoni, gdyby ktoś odjeżdżał. Andrzej wstąpił też do dyspozytora, aby się dowiedzieć, czy służbowy samochód nie jedzie do miasta, w końcu zdecydował się jednak poczekać na jakąś okazję lub w najgorszym razie na autokar o dziewiątej. Wrócił więc do swojego pokoju i rozłożył papiery na biurku. Zanim jednak wziął się do roboty, zadzwonił do Doroty.

— Nie, naturalnie, że się nie gniewam, ale przyjdź koniecznie, nawet gdyby ci się nie udało przyjechać wcześniej.

— Bardzo możliwe, że przyjadę dopiero wpół do dziesiątej – powiedział Andrzej.

— Nic nie szkodzi, czekam na ciebie z gorącą herbatą.

— Co robiłaś cały dzień? Dzwoniłem o pierwszej, ale cię nie zastałem.

— Musiałam Wyjść. Wyobraź sobie, odwiedził mnie dzisiaj rano docent Gębicki.

— Gębicki? – Andrzej był zaskoczony. – Czego chciał od ciebie? –

— Właściwie to nie bardzo wiem. „Okazać mi trochę serca”, w każdym razie coś takiego wymamrotał przy powitaniu.

— Gębicki? — powtórzył Andrzej. — Nie opowiadaj, że taki odludek jak on stał się nagle serdeczny i to dla osoby prawie obcej.

— Och, nie wiem! Przyszedł, długo i zawile coś mówił, wreszcie zaproponował mi swoją pomoc. Bardzo mu podziękowałam i zapewniłam, że ze wszystkim damę sobie świetnie radę sama. Koniecznie chciał jednak coś dla mnie zrobić i zaofiarował się, że uporządkuje papiery Agaty.

— Jakie papiery?

— O to samo go zapytałam. Powiedział, że może zostały jakieś nie wykończone prace Agaty albo jakieś notatki, a przecież nie znam się na tym, więc on to przejrzy, posegreguje, część wyrzuci, a to, co dotyczy pracy w instytucie, przekaże profesorowi. Był pełen dobrych chęci. Aż mi przykro, że już oddałam, co było do oddania, do instytutu. Trochę nudził, że może jednak w czymś mógłby się przydać, wreszcie poszedł.

— Niepodobne to wszystko do Gębickiego. Nigdy nie wtrącał się do cudzych spraw i nie interesowało go, co kto robi. Poza tym nie pracuje w zespole Agaty.

— Po prostu taki gest.

— To nie w jego stylu.

— Takie jakieś dziwadło. Andrzej, wracaj szybko, czekam na ciebie.

— Cześć, Dorotko.

— Cześć.

Odłożył słuchawkę i zapalił papierosa. Przypomniawszy sobie, że kiedy przechodził przed chwilą koło pokoju docenta Gębickiego, widział klucz w zamku.

Chyba jeszcze jest w instytucie — pomyślał i wyszedł z pokoju.

Istotnie Gębicki siedział przy biurku w swoim gabinecie. Patrzył zaskoczony na Andrzeja, zdjął okulary tylko po to, żeby je natychmiast z powrotem nałożyć.

— Dobry wieczór, kolego, pan jeszcze tutaj?

— Uciekł rai autobus. Zauważyłem, że drzwi są u pana otwarte... Zimno, może napijemy się herbaty?

— Nie, dziękuję — odpowiedział Gębicki niechętnie.

— Mam w pokoju grzałkę, mogę w każdej chwili przygotować.

– Dziękuję. Piłem przed chwilą – i rozejrzał się bezradnie, jakby w poszukiwaniu pustej szklanki. – Mam jeszcze sporo pracy... pan wybaczy...

– Nie będę panu przeszkadzać, wpadłem tylko na chwilę – powiedział Andrzej siadając niedbale w starym fotelu. – Nie uważa pan, że ostatnio w instytucie zrobiła się atmosfera nie do wytrzymania?

– Atmosfera?... Nie wiem, o czym pan mówi – odpowiedział Gębicki, niechętnie obserwując kłęby dymu z papierosa. Sam nie palił i nie znośli, kiedy ktoś palił w jego gabinecie. – Naprawdę nie mam czasu na rozważania tego typu, zostawmy to pani Teresie – dodał z nikłym uśmiechem na twarzy.

– Wreszcie to nasza koleżanka zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Panie magistrze, podziwiam pana, że pan się tym zajmuje. Co to znaczy „w niewyjaśnionych okolicznościach”? Dlaczego pan sugeruje, że... dlaczego pan w ogóle o tym mówi?

Gdyby wszystko było takie jasne, kapitan Derko już dawno zająłby się czym innym. Tymczasem przesłuchuje pracowników instytutu, jakby ktoś z nas był podejrzany.

– W takich sytuacjach zawsze przesłuchuje się najbliższych znajomych. Szukają motywu i przypuszczam, że już znaleźli.

– Tak pan sądzi? Pan naprawdę wierzy, że Agata popełniła samobójstwo? Z miłości do profesora?

– To mnie nie interesuje.

– Jeżeli nie popełniła samobójstwa, zabójcy należy szukać wśród nas.

– Co pan! Co pan opowiada!... Skąd możemy wiedzieć. Znała przecież ludzi spoza instytutu, mogła mieć jakieś sprawy, o których my nic nie wiemy.

– Ale szukają wśród nas.

– To nie ma znaczenia. Od czegoś muszą zacząć.

– Znałem Agatę. Pan również. Wiem, że nie miała przyjaciół poza instytutem. Natomiast tutaj była związana z różnymi ludźmi...

Gębicki przekładał teraz papiery na biurku.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nie interesują mnie cudze

sprawy.

— Tak też myślałem. Toteż zdziwiłem się bardzo, kiedy się dowiedziałem o pańskiej wizycie u Doroty. Okazuje się, że jednak czasem interesują pana cudze sprawy.

— Już zaznaczyłem, że jestem bardzo zajęty — powiedział lodowato docent Gębicki. — Pańskie uwagi są wysoce nie na miejscu. Chciałem pani Dorocie zaproponować swoją pomoc... teraz żałuję, że to uczyniłem.

— Pomóc w porządkowaniu papierów Agaty, do których nie ma pan prawa? Agata nie pracowała w pańskim zespole, nie prowadziła żadnych spraw związanych z waszym planem prac. Jej opiekunem był profesor Trembicki.

— Gdybym przypuszczał, że mój gest zostanie w ten sposób zrozumiany... Zresztą nie widzę powodu, dla którego miałbym się przed panem tłumaczyć.

— Ja też.

— Jak to?

— Ja też nie widzę żadnego powodu, a jednak pan to robi.

— Proszę... proszę natychmiast...

— Słucham?... Śmiało! Powinien pan to zrobić już dawno.

— Co takiego?

— Wyrzucić mnie za drzwi. Co pana powstrzymuje?

— Nie przywykłem do brutalności. A teraz może istotnie zostawi mnie pan samego.

— A ja nie przywykłem do zbrodni. — Andrzej wstał i cisnął papierosa do kosza ze śmieciami. — Muszę wiedzieć, kto to zrobił.

Gębicki wstał również.

— Może pan? — powiedział podrażnionym tonem.

— Nie rozmawiałbym z panem o tym teraz. Powtarzałbym w kółko, że mnie nie interesują cudze sprawy i że o niczym nie wiem.

— Tak, jak ja? Ale to pan tam był, nie ja.

— Skąd pan wie?

— Wszyscy wiedzą.

— Mirka też tam była i to o wiele wcześniej ode mnie.

— Właśnie, nieco za wcześniej, żeby to zrobić.

— To ona tak twierdzi.
— Są na to dowody.
— Jakie?
— Telefon.
— Jest pan świetnie poinformowany. Czy kapitan składa panu raporty ze śledztwa?

Otóż właśnie wiem to od niego. Oświadczyłem, że obecność Mirki w Rabce w dniu śmierci Agaty wydaje mi się co najmniej dziwna. Kapitan wyjaśnił mi, że moje podejrzenia są bezpodstawne.

— I co jeszcze?
— Że to właśnie pan jest najbardziej podejrzany.
— Kapitan Derko tak powiedział? — Andrzej uśmiechnął się kpiąco. — Po co? W jakim celu miałby panu to mówić?

— Nie wiem. Może chciał usłyszeć ‘moje zdanie na ten temat?’
Andrzej przyglądał się w milczeniu Gębickiemu, potem zapalił jeszcze jednego papierosa i rzucił nonszalancko zapalną na podłogę.

— Nie będę panu dłużej przeszkadzać — wstał powoli i skierował się w stronę drzwi. Zatrzymał się jednak na środku pokoju: — Niepotrzebnie wymyślił pan tę całą historię o kapitanie. Przecież mogła to wszystko powiedzieć panu Mirka. Na pewno wiedziała od profesora, że Agata po jej wyjeździe zgłosiła się do telefonu.

*

Andrzej wrócił do swojego pokoju, ale już nie usiadł do roboty. Przez chwilę stał w oknie, obserwując pusty dziedziniec instytutu, wreszcie cisnął niedopałek do kosza. narzucił kozuch i wyszedł śpiesznie, zamykając drzwi na klucz. Przechodząc koło pokoju Gębickiego zatrzymał się i z pewnym wahaniem wyciągnął rękę, jakby chciał zapukać, ale właśnie w tej chwili usłyszał dzwonek telefonu dochodzący z gabinetu docenta. Na ułamek sekundy znieruchomiał. Usłyszał głos Gębickiego: „Słucham, Gębicki przy telefonie”. Wtedy machnął ręką i odszedł śpiesznie w stronę głównego hallu.

Na dworze znów sypał śnieg. Samochody zaparkowane przed

instytutem pokryte już były cienką warstwą puchu. Postawił kołnierz, naciągnął czapkę na uszy i szybkim krokiem przeszedł przez dziedziniec, do głównej bramy. Strażnik, który go zresztą na pewno dobrze znał z widzenia, zaszalutował i zażądał okazania legitymacji. Andrzej spojrział na zegarek. Było wpół do siódmej.

Tuż za bramą jasny krąg światła na śniegu wyznaczał granice instytutu. Dopiero po kilkunastu krokach wzrok powoli oswajał się z ciemnością, z której wyłaniały się ośnieżone drzewa po obu stronach dosyć szerokiej alei. Była to boczna droga prowadząca wyłącznie do instytutu.

Po dwudziestu minutach solidnego marszu Andrzej zobaczył między drzewami światła szosy krakowskiej i niedaleko skrzyżowani grupkę ludzi, stojących przy przystanku autobusowym. Był już zupełnie blisko, kiedy w uliczkę skręcił z fasonem jakiś samochód. Drawski zmrużył oczy, oślepiiony światłami reflektorów?, i uskoczył w bok.

– To łobuz – mruknął i obejrzał się. – Jedzie jak wariat.

Na przystanku kilka osób przytupywało niecierpliwie. Zgodnie z rozkładem jazdy autobus powinien nadejść za dziesięć minut. Ale nie nadjechał. Zniecierpliwieni pasażerowie zaczęli poklinać, Andrzej spacerował tam i z powrotem, spoglądając coraz częściej na zegarek.

Docent Gębicki nie pracował tego dnia zbyt długo. Za piętnaście siódma oddał na portierni klucz do swojego pokoju i wyszedł z instytutu. Przed główną bramą zatrzymał się, spojrział na zegarek, zrobił kilka kroków w stronę alei Kasztanowej i znowu się zatrzymał, jakby perspektywa samotnego długiego spaceru przejmowała go wyjątkową niechęcią. Przez chwilę stał wpatrując się w zaśnieżoną drogę, po czym wrócił jednak pod bramę. Zaczął spacerować w oświetlonym kręgu tam i z powrotem, wreszcie kiedy się zorientował, że z okienka stróżówki obserwuje go zdziwiony strażnik, oddalił się z pewnym ociąganiem.

Budynek instytutu zniknął już za drzewami, kiedy u wylotu

drogi zablęsy światła nadjeżdżającego samochodu. Gębicki bezwiednie przyspieszył kroku, ale po chwili zatrzymał się. Światła reflektorów szybko się zbliżały, kołyszac się nierówno. Samochód chwilami zwalniał albo zupełnie bez powodu przyspieszał, skręcając niespodzianie to w prawo, to w lewo. Gębicki zaczął machać ręką, jakby obawiał się, że kierowca może go nie zauważyć.

Nagle, oślepiiony ostrym światłem, zasłonił ramieniem twarz i cofnął się gwałtownie. Potknął się o coś i dał dzikiego susa w bok. Wywrócił się w zaspę, ale natychmiast się zerwał. Stał oparty o pień jakiegoś drzewa, dysząc ciężko, i patrzył nieprzytomnie na stojący w poprzek drogi samochód, z którego wyskoczył jakiś mężczyzna.

— Nic się panu nie stało? — wołał profesor Rogalski biegnąc w jego stronę.

Z samochodu wysiadła Mirka Pelska. Śmiała się głośno. Szła, zataczając się.

— Gębicki? Jak Boga kocham, Gębicki we własnej osobie! Dlaczego pan nie uważa?

Profesor chwycił go za ramię.

— Proszę się odezwać, panie docencie! Nic się panu nie stało?

— Nie... nie... Nic... — Gębicki wydawał się już nieco spokojniejszy.

— Tak mi przykro. Przepraszam pana stokrotnie.

Mirka już go tarposiła za rękaw.

— Wystraszył się pan? Och, jaki nerwowo! — I znowu zaczęła się śmiać.

Nie... Co znowu... — Gębicki usiłował otrzepać z płaszcza śnieg, potem wyciągnął z zasy te czkę. Nie pamiętał, kiedy wypuścił ją z rąk.

— Odwiozę pana do domu — profesor otworzył drzwiczki samochodu.

— Dziękuję... Chyba jednak przejdę się do przystanku autobusowego.

— Strasznie mi przykro — powtórzył profesor. — Mirka jest... no, trochę wypiła. Nie powinna siadać za kierownicą, ale uparła się, no i myślałem, że na tej pustej drodze mogę jej na to

pozwolić.

— A osoby nietrzeźwe nie powinny prowadzić samochodu, prawda, panie docencie? — Mirka trzymała go. znowu za rękaw. — Jak pan myśli? Adam jest bardzo wyrozumiały dla pijaków. Adam, dlaczego się zgodziłeś?

— Mireczko, proszę cię, wracaj do wozu.

— Nie, nie! Mówiłeś, że chcesz koniecznie porozmawiać z Gębickim, miałeś go odwieźć do domu!

— Tak, ale chyba odłożymy tę rozmowę do jutra. Przepraszam, że wyciągnąłem pana z instytutu i naraziłem na czekanie, no i na taką przygodę... Nie zabrałbym Mirki ze sobą, gdybym wiedział, że coś takiego może się zdarzyć. Proszę, niech pan wsiada. Pojedziemy.

— Skoro nie ma pan do mnie żadnej pilnej sprawy, to jednak... pójde piechotą. Do autobusu już niedaleko. Spacer dobrze mi zrobi.

— O nie! Nigdzie pan nie pójdzie! Mam dla pana coś! Tak, mam dla pana prezent. — Mirka wyciągnęła z samochodu jakiś pakunek niestarannie owinięty w gazetę. — Przecudowny korzeń, z którego może pan zrobić świecznik albo wieszak, albo zupełnie coś innego.

— Mireczko... — profesor bezskutecznie usiłował uspokoić swoją towarzyszkę.

— Adam! Nie wiesz sam, czego chcesz! Najpierw umawiasz się z docentem, a potem gotów jesteś zostawić go na środku drogi!

— Mireczko...

— Musi pan wziąć ten korzeń! — Mirka wepchnęła mu w rękę nieforemną, dużą paczkę. — Mogłam pana przejechać. To straszne! .Przez pana parę pięknych lat spędziłabym w więzieniu. I żegnaj, chemio, żegnaj, luby — roześmiała się nieprzyjemnie i zawisła na ramieniu Rogalskiego. — Chociaż... nie mamy przecież świadków. Adam nie powiedziałby nikomu ani słowa. Nie powiedziałbyś, prawda?

— Mireczko, proszę cię, przestań.

Gębicki stał, ściskając pod pachą paczkę. Nie odezwał się ani słowem.

– Docencie, przebaczam panu!

– Nie pleć głupstw! – Profesor był już wyraźnie zniecierpliwiony.

– Tak, przebaczam mu. Niech pan nie zgubi prezentu. Jest niezmiernie cenny. Opakowanie również. Jak pan nie wierzy, może pan zapytać mojej ciotki. Ona od lat zbiera wszystkie możliwe gazety. Niedługo zginie pod stosem makulatury. Od czasu do czasu udaje mi się, ku jej rozpaczy, wynieść jakąś paczkę i wyrzucić. Trzyma pan w ręce „archiwalny” egzemplarz z jej zbioru. – Znowu zaczęła się śmiać. – Naprawdę archiwalny! Niech pan sprawdzi!

– Jedziemy, Mireczko – profesor stanowczo odciągnął Pelską w stronę samochodu. – Niech pan wsiada, docencie.

– Nie... nie... dziękuję. Powietrze dobrze mi robi.

– W takim razie my po jedziemy do instytutu – profesor pomógł Mirce wsiąść. – Zaparzę kawę.

– Gębicki! Niech pan uważa na siebie, o wypadek nietrudno! Trzasnęły drzwiczki i samochód ruszył, tym razem prowadzony pewną ręką profesora.

Gębicki jeszcze przez chwilę obserwował oddalające się czerwone światelko, a potem ruszył spiesznie w przeciwnym kierunku. Chwilami usiłował biec. Stawał, oddychając nierówno, oglądał się za siebie i znowu szedł w stronę szosy krakowskiej.

Na przystanku autobusowym marzła grupka pasażerów. Jakiś facet wykrzykiwał, że to skandal, że złoży zażalenie.

– Panie – uspokajała go starsza pani z walizką. – Teraz przy takich śnieżnych zamieciach wszystkie autobusy się spóźniają!

Gębicki w pierwszej chwili nie zauważył Andrzeja, toteż drgnął nieprzyjemnie zaskoczony, kiedy usłyszał koło siebie jego spokojny, drwiący głos.

– Już pan skończył?

– Co?... O co chodzi? – zapytał opryskliwie Gębicki.

– Pracę. Godzinę temu twierdził pan, że ma pan niesłychanie dużo pracy.

– Co pan tu robi?

– Dziwne pytanie. Czekam na autobus – Andrzej spojrzął na

zegarek. – Od pół godziny stoję na tym przystanku.

– Ach tak, oczywiście...

Andrzej przyglądał się z pewnym zaciekawieniem docentowi.

– Co to za wspaniały okaz? – zapytał wskazując na dziwaczne zawiniątko. Z podartej gazety wystawał pokręcony korzeń.

Gębicki był wyraźnie speszony. Obracał w ręce niezgrabną paczkę, jakby dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę, że ją w ogóle niesie. Potem nagle zdarł z niej gazetę, zmiął i cisnął za siebie. Twarz Andrzeja wyrażała coraz większe zdziwienie.

– Czy coś się stało? – zapytał.

– Nie, nic. Dlaczego pan pyta?

– Wygląda pan na bardzo zmęczonego.

– Tak, jestem zmęczony. Jestem... Po prostu nie najlepiej się czuję. Przepraszam pana bardzo. Proszę się nie gniewać – i Gębicki odszedł kilka kroków. Minął wszystkich ludzi stojących na przystanku i zatrzymał się odwrócony plecami do reszty pasażerów. Stał chwilę nieruchomo, a potem szerokim łukiem rzucił nieszczęsny korzeń w śnieg. Andrzej podniósł zmiętą gazetę, wyprostował pierwszą stronę, po czym zwinął ją w kulkę i wcisnął do przepelnionego kosza na śmieci.

– Jest już bardzo późno – Andrzej spojrział na zegarek. – Wpadłem tylko na chwilę.

– Posiedź jeszcze. Wcale nie chce mi się spać – powiedziała Dorota zbierając naczynia ze stołu.

– Pomogę ci zmywać.

– Nie, nie trzeba. Potem umyję.

– Dorota... nie wiem, jak ci to powiedzieć... Ale czy nie wolałabyś na jakiś czas zamieszkać u mnie. Moja mama na pewno by się ucieszyła.

– Bardzo ci dziękuję, ale nie skorzystam z twojego zaproszenia. Nie widzę potrzeby. Zresztą niedługo wyjadę do Wrocławia, za dwa tygodnie zaczyna się sesja egzaminacyjna.

– Mogłabyś te dwa tygodnie spędzić u mnie.

– Naprawdę, Andrzej, bardzo ci dziękuję. Ale dlaczego

akurat teraz mi to proponujesz?

— Już od dawna o tym myślałem. To chyba niezbyt miłe dla ciebie mieszkać tutaj, w tym pokoju, w którym wszystko ci przypomina Agatę...

— Nie, nie... mylisz się. To nie ma znaczenia.

— Zresztą nie tylko dlatego...

— No więc...

— Dorota... nie chciałaś, żeby o tym z tobą rozmawiać... ale... Dorota, śmierć twojej siostry jest nadal nie wyjaśniona. Bardzo możliwe, że została zamordowana.

Nie wiem, kim jest ten człowiek, który to zrobił, i jakie miał motyw. To pewnie przesada z mojej strony, ale nie mogę się powstrzymać, żeby nie obserwować kolegów Agaty. Teraz wszyscy wydają mi się podejrzani. Nie potrafię ci tego dokładnie wytłumaczyć. To już zakrawa na obsesję... W każdym razie boję się. Dopóki nie będę wiedział, czego chciał ten człowiek od Agaty, będę się bał.

— Nie rozmawiałam z tobą na ten temat, bo po prostu nie mogłam. Ale teraz już mogę. Nawet chcę. Widzisz, ja też o tym stale myślę. Nie wiem, czy śledztwo w tej sprawie jest już zamknięte...

— Nie. Jeszcze dzisiaj byłem wzywany na milicję.

— Usiłowałam sobie wytłumaczyć, że to nie ma sensu. Nic już nie zmieni faktu, że Agata nie żyje. Ale jednak muszę wiedzieć, jak było naprawdę. Dręczy mnie myśl, że to mogło być samobójstwo. Jestem przekonana, że nie, ale jednak... Musisz mnie zrozumieć. Byłoby to dla mnie straszne. Niemniej straszne jest przypuszczenie, że ją ktoś zamordował. Ale nie mogę się pogodzić z tym, że Agata była aż tak nieszczęśliwca, że mogła to zrobić... Cierpiała, a ja o tym nie wiedziałam... Mogłam, powinnam jej pomóc... Nic nie zrobiłam, żeby ją uratować... a przecież mogłabym, gdybym wiedziała...

Dorota wstała i podeszła do okna, żeby ukryć łzy.

Nie wolno ci się tak zadręczać... — powiedział łagodnie Andrzej. — Nic nie mogliśmy zrobić. Nie wiem, kto ją zabił, ale dowiem się tego.

— Nie chcę się mścić. Wydaje mi się, że gdyby w tej chwili

stał przede mną jej zabójca, wywołałby we mnie tylko uczucie szalonego zdziwienia. Dlaczego? Dlaczego to zrobił?... Zresztą nie wiem, jak bym zareagowała?..

— Dorota! Widzisz, ten człowiek jest jeszcze na wolności. Boję się go. Tym bardziej, że nie wiem, o co mu chodzi. Czego chce. Nie wiem, dlaczego i nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale stale niepokoję się o ciebie. Naprawdę chciałbym, żebyś zamieszkała u mnie...

Ależ to nonsens. Zostanę tutaj. Zresztą, jak ci już mówiłam, niedługo muszę wyjechać. Mam tu idealny spokój. Trochę się uczę do egzaminów i... czekam. Ciągle czekam. To wszystko musi się wreszcie wyjaśnić. Prawdopodobnie nie będzie mi wcale źle, ale jednak chcę wiedzieć.

— U mnie też możesz się uczyć.

Nie. nie. Dajmy temu spokój. Napijesz się jeszcze herbaty? Zaraz przygotuję.

Andrzej popijał powoli gorący płyn, z namysłem przyglądając się Dorocie, która — już zupełnie opanowana — siedziała obok w fotelu.

— Mówiłeś, że wszyscy wydają ci się podejrzani powiedziała powoli, myśli?— Czy masz kogoś konkretnego na myśli?

— Nie. Po prostu kiedy się teraz przyglądam moim kolegom, wydają mi się nieco dziwni. Ale oni pewnie zawsze tacy byli, tylko nie zwracałem na to uwagi.

— Na przykład kto?

— Czy ja wiem. No, choćby Mirka.

Dorota zagryzła usta.

— Powiedziałas sama, że chcesz o tym mówić. Może jednak...

— Nie, nie. Nie zwracaj na mnie uwagi. Oczywiście nie mogę spokojnie o niej myśleć. Była tam, zanim to się stało. Ona musi mieć bezpośredni związek z... tym wszystkim. Ale nie powiedziałabym o niej, że jest dziwna.

— Masz rację. Ona się tylko dziwnie zachowuje. Na zmianę demonstruje to szaloną nonszalancję i pewność siebie, to znów jest załamana i płacze, z czym się wcale nie tai. Kiedy nadeszła wiadomość o śmierci Agaty, Mirka doznała jakiegoś szoku. Płakała, rozpaczała, podobno była prawie niepoczytalna z

rozpaczy. Jej reakcja wydaje się nieco przesadzona. Wszyscy wiedzą, że nie znosiła Agaty.

— Przyjmując wersję samobójstwa, jej szok jest zupełnie usprawiedliwiony. Czuje się winna. Była u niej i prawdopodobnie jej rozmowa z Agatą stała się bezpośrednią przyczyną...

— Przecież nie wierzysz w samobójstwo.

— Nie. Tym bardziej z powodu Rogalskiego. A tylko w tym wypadku Mirka mogłaby czuć się winną.

— Wykluczasz, że to przez Rogalskiego?

— Stanowczo. Wiesz, że ja z Agatą mówiłyśmy sobie wszystko. No, prawie wszystko. Poznałam kiedyś Rogalskiego. Istotnie, bardzo interesujący pan. Ale jest w nim coś takiego... Zresztą nie o to chodzi. Wiem, że ta sprawa już się dawno skończyła. Agata była nim swego czasu na pewno bardzo zainteresowana. Ale to dosyć szybko minęło. Nie twierdzę, że to się odbyło zupełnie bezboleśnie. Na pewno nie. Ale Agata już dawno z niego zrezygnowała i to była jej decyzja.

— Jesteś tego pewna?

— Trzy lata temu, no, trochę mniej niż trzy lata temu powiedziała mi coś takiego, co mogłoby o tym świadczyć. Zdałam właśnie maturę. Wiesz, że mieszkaliśmy wtedy u ciotki we Wrocławiu. Przyjechałam do Krakowa na miesiąc. Agata pomagała mi się przygotować do egzaminu wstępnego z matematyki. Miała nawet trochę do mnie żal, że nie przenoszę się do Krakowa, ale wreszcie razem doszliśmy do wniosku, że nie mogę zostawić starej ciotki zupełnie samej.

Przez cały miesiąc Rogalski nie pokazywał się. Ale czasem dzwonił. Pamiętam, że Agata niechętnie z nim rozmawiała. Słyszałam, jak kiedyś mówiła: „Nie, nie zmieniałam zdania... A jeszcze potem: „Postępujesz nieuczciwie...” czy coś w tym rodzaju. Sądziłam, że z nim zerwała i że on chce się z nią pogodzić. Ale Agata zaprzeczyła. Powiedziała wtedy „Malutka (strasznie nie lubiłam, kiedy mówiła do mnie w ten sposób), malutka, nie zawracaj sobie tym głowy i nie doszukuj się wszędzie romansów”. Była zła i rozdrażniona. Potem się uspokoiła i powiedziała, że nie ma już czego zrywać. „Nasza

przyjaźń dawno się skończyła. Nie potrafiłabym tego człowieka kochać ani szanować”. Byłam zaskoczona, bo wprawdzie nie lubiłam Rogalskiego (widziałam go zresztą zaledwie kilka razy w czasie wakacji), ale zawsze słyszałam o nim jako o wspaniałym naukowcu, niezwykłym, cudownym profesorze, uroczym mężczyźnie itd. itd. Nawet gdyby był nieznośny w kontaktach osobistych, należało go cenić i szanować za jego pracę. Pomyślałam, że Agata jest rozżalona zerwaniem i dlatego trochę niesprawiedliwa. Z Agatą stale utrzymywałam kontakt korespondencyjny i jak tylko mogłam, przyjeżdżałam do Krakowa. Wspólnie spędzałyśmy wakacje. Chyba jednak rozstanie z Rogalskim bardziej ją bolało, niż chciała się do tego przyznać. Ale po jakimś czasie nie było już o nim mowy. Stała się znowu spokojna i pogodna. Zaczęła pracować w zespole profesora Trembickiego.

— Właśnie. Czy nie wiesz, dlaczego przeniosła się do Trembickiego? W instytucie komentowano to jednoznacznie. Pojawiła się wtedy Milska Pelska i wszyscy już wiedzieli, że Agata zerwała z profesorem. Oczywiście powtarzam tylko plotki, ponieważ w tym okresie sam byłem nowym pracownikiem, jeszcze niezupełnie zorientowanym w stosunkach panujących w instytucie.

— Nie znam szczegółów. Sądzę, że sytuacja Agaty w pracowni Rogalskiego stała się istotnie dosyć kłopotliwa ze względu na dawną zażyłość z profesorem. Po instytucie krążyły plotki, które się wzmogły, kiedy pojawiła się Pelska. Agata nie znosiła plotek i tej całej atmosfery. Ale poza tym musiała być jeszcze jakaś inna przyczyna, bodajże ważniejsza niż sytuacja osobista Agaty. O zmianie pracowni dowiedziałam się z jej listu. Napisała mi, że ma dosyć tego zespołu, tej obrzydliwej, niezdrowej atmosfery. „Obrzydliwej” – tak właśnie napisała. Potem rozmawiałam z nią kiedyś na ten temat. Ale mówiła o tym niechętnie.

— Tak, to dziwne. W każdym razie godne zastanowienia.

— Wiesz, trochę się boję rozmawiać na ten temat, nawet z tobą. Wiem, że to może być źle zrozumiane. Nie chciałabym, żeby ktoś pomyślał, że Agata była zawistna, zazdrosna albo coś

w tym rodzaju. Można by się doszukiwać w jej niechęci do profesora pobudek niskich, a wiesz o tym, że Agata była bezwzględnie uczciwa. Dlatego rozmawiając z kapitanem Derko nie wspomniałam nawet o tej historii. Nie chciałam, żeby wyrobił sobie nieprawdziwy obraz Agaty. On jej przecież nie znał.

— Myślę, że jednak źle zrobiłaś.

— Jeżeli były jakieś istotne powody, dla których Agata tak mówiła o Rogalskim i o stosunkach w ich zespole i jeżeli to ma jakiegokolwiek znaczenie dla śledztwa, to Derko dojdzie do tego sam. Wreszcie to jego zawód.

— Tak. Tym bardziej że jej wypowiedzi były dosyć enigmatyczne. Nie wiadomo, co się za tym kryło.

— Kiedyś, ale błagam cię, Andrzej, nie powtarzaj tego broń Boże nikomu, więc kiedyś powiedziała coś bliższego na ten temat. Podobno Rogalski w sposób bezwzględny wykorzystywał swoich pracowników.

— Istotnie, jest dosyć wymagający i jeżeli mu na czymś zależy, nie daje swoim ludziom wytchnienia. Ale to nic złego. Sam bardzo pracuje i innych ostro pogania.

— Nie, chodziło raczej o to, że wykorzystuje ich wiedzę, ich zdolności. Zapytałam oczywiście, dlaczego ludzie się na to godzą. Powiedziała, że sama nie jest w stanie tego zrozumieć, ale w sytuacji, w jakiej się znajduje, nie może się temu przeciwstawić, bo nawet sam Rogalski wyśmieje ją i powie, że Agata robi to z niskich pobudek, z zazdrości: chce się odegrać jak porzucona zazdrosna kochanka.

— Nieprawdopodobne. Kiedy to było?

— O, dawno. Mniej więcej wtedy, kiedy przeniosła się do Trembickiego.

— Potem już o tym nie wspominała?

— Nie. Nigdy.

— Musiała być bardzo rozgoryczona.

— No widzisz, sam to interpretujesz w sposób opaczny.

— Ale kogo miała na myśli?

— Nie wiem.

— Czy mówiła coś o Mirce Pelskiej?

– Niewiele. Że jest ładna, że ma wdzięk, że jest sprytna i wie, czego chce. Nic więcej.

– A o pozostałych pracownikach zespołu Rogalskiego?

– Nic albo prawie nic.

– Znasz Gębickiego? No, oczywiście, przecież był u ciebie dzisiaj rano. Ale co o nim myślisz?

– Trudno powiedzieć, że go znam. Taki jakiś facet nijaki. Chyba strasznie nudny. Szary i niepozorny.

– I nic o nim nie wiesz?

– Nic poza tym, że jest podobno bardzo zdolny.

– Przesada. Dobrze się „zapowiadał”. Wszyscy się po nim spodziewali błyskotliwej kariery naukowej. Ale od kilku lat właściwie nie zrobił nic ciekawego. Taki bohater jednego sezonu. Zresztą nie wiadomo, w jakim stopniu jego habilitacja była samodzielną pracą. Rogalski bardzo go wtedy lansował. A ponieważ od tego czasu Gębicki nic nie zrobił, koledzy pozwalają sobie na mgliste aluzje, że profesor go trochę wyciągnął. Zresztą nie o to chodzi. Po prostu nie mogę rozgryźć tego człowieka. Pracuje już tyle lat w instytucie i nikt o nim nie może nic powiedzieć. Jest i jakby go nie było. Za to zawsze mi się zdaje, że on o nas wszystkich wiele wie. Ale jest milczący i nieprzystępny. Boi się otworzyć usta. jakby każde słowo miało go drogo kosztować.

– Dlaczego się nim zajmujesz? Nieciekawy facet. Widzę, że ponosi cię fantazja po jego dzisiejszej wizycie u mnie.

– W jakim celu przyszedł?

– Och, Boże! Może jednak drzemią w nim jakieś ludzkie uczucia? Chciał mi pomóc.

– Nie słyszałem, żeby komukolwiek kiedyś pomógł.

– Jednak dla mnie chciał coś zrobić...

– Wiesz, miałem z nim dzisiaj dziwną rozmowę. A potem jeszcze dziwniejsze spotkanie na przystanku autobusowym.

Dorota bez większego zainteresowania wysłuchiwała opowiadania Andrzeja. Wyraźnie była zmęczona. Zrobiło się już bardzo późno.

– Andrzejku, cierpij na przerost wyobraźni – ziewnęła. - Nie wiem czego się doszukujesz w zupełnie zwyczajnych wydarze-

niach

— Mo że, może... Pójdę już. Śpij dobrze.

Wkładał w przedpokoju kozuch, ale jeszcze w ostatniej chwili zwrócił się do Doroty.

— Jednak cię o coś poproszę. Może uznasz to za głupie, ale zrób coś dla mnie. Od rana będę w instytucie i nie wiem, o której wyjdę. Proszę cię, idź do czytelnicy i przejrzyj rocznik „Gazety Krakowskiej” z 65 roku. Chodzi mi o numer z 14 czerwca. Przeczytaj go od deski do deski.

— Ale czego mam szukać?

— Sam nie wiem. Może tego dnia coś się wydarzyło. Nie wiem, co. Naprawdę.

— Śmieszno! Idź już spać, bo trochę zaczynasz majaczyć. Pa!

— Ale zrobisz, o co cię proszę?

— Dobrze, dobrze. Wprawdzie miałam się uczyć cały dzień, pójdę jednak do tej czytelnicy. Na szczęście nie każesz mi czytać całego rocznika.

— Dobranoc. Gdybyś nie mogła zasnąć, zadzwoń do mnie. Naprawdę nie krępuj się. Telefon stoi w moim pokoju i nie musisz się obawiać, że obudzisz mamę.

Tego wieczoru już nie zadzwoniła. Ale następnej nocy, koło wpół do dwunastej telefon odezwał się. Andrzej natychmiast poznał głos Doroty.

— Co się stało?

— Och, przepraszam cię, jeżeli cię obudziłam, ale strasznie głupio się czuję. Znowu te głuche telefony. Wiesz, jednak trochę się boję.

Andrzej tego dnia widział się z Dorotą. Był trochę speszony, kiedy mu powiedziała, że lektura „Gazety Krakowskiej” nic nie dała. Po prostu nic ciekawego nie. wydarzyło się tego dnia. Wspomniała mu również o częstych pomyłkach telefonicznych. Ktoś dzwonił kilka razy i natychmiast odkładał słuchawkę.

— Może ktoś nie może się dodzwonić z automatu — powiedział Andrzej i przeszli nad tym do porządku dziennego. Teraz Dorota była wyraźnie zdenerwowana.

— Od dwóch godzin ktoś dzwoni co dziesięć minut z

regularnością zegarka i odkłada natychmiast słuchawkę. Nie wiem, o co chodzi. Kto to może być i po co zabawia się w taki sposób?

— Dorotko, zaraz do ciebie przyjadę. To oczywiście jakiś głupi kawał, ale po co masz się denerwować. Przygotuj sobie potrzebne fatalaszki, zabiorę cię do domu i będziesz u mnie spała, tak jak ci proponowałem już dawno.

— Dobrze, ale... zadzwoń tak jakoś, żebym wiedziała, że to ty. Będę się bała otworzyć...

— Oczywiście. Zadzwonię trzy razy krótko, a potem raz długo.

— Nie śmieję się ze mnie i nie mów, że jestem historyczką.

— Ależ, Dorotko, nie opowiadaj głupstw. To zupełnie zrozumiałe. Zaraz u ciebie będę.

Dorota czekała na niego zupełnie ubrana. Wzięła tylko torbę turystyczną, zamknęła mieszkanie i zbiegła po schodach. Na szczęście dosyć szybko złapali taksówkę, tak że około pierwszej Dorota mogła się już położyć spać. Andrzej postanowił spędzić noc u przyjaciela. Jego mieszkanie było niewielkie; dwa małe pokoiki i miniaturowa kuchenka. Jeden pokoik był mamy, drugi należał do Andrzeja.

— To się jakoś jutro urządzi. Przyniosę rozkładane łóżko i będę spał u mamy. Teraz niczym się nie przejmuj i kładź się.

— Nie wiedziałam, że będziesz musiał gdzieś iść na noc...

— No. widzisz. Gdybyś się wczoraj zdecydowała, przygotowałbym wszystko zawczasu — roześmiał się. — Dorota, nie zwracaj głowy. Dzwoniłem już do Ryśka. To naprawdę żaden problem. No, jak będzie?

— Dobrze będzie, nie martw się.

— No, to pa. Spij spokojnie.

Kiedy na drugi dzień koło południa w progu pracowni stanął umundurowany milicjant, Andrzej przez dłuższą chwilę patrzył na niego osłupiały.

— Pan do mnie? — zapytał ze zdziwieniem.

— Andrzej Drawski?

— Tak.

– Mam dla pana wezwanie do komendy.

– I przyniósł je pan tutaj?

– Tak, to dosyć pilna sprawa.

Wezwanie jak wezwanie – zwykły druczek – ob. taki a taki zgłosi się... itd. pokój nr 15... w terminie – i w tej rubryce ktoś napisał „natychmiast”.

– Ale o co chodzi? Co się stało?

– Proszę pana, ja mam tylko doręczyć wezwanie. Nie wiem, o co chodzi. Jeżeli pan chce, mogę pana podrzucić do komendy, mam na dole samochód.

– Samochód?... Czy pan sobie zdaje z tego sprawę, co wszyscy sobie pomyślą, jeśli wyjdę z panem i wsiądę do wozu milicyjnego?

– Jak pan uważa.

– Zaraz, zaraz... Niech pan zaczeka, idę z panem.

Przez całą drogę Andrzej niczego się nie mógł dowiedzieć od sierżanta, który spokojnie powtarzał, że miał tylko doręczyć paperek i że nic nie wie. W komendzie na korytarzu Drawski spotkał nagle Dorotę. Spojrzała na niego jakoś dziwnie, jakby się czegoś wystraszyła, i chciała go bez słowa wyminąć.

– Dorota, na miłość boską, co się stało?

– Nic takiego – powiedziała z wahaniem. – Dlaczego się tak denerwujesz?

– No, wiesz, wyciągają mnie z instytutu, ty nawet się ze mną nie chcesz przywitać i mam być zupełnie spokojny? Właściwie o co chodzi?

– Nie wiem... zresztą powie ci kapitan Derko... Idź już.

– Zaczekaj na mnie. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

– Dobrze, dobrze. Idź już.

Derko zaczął go wypytywać o wczorajszy dzień. Gdzie był, co robił aż do telefonu Doroty. Andrzej coraz bardziej się denerwował.

– Kapitanie, odpowiem na każde pytanie, ale proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

– Pani Dorota nie powiedziała panu?

– Nie.

– Dzisiaj rano ktoś włamał się do mieszkania Agaty

Domańskiej.

— Dzisiaj?... Ale po co?

Derko milczał.

— Kiedy to było?

— Rano, koło godziny piątej

— Ktoś widział włamywacza?

— Wydaje mi się, że to pan mnie przesłuchuje powiedział z uśmiechem Derko.

— Przepraszam. Po prostu określił pan dokładnie godzinę, więc myślałem, że ktoś widział... tę osobę.

— Dozorca zamiata chodnik przed domem o czwartej.

O tej porze na pewno zauważyłby obcego. Po piątej kręcił się po podwórku i widział bramę wejściową. Sąsiadka, której mąż chodzi do pracy na szóstą, zeznała, że trochę po piątej słyszała, jak ktoś zatraskiwał drzwi u Domańskiej. W pierwszej chwili pomyślała, że to jej mąż już wyszedł, ale po chwili okazało się, że jest jeszcze w łazience. W tym domu ściany są bardzo cienkie. Pan rozumie – nowe budownictwo. Tak wcześnie w całym bloku jest jeszcze cicho. Nic dziwnego, że słysząc zatraskujące się drzwi pomyślała, że to w jej mieszkaniu.

— W takim razie to nie było włamanie.

— Dlaczego?

— Ktoś musiał mieć klucz.

— Bardzo słusznie.

— Czy coś ukradziono?

— No, nie! – Derko tym razem roześmiał się już głośno. – Pan jednak trochę przesadza. Zaspokoilem pańską ciekawość, teraz kolej na pana. Podobno spał pan u swojego przyjaciela, Ryśka? Może mi pan podać jego nazwisko i adres?

— Nie spałem u Ryśka.

— Ach, nie? – zdziwił się Derko. – Więc gdzie, u kogo?

— U nikogo.

— Może pan to jednak bliżej wytłumaczy.

— Powiedziałem Dorocie, że dzwoniłem do Ryśka i że idę do niego na noc, ponieważ nie chciałem, żeby robiła sobie jakieś wyrzuty, że zajęła mój pokój. Ryśka jednak nie ma w Krakowie. Wiedziałem o tym, proponując Dorocie nocleg.

Matki pokój jest bardzo mały. Nie chciałem w nocy robić jakiegoś gruntownego przemeblowania, zresztą nie mam zapasowego miejsca do spania.

— Przecież proponował pan już wcześniej pani Dorocie swoje mieszkanie?

— Tak. Gdyby się zgodziła, pożyczyłbym składane łóżko i na pewno jakoś byśmy się pomieścili. Ale w środku nocy?... Z drugiej strony nie chciałem zostawić Doroty w mieszkaniu. Agaty, no więc postanowiłem jakoś sobie poradzić. Włóczyłem się trochę po mieście, potem udałem się na dworzec kolejowy, coś zjadłem, posiedziałem, wypaliłem papierosa i znowu poszedłem się przejść. O siódmej rano byłem już w instytucie.

— Wstąpił pan przedtem do domu?

— Ależ nie. Panie na pewno jeszcze spały. Postanowiłem, jak tylko to będzie możliwe, pojechać do instytutu. Oczywiście nie mogłem się tam pojawić w środku nocy. Zresztą w nocy nie ma nawet autobusu.

— Jechał pan PKS-em?

— Tak. Pierwszy autokar instytutu jest dopiero o wpół do ósmej.

Skoro pan był w instytucie o siódmej, a przejście z przystanku autobusowego mogło panu zabrać co najwyżej pół godziny, to licząc w przybliżeniu musiał pan wyjechać z Krakowa najwyżej o godzinie szóstej.

— O szóstej zero pięć.

— Zgodnie z pańską teorią powinienem pana zwolnić od wszelkich podejrzeń, ponieważ znowu nie ma pan alibi?

— Przecież pan wie, że do Doroty ktoś dzwonił wczoraj bez przerwy. Ktoś chciał ją nastraszyć. Zresztą skutecznie. To właśnie ta osoba przyszła rano do mieszkania Agaty.

— Podczas pańskiej wizyty telefon się nie odezwał?

— Nie. Podobno w ciągu dnia było tylko kilka telefonów. Dopiero wieczorem...

— A wieczorem był pan u siebie w domu?

— Tak.

— Telefon jest u pana w pokoju?

— Tak.

– Więc mógł pan dzwonić do Doroty zupełnie swobodnie, nie obawiając się, że ktoś to może usłyszeć?

– Ależ... to zupełnie wykluczone. – Andrzej był wyraźnie wzburzony. – Po co? Dlaczego pan mnie chce w to zrobić?

– Drogi panie. Pan mi się coraz mniej podoba. Nie może pan zaprzeczyć, że to mógł być pan.

– Ale to nie byłem ja!

– Tydzień temu miał pan klucze do mieszkania Domańskiej?

– Tak. Dała mi je Dorota. Prosiła, żeby dorobić zapasowe.

– Pan sam je dorabiał?

– Nie. Nasz woźny w instytucie podejmuje się drobnych robót ślusarskich.

– Jak on się nazywa?

– Mieczysław Gorgul. Rano dałem mu klucz i w ciągu dnia dorobił zapasowy.

– Kiedy je oddał?

– Tego samego dnia. A ja z kolei oddałem je Dorocie wieczorem. Łatwo sprawdzić, że dorobił tylko jeden klucz!

– Może pan być spokojny, na pewno to zrobimy.

Andrzej wyszedł z komendy strzelając wszystkimi możliwymi drzwiami. Dorota na niego nie czekała. Natychmiast zadzwonił z automatu do mieszkania Agaty, ale telefon nie odpowiadał. Wsiadł w taksówkę i pojechał do domu. Mama była nieco zdziwiona i zaniepokojona. Spokojne mieszkanko przy ulicy Wiśniowej stało się nagle bardzo ruchliwe. Dorota podobno wstała wcześniej rano. Nie chciała jeść śniadania, wypła tylko kawę i powiedziała, że musi pojechać do domu.

– Nie zabrałam kilku niezbędnych rzeczy. Poza tym muszę trochę sprzątnąć. Nie jestem nawet pewna, czy zgasłam światło – tłumaczyła starszej pani.

Wróciła godzinę temu. Była bardzo zdenerwowana. Powiedziała, że niestety, musi wyjechać, przeprosiła, podziękowała i zabrała swoją torbę turystyczną.

– Andrzejku, czy coś się stało?

– Nic, nic, mamó – powiedział i natychmiast wybiegł z

domu.

Dalsze poszukiwania nie dały rezultatu Dorota nie miała przyjaciół w Krakowie, w każdym razie Andrzej nic o tym nie wiedział. Do instytutu nie zgłosiła się, czego zresztą można się było spodziewać. Andrzej zaczął jej szukać w hotelach. O 16 poszedł na dworzec kolejowy, żeby sprawdzić, czy nie wsiada do pociągu wrocławskiego. Potem wznowił swoją wędrówkę po hotelach aż do 21, czyli do odjazdu następnego pociągu do Wrocławia. Telefon Agaty nadal nie odpowiadał.

Późno wieczorem poszedł znowu do mieszkania Agaty. Nikt nie reagował na dzwonek. Postanowił czekać pod domem, ale jakiś typ, który wytrwale zabawiał się ze swoim psem, rzucając mu do znudzenia, patyczek, zaczął się podejrzliwie przyglądać Andrzejowi. Pobliska kawiarenka była już zamknięta. Drawski jeszcze raz zadzwonił z automatu, wreszcie zrezygnowany wrócił do domu. Długo nie mógł zasnąć i co jakiś czas usiłował się dodzwonić do Doroty. Zresztą nie wykluczał możliwości, że Dorota jest w domu, ale celowo nie podnosi słuchawki. Postanowił więc wytrzymać do rana i nie niepokoić dziewczyny telefonami.

Na drugi dzień wznowił swoje poszukiwania. I znowu bezskutecznie. Wpadł na krótko do instytutu. Przypuszczał, że Dorota zwróciła się do któregoś z kolegów Agaty o pomoc. Ale nikt nic nie wiedział. W sekretariacie siedziała jak zwykle pani Teresa.

— Ona chyba nie ma nic lepszego do roboty. — Oczywiście obgadywały z sekretarką Mirkę Pelską. — Pani się dziwi? — paplała pani Teresa. — Tatuś prywatna inicjatywa, forsy jak lodu. No, a poza tym ona ma również inne dochody... — powiedziała znacząco.

— Pani Tereso, jak pani może! Sama słyszałam, jak mówiła, że jej ciotka szyje. Wprawdzie ona niechętnie się przyznaje, że ma ciotkę krawcową, ale przysięgam pani, że tego nie wyssałam z palca. W lecie słyszałam, jak mówiła do pani Krystyny, że ciotka z byle jakiej szmatki potrafi uszyć istne cacko...

Andrzej kręcił się po sekretariacie niespokojnie. Próbował zadzwonić, wreszcie odłożył słuchawkę telefoniczną i z

desperacją zapytał:

– Nie dzwoniła do mnie albo do profesora Dorota Domańska." – Wiedział, że oddaje się na żer pani Teresie, ale było mu już wszystko jedno. Nie miał czasu, żeby zaczekać, aż pani Teresa wyjdzie z sekretariatu.

– Dorotka ? – zapytała z przesadnym zdziwieniem pani Jadzia. – Nie, nie dzwoniła. A miała dzwonić?

– Dorotka jeszcze nie wyjechała do Wrocławia? – wtrąciła się natychmiast pani Teresa.

– Jeszcze nie – warknął Andrzej i wybiegł z sekretariatu.

– A jak zadzwoni, to co powiedzieć? – krzyknęła za nim wszechwiedząca pani Teresa.

– Nic, nic, nieważne – odparł Andrzej i już go nie było.

Zupełnie stracił orientację, co ma robić dalej. Postanowił wrócić do domu i zadzwonić do Wrocławia. Na schodach spotkał Mirkę Pelską. Wyglądała jak zwykle ładnie i świeżo.

– Panie Andrzeju, gdzie pan tak pędzi? – zapytała swobodnie.

Andrzej spojrział na nią z roztargnieniem i równocześnie pomyślał, że Mirka istotnie dobrze się ubiera. Zielony płaszczyk obszyty czarnym futerkiem leżał na niej jak na modelce. Chciał koniecznie zapytać, czy nie widziała Doroty, ale zdawał sobie sprawę, że to byłby nonsens, bo niby skąd... Mirka już go minęła i lekkim krokiem szła dalej po schodach.

– Pani Mirko, chciałbym o coś panią zapytać.

Pelska odwróciła się i czekała z lekkim uśmiechem.

– Słucham, panie Andrzeju.

– Gdzie pani szła ten płaszczyk? – Oczywiście wiedział, że plecie, ale nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi?

– Po prostu, gdzie pani szła płaszcz – brnął dalej. – Pani jest zawsze tak dobrze ubrana, musi pani mieć świetną krawcową.

– Ma pan zamiar ubierać się u damskiej krawcowej?

– Ależ nie – Andrzej roześmiał się z przymusem. – Dorota prosiła mnie o adres... chce sobie coś uszyć... – Nie wiadomo dlaczego spodziewał się, że Mirka powie „Dorota? Właśnie widziałam ją przed chwilą”. Albo: „Dzwoniła rano, ale nic mi

nie mówiła” – albo coś w tym rodzaju, ale już przeklinał się w duchu za debilizm. Mirka patrzyła na niego jak na półgłówek – i słusznie.

– Podobno pani ciocia jest znakomitą- krawcową – palnął i natychmiast tego pożałował. Ale reakcja Mirki zaskoczyła go. Dziewczyna zaczerwieniła się gwałtownie i zdawało się, że na chwilę opuściła ją zwykła pewność siebie.

– To nieprawda! Kto panu naopowiadał takich głupstw?

Ta idiotka naprawdę wstydzi się swojej ciotki – pomyślał ze zdziwieniem.

– Tak słyszałem...

– To pan źle słyszał – powiedziała ze złością, ale zaraz się zmitygowała i dodała już z uśmiechem. – Moja ciocia kiedyś szła, ale od wielu lat jest na to za stara. Trochę niedowidzi i w ogóle...

– Szkoda, wielka szkoda, bo ten płaszczek jest naprawdę bardzo ładny.

– Ależ tego płaszcza nie szła moja ciocia – powiedziała Mirka i znowu się zaczerwieniła.

Dlaczego ją to tak denerwuje? – pomyślał Andrzej.

– A kto? – zapytał.

– Ależ pan się uparł! Czy pan wie, że żadna kobieta nie zdradza swego wieku i adresu krawcowej, u której się ubiera? – Miała już odejść, ale jeszcze się odwróciła, żeby dodać: – Jest pan stanowczo zbyt ciekawy.

– Przepraszam panią. Istotnie plotę głupstwa. Po prostu chciałem się zapytać, czy nie widziała pani Doroty Domańskiej?

Mirka patrzyła na niego przez chwilę z nie tajoną złością.

– Nie, nie widziałam – i odeszła.

Andrzej wzruszył ramionami i zbiegł ze schodów.

Połączenie z Wrocławiem dostał wyjątkowo szybko. W „Akademiku” Doroty nie było. Koleżanka, która z nią mieszkała w jednym pokoju, twierdziła z całą stanowczością, że Dorota nie wróciła do Wrocławia.

No, to już nie wiem, gdzie ona może być – powiedział sobie Andrzej i zaczął wydzwaniać do komendy MO. Po trzech kwadransach odszukał telefonicznie kapitana Derko, który

zupełnie się nie przejął zniknięciem Doroty.

— Niech się pan uspokoi — powiedział. — Na pewno jest u jakichś swoich znajomych.

Spokój kapitana podziałał na Andrzeja jak kubeł zimnej wody. No, rzeczywiście... Ale po chwili zaczął denerwować się od nowa. Znowu hotele, dworzec i mieszkanie Agaty. Zadzwoił nawet do profesora Rogalskiego. Profesor zatroskał się wyraźnie i poprosił o telefon, gdyby Andrzej czegoś się dowiedział.

W nocy prawie nie spał. Wstał o piątej rano i poszedł na dworzec autobusowy.

Kto wie, może pojechała do Rabki? Nie wiadomo, co jej strzeliło do głowy!

Autobus odchodził o szóstej.

Rabka przywitała go ośnieżonymi pagórkami. Słońce, cisza i idealny spokój. Wszelkie obawy wydały mu się teraz przesadne. Ale skoro już przyjechał, poszedł do państwa Rawiczów. Oczywiście Doroty u nich nie było.

— Gdyby przyjechała do Rabki, już byśmy o tym wiedzieli. Pan wie, to małe miasteczko, w zimie nikt tu prawie nie przyjeżdża. A pojawienie się siostry pani Domańskiej byłoby nie lada sensacją — zapewniał pan Rawicz.

Andrzej miał jeszcze dwie godziny do krakowskiego autobusu, wstąpił więc na kawę do „Zdrojowej”. Panna Kazia od razu go poznała.

— Pan znowu w Rabce?

Rozmawiał z nią na drugi dzień po śmierci Agaty. "Wiedział, że zachowywał się wtedy bardzo głupio. Wydawało mu się, że zdoła coś wyjaśnić. Co za nonsens! Naopowiadał Kazi jakichś bzdur, przedstawiał się jako brat Agaty, zresztą tak jak i naiwnej urzędniczce na poczcie.

Kazia podała mu kawę i powiedziała z pretensją.

— Okłamał mnie pan. Ta pani nie miała wcale brata. Wiem, bo powiedziała mi o tym Jolka z poczty.

— Panno Kaziu, niech się pani na mnie nie gniewa. Powiem pani prawdę. Jestem narzeczonym panny Domańskiej.

— Naprawdę? — Kazia ożywiła się.

– Naprawdę.

– Ależ... ależ pan jest od niej o wiele młodszy.

– Nic podobnego – nagle Andrzej stracił ochotę, żeby wyjaśnić, na czym polega jej pomyłka. – Chociaż ma pani rację. Ale wolę o tym nie mówić...

– Rozumiem. Takie nieszczęście... – powiedziała z ubolewaniem i odeszła z pewną niechęcią.

Kawiarnia była prawie pusta. Andrzej powoli pił kawę i przyglądał się Kazi, która rozmawiała z bufetową. Zaczął sobie przypominać swoją pierwszą rozmowę z kelnerką, list napisany przez Agatę... Co tu się wydarzyło miesiąc temu? O czym rozmawiała Agata z Mirką? Dlaczego zostawiła list pod cukiernicą? Przez roztargnienie?...

Kazia przeszła koło niego, obdarzając go miłym uśmiechem. Andrzej zdecydował się.

– Pani Kaziu, może pani ze mną przez chwilę porozmawiać?

– Proszę... oczywiście.

– Proszę się nie gniewać. Nadal nie mogę sobie tego wytłumaczyć. Pani wie, tego, co się stało.

– Tak, tak, rozumiem.

– Niech mi pani powie jeszcze raz, jak to było. Ta pani siedziała tam? Przy tamtym stoliku czy tak? – wskazał ręką na stolik stojący we wnętrzu.

– Tak.

– Czy mogę tam usiąść?

– Oczywiście. Zaraz panu przeniosę kawę...

– Nie, nie, dziękuję. – Andrzej zabrał papierosy i kawę. – Niech pani ze mną na chwilę usiądzie.

Panna Kazia spojrzała niepewnie w stronę bufetu, ale usiadła.

– Więc jak to było. Proszę mi powiedzieć jeszcze raz.

– Proszę pana, opowiadałam to już tyle razy... No więc ona siedziała tutaj i coś sobie pisała. Znałam ją już z widzenia, bo od trzech tygodni przychodziła codziennie na kawę. Na dworze było paskudnie. Śnieg padał. Widocznie nie bardzo miała ochotę na spacer, bo siedziała tutaj dosyć długo. Koło jedenastej przyszła ta druga. Elegancka.

– Tak, wiem. Znam ją. O czym rozmawiały? Naprawdę pani

nie słyszała?

— Nie. Wydawało mi się, że o coś się kłóca. Ale jak podeszłam, to czarna uśmiechała się i nie wyglądała na zagniewaną.

— A Domańska?

— Czy ja wiem... Ona była w ogóle poważna. Zresztą, proszę pana, ja ich nie widziałam cały czas. Przecież ten stolik jest we wnęce, więc mogłam je widzieć tylko wtedy, kiedy przechodziłam obok. A gości wtedy było niewiele. Tutaj ruch jest tylko w lecie. Pan wie, sezon. Ta kawiarnia jest przerobiona ze starej pijalni wód mineralnych, dlatego jest taka długa i wąska. W zimie nie ma u nas w ogóle ruchu.

— Jak było z tym listem?

— Znalazłam go po ich wyjściu. Na drugi dzień, kiedy się dowiedziałam o tym, co się stało, przeczytałam ten list. Zresztą pan wie, nie mówię panu nic nowego.

Przeczytała go pewnie ze sto razy. Znała go prawie na pamięć — pomyślał Andrzej i wyciągnął z portfela zapisaną kartkę.

— Pani powiedziała mi wtedy, co było w tym liście. Zapisalem to sobie. Chciałem mieć taką pamiątkę... To był jej ostatni list. Wprawdzie nie do mnie... ale zawsze. Widzi pani, ten list urywa się w połowie zdania. Myślę, że wtedy weszła „czarna”, jak ją pani nazywa. Na dole strony był dopisek. Nie rozumiem tego zdania, zresztą nie dokończonego. Co to znaczyło i kiedy ona to dopisała?

— Nie wiem.

— Czy ta czarna siedziała z nią cały czas? Może wyszła gdzieś na chwilę? I właśnie wtedy Agata to napisała?

— O to samo pytał mnie ten milicjant z Krakowa. Ale pan nie jest z milicji?

— Nie. Już pani mówiłem.

— Zresztą co za różnica. Tylko po co pytać o to samo w kółko..

— No więc jak było. Mnie pani tego nie mówiła.

— Ta czarna wyszła na chwilę do toalety. Niech się pan nie dziwi, że tak obserwuję gości, ale to była fajna babka. A jak ubrana! Zresztą mówiłam panu, że niewiele mamy tu do roboty w zimie.

– Tak, tak. Długo nie było tej „czarnej”?

– No, chwilę. Widocznie wtedy narzeczona dopisała to zdanie na dole strony.

– Okazało się, że Rabka wcale nie jest taka spokojna jakby się wydawało. Chciałabym pozbyć się wszystkich kłopotów. Pójdę jutro na Luboń. Tam nikt mnie nie znajdzie. Za schroniskiem... – przeczytał Andrzej. – I tu zdanie się urywało. Tak napisała, prawda?

– No, coś takiego... Chyba tak.

– Czy droga na Luboń w zimie jest łatwa?

– To w ogóle łatwa droga. W lecie można tam dojechać furką.

– Czy o tej porze roku można zamieszkać w schronisku na Luboniu?

– Nie wiem. Schronisko jest bardzo małe. Mają tylko dziesięć miejsc noclegowych. Zresztą w zimie pewnie jest zamknięte, ale tam jest stacja meteorologiczna, no i przekaznik telewizyjny.

– Tak że na Luboń można teraz dostać się z łatwością?

– Tak. Chyba że śnieg wali.

– A wtedy sypało?

– Sypało. Ale kto by teraz chodził na Luboń?

– Co jest za Luboniem?

– Mszana Dolna.

– Nie, to na nic... – Andrzej zamyślił się. – Więc ta „czarna” wyszła, nie było jej przez chwilę. Jak długo jej nie było?

– Z pięć minut.

– Przez pięć minut można napisać dziesięć takich zdań, a Agata nie zdążyła napisać tego jednego do końca...

– I musiała się śpieszyć, bo pismo było trochę niewyraźne. Wie pan, jak ktoś się śpieszy, to pisze niezbyt wyraźnie.

– Przerwała, bo zobaczyła, że tamta już wraca – powiedział z namysłem.

– Proszę pana, dlaczego pan się tym tak przejmuje? Nie trzeba. To nic nie pomoże.

– Chciałbym jednak wiedzieć. Gdybym spróbował napisać te kilka słów, a pani w tym czasie przejdzie do toalety i z powrotem?...

– Proszę pana, nie ma co próbować. Toaleta mieści się po

drugiej stronie sali, a jak pan widzi, nasza kawiarnia jest długa jak kiszka. Poza tym ta pani, wracając, zatrzymała się przy bufecie i kupowała papierosy. Pamiętam, że mnie już o to pytał ten major z Krakowa.

— Kapitan.

— Wszystko jedno. Pół listu by pan przez ten czas napisał.

— Oczywiście, oczywiście... O co chodzi z tym schroniskiem? Jakie jest to schronisko?

— Zupełnie zwyczajne. Zresztą niech pan sam zobaczy — powiedziała Kazia, wskazując na zdjęcie, wiszące na ścianie.

Cała kawiarnia była wyłożona drewnianą boazerią. Co kilka metrów wisiały oprawione w cienkie rameczki duże fotografie przedstawiające podhalańskie chaty, góry, potoczki itp.

Andrzej patrzył jak zaczarowany na zdjęcie wiszące na bocznej ścianie wewnątrz.

— To jest schronisko na Luboniu? — zapytał z takim zdziwieniem, jakby zobaczył jakiś nadzwyczajny okaz.

— Tak.

— Przedtem chyba tego zdjęcia tu nie było?

— Ależ tak. Musiał pan nie zauważyć, bo zasłaniała je choinka.

— Ach, tak... — nagle ożywił się. — Pani Kaziu! Bardzo pani dziękuję. Rzeczywiście ma pani rację. To rozpamiętywanie do niczego nie prowadzi. Przepraszam, że tak długo panią męczyłem.

— Ależ nic nie szkodzi — powiedziała Kazia i z wahaniem, niechętnie wstała.

— Jakby pan jeszcze czegoś chciał, proszę mnie zawołać. Niech się pan nie krępuje — i odeszła.

Andrzej wyjrzał za nią. Stała przy bufecie i gestykulując opowiadała coś koleżance.

*

— Więc potwierdza pani swoje poprzednie zeznanie?

— Tak, oczywiście.

Mirka Pelska siedziała spokojnie, patrząc na kapitana Derkę trochę wyzywająco. W niczym nie przypominała dziewczyny,

która podczas ostatniej rozmowy płakała tak rozpaczliwie, pełna skruchy i wyrzutów sumienia. Jak widać, wróciła już zupełnie do równowagi.

– Proszę się zastanowić. Czy na pewno nie chce pani nic zmienić w swoich zeznaniach? – zapytał Derko

– Niczego nie mogę zmienić. Powiedziałam prawdę.

– W takim razie przejdźmy do drugiego pokoju.

Derko wstał. W progu przepuścił Mirkę pierwszą. Pelska przeszła koło niego lekkim krokiem, uśmiechając się nieco ironicznie. Odwróciła się w jego stronę, jakby chciała o coś zapytać, ale zamarła w pół ruchu patrząc z przerażeniem na fotel stojący z boku, na którym leżał płaszcz z szarego misia, szalik, czapeczka, a na oparciu ułożona starannie peruka z jasnoblond włosów.

– Proszę to włożyć – powiedział Derko.

– O nie! Nigdy! Nie rozumiem, co pan chce zrobić...

– Proszę się natychmiast uspokoić. Sierżant Barańska pomoże pani. Jeżeli peruka okaże się nieodpowiednia, mamy jeszcze kilka innych do dyspozycji – wskazał ręką na duże pudło stojące koło fotela. – Wrócę za pięć minut. Ma być pani zupełnie gotowa – i nie słuchając okrzyków Mirki, wyszedł.

Podniósł w swoim gabinecie słuchawkę telefonu.

– Świadkowie gotowi? W porządku.

Zapalił papierosa.

– Nie spodziewała się tego – powiedział porucznik Janczar

– Nie – odpowiedział krótko Derko.

Po kilku minutach w progu pojawiła się sierżant Barańska.

Derko bez słowa przeszedł do sąsiedniego pokoju. Na środku niewielkiego pomieszczenia stała Mirka Pelska, zmieniona nie do poznania. Blond włosy, zmyty makijaż, płaszcz zupełnie nie w stylu pani magister sprawiały, że wydawała się inną osobą. Derko przyglądał się jej w milczeniu.

– Proszę podnieść kołnierz i trzymać go z przodu prawą ręką. Taak... Proszę się nie ruszać. Wprowadzić – powiedział do porucznika Janczara.

Weszła Jolanta Paraś. Była nieco wystraszona.

Rozejrzała się bezradnie, ale już po chwili wpatrywała się w

Mirkę Pełską z narastającym zdziwieniem. Po prostu nie mogła od niej oczu oderwać:

– Czy widziała pani kiedykolwiek tę kobietę? – zapytał Derko.

– Nie wiem... Ona... ona jest zupełnie taka sama jak tamta...

– zwróciła się do Derki. – Przecież to nie może być ona?

– Proszę się jej przyjrzeć i powiedzieć, czy widziała ją pani już kiedyś.

– Panie kapitanie! To jest niemożliwe... Gdybym nie wiedziała, że tamta pani nie żyje, pomyślałabym, że to jest właśnie ona.

– Proszę powiedzieć dokładnie, o kim pani mówi.

– No, ta kobieta, która przyszła wtedy na pocztę. Wręczyła mi awizo na rozmowę z Krakowem. Pan wie... ta, którą ktoś zamordował.

– Poznaje ją pani?

– No... nie wiem... Tamta wyglądała tak samo. Ale przecież nie przyglądałam się jej aż tak dokładnie. Było ciemno i w ogóle nie interesuję się tym, jak kto wygląda.

– Mam tego dosyć! – krzyknęła Mirka Pełska, zdzierając z głowy czapkę razem z peruką. – To jest zupełna bzdura!

– Dziękuję pani, proszę wyprowadzić świadka – powiedział Derko i Jolanta Paraś wyszła z pokoju.

– Co to za szopka! – krzyczała Mirka. – Każda kobieta ubrana w te ciuchy wyda się tej idiotce podobna do Domańskiej. O co panu chodzi! Taka konfrontacja to nie jest żaden dowód!

– Oczywiście – powiedział Derko spokojnie siadając za biurkiem – to nie jest żaden dowód.

– Więc po co pan robi ten cały cyrk? Co to ma znaczyć?!

– Wiem, jak to pani zrobiła.

– Co?! Co takiego zrobiłam?! – Mirka rzuciła na ziemię płaszcz z szarego misia.

– Proszę usiąść – zaprosił ją Derko gestem. – Wiem, jak zmontowała sobie pani alibi.

– Przebrałam się za Agatę?!

– Tak.

— Bzdura! Nie było mnie już wtedy w Rabce! Niech pan przesłucha kolejarzy na stacji w Rabce i w Chabówce. Widzieli mnie, jak wsiadałam do pociągu. Ludzie w pociągu też mnie widzieli! Wszyscy mnie widzieli.

— Proszę się uspokoić. Czy pani naprawdę sobie wyobraża, że nie przesłuchałem świadków? Pani jest bardzo naiwna. Mamy wyspecjalizowany aparat, dysponujemy ludźmi, którzy dobrze znają swoją robotę. Pani rozmawia tylko ze mną, ale ma pani przeciw sobie sprawny aparat. To oczywiście musiało potrwać, ale zebraliśmy potrzebne informacje i dowody. Wsiadła pani istotnie w Chabówce do zakopiańskiego pociągu. Przejechała pani trzy stacje. Zdażyła pani zwrócić na siebie uwagę pasażerów i konduktora, z którym wdała się pani w rozmowę. W ogóle była pani bardzo rozmowna. W Rabce pogawędka z kasjerką, potem z dyżurnym ruchu, w Chabówce znowu z dyżurnym ruchu: dopytywała się pani, po raz nie wiem który, o godzinę przyjazdu pociągu z Zakopanego, czy nie jest przypadkiem spóźniony, o której ma planowy odjazd itd. itd. Jeszcze z okna odjeżdżającego pociągu pokiwała mu pani ręką na pożegnanie. W pociągu -wsiadła pani najpierw w przedziale z kobietą z dzieckiem. Po chwili zaczęła pani z nią rozmawiać o dzieciach, ale bardzo szybko opuściła pani przedział w poszukiwaniu innego miejsca. - Przeszła pani przez cały wagon, żeby wreszcie spotkać konduktora, wypalić z nim papierosa i znowu zapytać, o której będziecie w Krakowie. Potem oświadczyła pani, że idzie do wagonu restauracyjnego. Znowu wędrowka przez wagony. Myślę, że ostatni odcinek przejechała pani w toalecie, zresztą nieważne. Wsiadła pani w Borkowie.

— Nigdzie po drodze nie wysiadałam.

— Tak, wysiadła pani w Borkowie, ale nie od strony stacji. Przebiegła pani przez tory i zesłała po drugiej stronie na ścieżkę prowadzącą wzdłuż torów.

— Nie wysiadałam!

— Mamy świadków, których zresztą zademonstruję pani. W każdym razie widziano panią.

— To nie byłam ja. Ten ktoś musiał się pomylić.

— Nie pomylił się. Jeśli pani nie chce, żeby na panią zwracano

uwagę, nie należy wysiadać nieprawidłowo z pociągu. Ale myślę, że ta nauka już się pani na nic nie przyda.

– Nie wysiadałam w jakimś tam Borkowie! To pomyłka. Jechałam do Krakowa.

– Ale pani nie dojechała. Pani brat, Krzysztof, był tego dnia w Myślenicach.

– Może. Nie wiem. Często jeździ do Myślenic. Ma tam dziewczynę.

– Tak, ale tego dnia niedługo zabawiał u narzeczonej. Oświadczył, że musi odwiedzić znajomego w Borkowie. Krystyna Dąbek, narzeczona brata, chciała z nim pojechać, ale on się nie zgodził. W Borkowie mieszka Jan Gwidon. Zna go pani?

– Może, nie pamiętam.

– Jak to? – zdziwił się Derko. – Była pani u niego z bratem w lecie kilkakrotnie.

– Może. Krzyś ma takich różnych znajomych...

– Mnie interesuje w tej chwili tylko jeden: Jan Gwidon. Krzysztof Pelski, brat pani, pojawił się tego dnia u niego trochę po osiemnastej. Przyjechał samochodem. Wprawdzie Gwidoniowi powiedział, że podrzucił go znajomy, który wracając ma po niego wstąpić, ale samochód pani brata stał na zgaszonych światłach na bocznej drodze koło torów kolejowych.

– Nic o tym nie wiem.

– Proszę nie zaprzeczać. To nie są moje domysły ani przypuszczenia. Mam na to wszystko dowody. Więc samochód stał na bocznej drodze i czekał. Pani wsiadła do samochodu i wróciła do Rabki. Szosą piętnaście minut. Naprzeciwko poczty w Rabce jest park. Można wjechać w aleję prowadzącą do sanatorium „Orzeł I”. Tam pod osłoną drzew zaparkowała pani samochód. Odebrała pani telefon z Krakowa za panią Domańską, stwarzając sobie doskonale alibi. Pani jedzie pociągiem do Krakowa, a Domańska zgłasza się żywa i cała na pocztę. Ryzykowna kombinacja, ale przyznam bardzo pomysłowa. Potem powrót do Borkowa, jest godzina 21.25. Czeka pani na brata, o godzinie 21.30 brat żegna się z Janem

Gwidoniem, stanowczo nie zgadza się na to, żeby znajomy go odprowadzał, przychodzi na umówione miejsce i razem wracacie do Krakowa.

— Nie! Wcale tak nie było! To są tylko pańskie wymysły!

— To nie jest mój wymysł.

Może Krzysio był w Borkowie. Nie wiem. Ale to byłby tylko czysty zbieg okoliczności.

— Widziano, jak pani wsiadała do samochodu.

— Nikt mnie nie mógł widzieć! Nie było mnie tam!

— A jednak panią widziano.

Mirka przez chwilę milczała. Widać było, że robi nieludzkie wysiłki, żeby się opanować.

— To jakaś tragiczna pomyłka – mówiła już nieco spokojniej.

— To wszystko razem nie ma sensu. Wynikałoby z tego, że to ja... że to ja zabiłam Agatę. Ale to nieprawda. Ona żyła, kiedy wychodziłam od niej. To ona zgłosiła się na pocztę. Po co miałabym ją zabijać? Powiedziałam panu wszystko o profesorze i dlatego pan mnie podejrzewa. Pan myśli, że chciałam się pozbyć Domańskiej, bo byłam o nią zazdrosna... To bzdura... Ona dla profesora nic już nie znaczyła. Była dla mnie zupełnie nieszkodliwa. On jej nie chciał. Nie musiałam jej zabijać! Biedna stara panna! Po co miałabym jej robić jakąś krzywdę. Chciałam tylko, żeby się odczepiła.

— Pani ciotka jest krawcową?

Mirka patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Bała się.

— Tak... To znaczy była krawcową.

— Mieszka w Bronowicach?

— Tak. Ale ona już nie szyje. Jest bardzo stara... trochę niedowidzi.

— Ale dla pani jeszcze szyje?

— Nie... Zresztą może kiedyś uszyła mi jakiś drobiazg...

— Na przykład płaszcz z szarego misia?

Mirka nagle rozplakała się.

— Och, nie wiem, co ta stara wariatka panu naopowiadała. Nic nie rozumiem...

— Ma pani rację, nie musiała pani już być zazdrosną o profesora.

Mirka podniosła głowę i spojrzała na Derkę z nadzieją.

— Uwierzył mi pan?

— Nie pani. Profesorowi. Pan Rogalski stwierdził, że jego stosunki z Agatą były od trzech lat bardzo chłodne, aczkolwiek poprawne: Powiedział, że tylko osoba tak młoda i gwałtowna jak pani mogła, w przypiływie dzikiej i nieuzasadnionej zazdrości, zdobyć się na tak potworny czyn.

— Co takiego? — Mirka była wyraźnie zaskoczona.

— Powtarzam tylko jego własne słowa.

— Powiedział, że to ja?

— No, nie stwierdził tego aż tak kategorycznie, ale dopuścił taką możliwość. Rozmawiałem z nim niedawno na temat tego telefonu. U Rogalskiego był tego wieczoru profesor Trembicki. Omawiali plan pracy instytutu na rok następny. Trembicki słyszał rozmowę telefoniczną Rogalskiego. Profesor nie ukrywał, że rozmawia z Agatą. Był bardzo poruszony i zaniepokojony. Powiedział, że Agata jest chyba chora. Podobno miała tak dalece zmieniony głos, że profesor w pierwszej chwili jej nie rozpoznał. Trembicki pamięta, że profesor powiedział: „Gdybym nie wiedział, że to Agata, nigdy bym jej nie poznał. Musiało jej się coś stać”.

— To nieprawda! Nie mógł czegoś takiego powiedzieć!

— A jednak powiedział. Podobno to właśnie pani chciała, żeby zamówił rozmowę z Rabką?

— Nie!! Mówiłam panu, że nawet nie wiedziałam, że zamówił Rabkę.

— Tak, tak. Zależało pani na tym, żeby zadzwonił do Domańskiej. Prosiła go pani o to. Tłumaczyła mu pani, że Agata była chora i że należy jej okazać trochę zainteresowania. To pani upierała się, żeby rozmowa odbyła się wieczorem, koniecznie o dziewiątej. Twierdziła pani, że nie wiadomo, kiedy Agata wraca do domu, że najbezpieczniej dzwonić wieczorem. Poza tym mieliście po południu iść do kina. Rano tego dnia była pani u profesora i słyszała, jak zamówił Rabkę. No i do kina oczywiście nie poszliście. Profesor był nawet zaniepokojony, co się z panią stało, bo nie wiedział, że pani pojechała do Rabki.

— To nieprawda! — Mirka zerwała się i natychmiast opadła ciężko i jakoś niezgrabnie na fotel. — Łajdak! Łajdak! Łajdak! — powtarzała uderzając pięścią w poręcz.

— Chyba się pani teraz nie dziwi, że sprawdziłem bardzo dokładnie, kto zgłosił się do telefonu zamiast Domańskiej?

Mirka siedziała ze spuszczoną głową. Bardzo długo nie odzywała się.

— Nie wierzę — powiedziała wreszcie — nie wierzę. Pan mnie okłamuje. Muszę się z nim zobaczyć. Niech on to wszystko przy mnie powtórzy.

— Może spełnię pani życzenie, ale już nie dziś. Bez względu na to, co powiedział Rogalski, a zaręczam, że powtórzyłem pani wszystko bardzo dokładnie i niczego nie dodałem, więc bez względu na to wiem, w jaki sposób zmontowała sobie pani alibi.

— Jestem bardzo zmęczona. Muszę odpocząć. Dopóki nie zobaczę Adama i dopóki on nie powtórzy tego wszystkiego... nie będę nic mówiła. Już nie mogę...

— Jak pani chce — Derko zwrócił się do sierżanta. — Proszę doprowadzić panią Pelską.

Mirka wstała bez słowa. Była zupełnie załamana. Odwróciła się jeszcze i powiedziała z wściekłością:

— Będę się bronić! Niech mu pan to powie!

Po jej wyjściu kapitan Derko siedział przez dłuższą chwilę bez ruchu i palił papierosa. W reszcie rzucił peta do popielniczki i wstał.

— Panie kapitanie, chyba ją mamy? — zapytał porucznik Janczar.

— Niezupełnie — powiedział niechętnie Derko.

Do pokoju wszedł porucznik Bartkowski.

— Panie kapitanie, ten facet jeszcze siedzi u pana w gabinecie. Strasznie się wścieka.

— Jaki facet?

— Andrzej Drawski. Meldowałem, ale był pan bardzo zajęty:

— A prawda... Niech jeszcze trochę zaczeka.

Andrzej od godziny siedział w gabinecie kapitana Derki. Właściwie był to zwyczajny pokój, urządzony jak wszystkie

pokoje biurowe na całym świecie, jedynie dwa fotele stojące z boku przy okrągłym stoliku usprawiedliwiały nieco szumną nazwę „gabinet”. Kiedy tu przyszedł (prosto z dworca autobusowego), nie zastał kapitana. Długo wyklócał się z porucznikiem Bartkowskim, zanim ten zdecydował się odszukać Derkę. Wrócił tylko po to, żeby mu powiedzieć, że musi trochę poczekać.

— Gdzie jest Dorota Domańska? — zapytał Andrzej ostrym tonem, kiedy pokazał się wreszcie kapitan. Po długich zapewnieniach, że Dorota jest cała i zdrowa, tylko nie chce się z nikim widzieć, zrezygnował z dalszych indagacji i opowiedział kapitanowi o swoim „rabczańskim” odkryciu.

— No i co pan znalazł za tą fotografią? — zapytał Derko.

— Kartkę, właściwie bibułkową serwetkę, na której Agata napisała w pośpiechu kilka słów.

— Niech pan pokaże tę kartkę.

Andrzej zrobił dziwną minę i z ociąganiem zaczął grzebać w kieszeni. Wyciągnął wreszcie sfatygowany portfel.

— Widzi pan... przydarzyła mi się taka głupia historia...

— Chyba pan nie wyrzucił tej kartki? — zapytał Derko niecierpliwie

— Nie... Ale kiedy ją przeczytałem, zacząłem się strasznie gorączkować: Zawołałem kelnerkę i poprosiłem o rachunek. Kartkę położyłem na stole i jak wyciągałem portfel... machnąłem tak niezręcznie ręką, że wylałem resztę kawy.

— No i co?

— No i zalałem ją... oczywiście usiłowałem ją jakoś uratować — powiedział pokornym tonem Andrzej, wyjmując z portfela plik bibulek, spośród których wygrzebał, delikatnie ją odrywając od pozostałych, zmiętą serwetkę dokładnie wykapaną w kawie — trochę się zamazało...

— Trochę! — warknął Derko, spoglądając z wściekłością na Drawskiego. — Jest pan potwornym gamoniem albo... — nie dokończył.

— Ale bardzo dobrze pamiętam, co tu było napisane. Nagle poczułam lęk — zaczął recytować — o, widzi pan ...łam lęk, zupełnie wyraźnie widać lęk. To może bez sensu, ale boję się

słowo boję jest całkiem czytelne...

– Niech pan weźmie te paluchy! – krzyknął Derko i wyciągnął z szuflady lupe. – No i co? Co było dalej?

– W Krakowie zostawiłam szarą kopertę przyklejoną przylepcem pod tapczanem. Nawet gdyby ktoś się włamał do mojego mieszkania, nie znajdzie jej. Rogalski wie, że ją mam.

– Widzi pan kopertę i Rogal..., tutaj, widzi pan.

– Niech pan przestanie! Może pan być pewien, że odczytamy tę cholerną kartkę. Mamy na to sposoby. Nie popisał się pan – powiedział niechętnie.

– Pójdę tam z panem – oświadczył stanowczo Andrzej.

– Przecież pan wie, że to niemożliwe.

– Oczywiście nie pokaże mi pan tej koperty?

– Proszę pana, pan stale zapomina o tym, że prowadzimy śledztwo w sprawie o morderstwo. – Derko wydał jakieś polecenia przez telefon, a po namyśle powiedział do Andrzeja:

– Niech pan zaczeka tutaj. Może będzie mi pan jeszcze potrzebny.

No i Andrzej znowu czekał. Żałował, że tu w ogóle przyszedł. Wydawało mu się, że siedzi całe wieki i z niedowierzaniem potrząsnął zegarkiem, który z całym uporem wskazywał dopiero 21.

– Zegarynka! – pomyślał i rzucił się do telefonu. Ale zamiast normalnego sygnału, usłyszał spokojny głos:

– Słucham?

Trochę go to zaskoczyło, ale natychmiast odzyskał rezon.

– Która właściwie jest godzina?

– Dwudziesta pierwsza zero pięć – odpowiedział głos.

– Gdzie jest kapitan Derko?

– Proszę się nie denerwować, zaraz przyjdzie.

Andrzej cisnął słuchawkę na widelki. Minęło znowu pół godziny. Derko wpadł do gabinetu, ale zanim Andrzej zdążył otworzyć usta, machnął ręką. powiedział „Chwileczkę, chwileczkę” i wybiegł z pokoju.

Drawski był wściekły. Nawet nie wiedział, czy może wstać i iść sobie, czy też musi tu siedzieć. Na dobrą sprawę za żadne pieniądze nie ruszyłyby się z tego miejsca: Chciał się koniecznie

dowiedzieć, gdzie jest Dorota. Zorientował się z rozmowy, że kapitan wie, co się z nią stało.

Derko przyszedł dopiero tuż przed dziesiątą. Trzymał w ręce dużą, szarą kopertę.

Więc to jest ta koperta – zdziwił się Andrzej. Wydawała mu się za duża i za gruba. Kapitan usiadł w drugim fotelu i spokojnie zapalił papierosa.

– No tak, znaleźliśmy to – powiedział powoli i wskazał ręką na leżącą na stole kopertę, po czym popadł w zadumę.

– Co w niej jest? – zapytał niecierpliwie Andrzej.

– Właściwie nie powinienem panu odpowiadać na to pytanie. Ale przecież coś się panu należy za pomoc – uśmiechnął się kapitan. – Poza tym chciałbym usłyszeć, co pan o tym powie.

Wyjął z koperty plik odbitek kserograficznych formatu papieru maszynowego.

– Tak pan się domyśla, nie mogę panu dać do ręki oryginału. Proszę, niech pan to przejrzy. Proszę się nie śpieszyć, mamy czas. Może napije się pan kawy?

– Dziękuję, nie pijam kawy o tej porze – powiedział automatycznie Andrzej, przeglądając kartki maszynopisu. – Przepraszam, opowiadam głupstwa. Oczywiście chętnie napiję się. Jestem jednak trochę zmęczony, a o sspaniu, wydaje mi się, nie ma mowy.

– Też tak myślę. Proszę spokojnie to przeczytać. Zaraz będzie kawa.

Andrzeja tak dalece pochłonęła lektura, że nawet nie zauważył, kiedy Derko wyszedł z pokoju, kiedy wrócił, dopiero pojawienie się sierżanta, pobrzękującego filizankami, na chwilę zdołało go oderwać od maszynopisu. Często wracał do pierwszych stron, potem przekładał kartki i czytał dalej.

– No i co pan powie? – zapytał Derko, kiedy Andrzej odłożył fotokopie i bez słowa, z papierosem w zębach znieruchomiał w fotelu.

– Proszę pana – powiedział Drawski z ociąganiem – to jest takie nieprawdopodobne, takie zaskakujące, że na- prawdę... Musi mnie pan zrozumieć, nie chciałbym wypowiadać się zbyt pochopnie.

— Niech pan się nie obawia. Nie będę na podstawie pańskiej, wreszcie siłą rzeczy dość powierzchownej oceny podejmował żadnych decyzji. Jak pan się domyśla, oryginalny egzemplarz znajduje się już w ekspertyzie od kilku godzin, a odbitki kserograficzne, takie jak te, które trzyma pan w ręce, został oddane do analizy merytorycznej. Mamy chemików nie gorszych niż wy w instytucie — dodał z uśmiechem. — Po prostu chciałem wiedzieć, co pan o tym myśli.

— Jak wynika z samego tytułu, jest to konspekt czy raczej plan pracy doktora Gębickiego. I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby... gdyby... oczywiście nie wiem, czy data, która została umieszczona w tym maszynopisie, jest prawdziwa...

— Niech pan się tym nie przejmuję. Ustalenie daty, kiedy to zostało napisane i przez kogo, należy już do nas.

Więc jeżeli naprawdę to zostało napisane cztery lata temu, to... — Andrzej wziął głębszy oddech — to autorstwo ostatniej pracy profesora Rogalskiego jest co najmniej wątpliwej

— Proszę to jaśniej wytłumaczyć.

Widzi pan, tu zostały postawione pewne hipotezy, został nakreślony plan badań — Andrzej mówił coraz gwałtowniej — To jest jak gdyby punkt wyjścia, z którego skorzystał Rogalski. Rany Boskie! — Andrzej zerwał się z fotela i zaczął chodzić po pokoju. — Przecież właśnie Rogalski przeprowadzał te badania! Udowodnił to, co chciał udowodnić Gębicki! To są założenia rewelacyjnej pracy Rogalskiego! Nie, to niemożliwe! To musi być jakieś nieporozumienie! Niech pan popatrzy — rzucił się do leżących na stole papierów. — Tu, na pierwszych stronach na marginesach są dopisane ręką Rogalskiego (przecież znam jego pismo) uwagi: „Bzdura”, „Bardzo efektowna hipoteza, ale zupełnie nie do udowodnienia”, a tu... tu dalej „Kolego, jest pan szarlatanem, nie naukowcem”. Zresztą pełno tych uwag. Niektóre fachowe, a inne bardzo osobiste. Ale jak pan widzi, w połowie tekstu te dopiski urywają się. Sądzi pan, że Rogalski nie przeczytał tego do końca? Niemożliwe. Żaden chemik nie przerwałby tej zaskakującej lektury.

— Więc pan mówi, że to jest plan pracy, którą potem napisał

Rogalski.

— Nie. Niezupełnie. Pan mnie źle zrozumiał. Praca Rogalskiego jest inna. Pan to uprościł. Widzi pan, gdyby Gębicki, o ile on jest autorem tego tekstu, gdyby przeprowadził wszystkie badania, o których tu wspomina, być może doszedłby do wniosków nieco odmiennych niż te, których się spodziewał. Jak by to panu wytłumaczyć? Tu chodzi raczej o sam pomysł. No i o pewną sumę doświadczeń, bo przecież ten, kto to napisał cztery lata temu, nie doszedł do tego tylko przy biurku. Jak pan zapewne zauważył przeglądając tekst, autor powołuje się na szereg doświadczeń i prac przygotowawczych, w pewnym sensie rewelacyjnych. To znaczy w tej chwili już nie są rewelacyjne, po publikacjach Rogalskiego, ale wtedy... Niesłychane!...

— No dobrze, załóżmy, że to naprawdę napisał Gębicki cztery lata temu...

— Tu są całe fragmenty pisane jego ręką. Nie wszystko można napisać na maszynie. Macie wreszcie grafologów...

— Niech pan tym się nie zajmuje. Oczywiście, jak już panu powiedziałem, oryginał jest już w ekspertyzie. Na razie zabawiamy się w „gdyby – toby”. No więc powiedzmy, że istotnie napisał to Gębicki. Co znaczą te uwagi Rogalskiego?

— To zupełnie proste. Rogalski jest dyrektorem naukowym instytutu, a poza tym kierownikiem pracowni, do której należy Gębicki. Konspekt pracy i założenia badawcze Gębicki musiał złożyć Rogalskiemu, tym bardziej że daje plan prac badawczych, których nie mógłby sam przeprowadzić. Jak pan się pewnie orientuje, takie doświadczenia są nieraz bardzo kosztowne i pracochłonne. Wymagają pracy wielu ludzi.

— I te doświadczenia przeprowadzono pod kierunkiem Rogalskiego?

— No, niezupełnie te. Widzi pan, tu jest wiele punktów stycznych, ale nie potrafię panu teraz powiedzieć, jak dalece Rogalski poszedł w kierunku wytyczonym przez Gębickiego. To wymagałoby dokładnej analizy zarówno tego tekstu, jak i pracy Rogalskiego, pod tym właśnie kątem.

— Tak, oczywiście.

— To byłoby zbyt ryzykowne stwierdzenie i zbyt pochopne. W

pierwszym, czytaniu uderza pewna zbieżność.

— Skąd to mogła mieć Agata Domańska?

— Nie wiem. Ale teraz zaczynani rozumieć niektóre sprawy.

— O czym pan mówi?

— Och, o wielu rzeczach — Andrzej w zamyśleniu potarł czoło. — Na przykład jej odejście z pracowni Rogalskiego...

— Myśli pan, że wiedziała?

— Na pewno nie знаła całej prawdy. W każdym razie wtedy jeszcze nie. Ale musiała zauważyć, że coś się stało, coś zaszło między profesorem a Gębickim. Dorota, jej siostra, powiedziała mi niedawno, że Agata odeszła z pracowni, bo straciła szacunek dla profesora, którego kiedyś podziwiała. Twierdziła, że żeruje na cudzej pracy, wykorzystuje ludzi, ale ona nie może się temu przeciwstawić, bo jej sytuacja jest bardzo kłopotliwa. Bała się, że może być posądzona o chęć zemsty. Wtedy już od jakiegoś czasu w pracowni Rogalskiego była Mirka Pelska. Agata może nie znała jeszcze tego dokumentu. Nie orientowała się w kierunku prac prowadzonych przez Rogalskiego.

— Czy to możliwe?

— Oczywiście. Kierownik pracowni często zleca swoim młodszym kolegom opracowanie jednego problemu. Wie pan, to tak jak szlifowanie jednego kamyczka do całej dużej mozaiki. Problem może być sam w sobie na tyle interesujący, że zupełnie zaspokaja ambicje naukowe młodego magistranta. Zresztą w ten sposób pracują całe zespoły. Poza tym profesor zleca przeprowadzenie wielu drobiazgowych doświadczeń i rola całego personelu naukowego ogranicza się do wykonania szalenie żmudnej, prawie rzemieślniczej pracy. Nikt w takich wypadkach nie kwestionuje autorstwa pracy.

— No tak, ale doświadczony chemik musi się orientować, do czego są te badania potrzebne.

Po jakimś czasie tak. Ale niekoniecznie. Zresztą sędzę, że pracownia Rogalskiego, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat, orientowała się, o co chodzi, ale obowiązywała wszystkich ścisła tajemnica. Agata była już wtedy u Trembickiego. Aż do opublikowania wyników badań cały instytut nie wiedział dokładnie, nad czym Rogalski pracuje. Wiadomo było, że

zajmuje się problemem, powiedzmy , z dziedziny „X”. To wszystko.

– No więc dobrze. W pewnym momencie Agata weszła w posiadanie tego dokumentu. W pewnym momencie zapoznała się z pracą Rogalskiego: I co? Zaczęła go szantażować?

– Nie, to niemożliwe. Ona nie była zdolna do czegoś takiego.

– Panie Andrzeju, czy pan nie rozumie, że właśnie dlatego została zamordowana?

– Szantaż kryje w sobie wyłudzenie jakichś korzyści Coś za coś. Agata na pewno nie chciała niczego od Rogalskiego Kilka miesięcy przed opublikowaniem pracy Rogalskiego Agata była ciężko chora. Nie czytała żadnych pism fachowych, nie zajmowała się niczym, co dotyczyło chemii. Wiem, bo odwiedzałem ja wtedy często w szpitalu. Potem wyjechała do sanatorium. Może wtedy... Wróciła w bardzo złym stanie...

– Wiem. Opowiadał mi pan o tym.

– Sądzę, że podczas tego sławetnego seminarium, na którym Rogalski referował swoje wyniki, musiała doznać szoku. Wtedy ostatecznie zrozumiała, co się stało. Właśnie tego dnia wróciła z sanatorium.

– I wtedy zaczęły się te telefony do profesora, o których pan mówił?

– Tak Pan pamięta, że wspomniałem o takiej rozmowie telefonicznej, podczas której Agata powiedziała: „Ty również zastanów się, jak wybrniesz z tej sytuacji”. Myślałem wtedy, że chodzi o Pelską i o nią. – Andrzej nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Wypił ją prawie duszkiem. – Ale nie rozumiem, dlaczego... jeżeli to wszystko właśnie tak było, dlaczego Gębicki zgodził się na to. Wreszcie kto jak kto. ale on musiał się orientować, że został okradziony.

– Oczywiście.

– Dlaczego na to pozwolił!.... To wszystko jest bardzo dziwne.

– Może nie aż tak bardzo, jak się panu wydaje.

– Kapitanie, w takim razie to musiała być Mirka?

– O czym pan mówi?

– Mirka Pelska zabiła Agatę.

*

O jedenastej Andrzej wyszedł z komendy wojewódzkiej MO. Był zmęczony i przygnębiony. Chciał koniecznie zobaczyć się z Dorotą, ale było na to zbyt późno. Poza tym miał do niej jednak żal.

— Musi pan zrozumieć — mówił kapitan Derko. — Ona po prostu wystraszyła się. Była w ogóle w złym stanie nerwowym, udawała dzielną i opanowaną, ale w rzeczywistości bała się wszystkiego i wszystkich. To przecież jeszcze dziecko...

Jednak Andrzej nie mógł zrozumieć, dlaczego wystraszyła się właśnie jego. Na pewno Derko podsunął jej to podejrzenie.

— Nic podobnego — oburzył się Derko.

Ale Andrzej wiedział, że wystarczyło, żeby zaczął Dorotę wypytywać z tym swoim uśmiechem o ów nieszczęsny klucz. No tak, wziął tydzień temu klucz do mieszkania Doroty i dał woźnemu w instytucie, żeby dorobił zapasowy. Pan Miecio zajmował się trochę ślusarką i w ogóle podejmował się różnych robót. Drawski oddał Dorocie dwa klucze. Może myślała, że trzeci zachował dla siebie? Przecież mogli sprawdzić. Zapytać pana Mięcia, ile kluczy dorobił. Zresztą na pewno to zrobili.

Andrzej szedł do domu pieszo.

Spacer dobrze mi robi — pomyślał i brnął przez zaśnieżone ulice. Zdawało mu się, że nigdy już nie dojdzie, ale kolejka na pustym postoju taksówek zniechęciła go ostatecznie do korzystania z jakiegokolwiek pojazdu mechanicznego. W domu powitała go zaniepokojona mama.

— Co się z tobą dzieje? Znikasz na cały dzień i nawet nie mówisz, dokąd idziesz.

— Przepraszam cię, mamusiu. — Pocałował ją w policzek. — Nie sądziłem, że wrócę tak późno...

— Dzwonili do ciebie z instytutu. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Poza tym były również inne telefony — dodała znacząco.

— Jestem bardzo głodny i zmęczony. Dasz mi coś zjeść?

— Nawet nie pytasz, kto dzwonił?

— Kto?

— Dorota.

– Dzwoniła? Kiedy?

– Och, kilka razy. W południe i wieczorem. Ostatni raz o dziesiątej. Zostawiła numer telefonu. Leży na twoim biurku – powiedziała starsza pani i odeszła w stronę kuchni.

Dorota odezwała się zaraz po pierwszym sygnale. Jej „halo?“, szybkie, nerwowe i wyczekujące, rozbroiło natychmiast Andrzeja. Był zły i równocześnie uradowany.

– Dorota? Co ty wyprawiasz, smarkulo? Czy wiesz, że nie powinienem z tobą w ogóle rozmawiać?

– Andrzej! Jak się cieszę! Andrzej! Muszę się z tobą zobaczyć! Nie gniewaj się. Jestem skończoną idiotką. Proszę cię...

– No, no, tylko nie chlip. Myślisz, że ja się tak łatwo wzruszam?

– Nie gniewaj się. Cały dzień szukałam cię...

– A ja cię szukam od trzech dni. Mów zaraz, gdzie jesteś.

– W hotelu. Zameldowałam się jako Nowicka. Derko mi - pomógł...

– Oczywiście, wiedziałem, że to jego pomysł.

– Ależ nie, to ja go o to prosiłam... Śmiał się ze mnie, ale wreszcie się zgodził. Był w ogóle bardzo miły. Powiedział, że włos mi z głowy nie spadnie, bo mam dobrą opiekę, ale wiesz, byłam taka przerażona... Andrzej... ze mnie jest straszny tchórz...

– Dobrze, już dobrze, głuptasie. Właściwie nie ma złego, co by nie wyszło na dobre. Dzięki moim gwałtownym poszukiwaniom dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. Można nawet powiedzieć rewelacyjnych. Opowiem ci jutro.

Czy... Czy coś się stało? Dowiedziałeś się czegoś istotnego?

– Chyba tak.

– Przyjdź do mnie. I tak nie będę mogła zasnąć.

– O nie! Jest już po dwunastej. Za karę siedz sobie sama w hotelu. Jestem nieludzko zmęczony. Wycieczka do Rabki i wizyta u Derki to na jeden dzień aż nadto.

– Byłeś w Rabce? Po co?

– Po co? Po co? Tak sobie! Dla przyjemności, jak się domyślasz.

- Gniewasz się jeszcze?
- Nie, już nie, chociaż powinienem. No, wytrzymaj nos i idź spać. A prawda! Jak zwykle nie masz chusteczki do nosa?
- Nie mam...
- Ej, pani Nowicka! Jest pani niepoprawnym niedbaluchem. Ale nawiasem mówiąc, skoro już masz ochotę zmienić nazwisko, to dlaczego wybrałaś sobie takie banalne? Polecam „Drawski” na przyszłość. Ładniejsze i bardziej do Ciebie pasuje.
- Coś ty...
- Kładź się do łóżka, szalenie rozgarnięta dziewczyno.

*

Tym razem Mirka Pelska była zupełnie spokojna. Nie płakała ani nie udawała zdziwionej i zaskoczonej. Zrezygnowała z okrzyków pełnych oburzenia, solennych zapewnień i „naiwnej szczerości”. Porzuciła cały arsenał środków aktorskich, począwszy od uśmiechów i kokieterii, aż po łzy i prośby. Była skupiona, poważna i bardzo małowólna. Tylko raz udało się kapitanowi Derce zaskoczyć ją, kiedy wyjął z teczki dużą szarą kopertę i położył ją na stole ze słowami:

- To jest właśnie to, czego pani szukała.
- Mirka wpatrywała się w kopertę.
- Co to jest?
 - Proszę, niech pani zobaczy sama.
- Ale Pelska siedziała sztywno i nawet nie drgnęła.
- Co to jest? — powtórzyła.
 - Plan pracy doktora Gębickiego. Wie pani, o czym mówię?
 - Nie...
 - Jest pani niepoprawna. Po co zaprzeczać? Pojechała pani do Rabki, żeby odzyskać ten dokument i zmusić Domańską do milczenia. Rogalskiemu groziła katastrofa. Kiedy się dowiedział, że Agata dysponuje takimi dowodami przeciw niemu, stracił zupełnie głowę. Postanowiła pani inaczej rozegrać tę sprawę. Ratując profesora, miała go pani zupełnie w swoich rękach.
- Mirka milczała.
- Dlaczego Gębicki zgodził się na wykorzystanie swojej

pracy? W jaki sposób Rogalski zmusił go do milczenia?

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Jeszcze usiłuje pani osłaniać profesora? On dla pani nie zrobi niczego. Nie będzie pani bronił, nie weźmie winy na siebie. Wręcz przeciwnie. Nawet jeżeli przyzna się do kradzieży, bo przecież to była kradzież — Derko wskazał ręką na kopertę — to nie przyzna się do współudziału w morderstwie.

— Ja jej nie zamordowałam — powiedziała Mirka. — Można zobaczyć, co jest w tej kopercie?

— Oczywiście.

Wyciągnęła powoli rękę, zawahała się, a potem zdecydowanym już ruchem wyjęła papiery z koperty. Przez chwilę wpatrywała się w pierwszą stronę maszynopisu, potem szybko przerzuciła kilka kartek i powoli odłożyła konspekt na biurko.

— Co będzie teraz z profesorem? — zapytała.

— Niech pani raczej pomyśli, co będzie z panią.

— Ja jej nie zabiłam. Miałam zamiar... To prawda... Chciałam ją prosić, żeby oddała te papiery, chciałam z nią porozmawiać. Gdyby mi nie ustąpiła, miałam zamiar ją zabić. Przygotowałam wszystko... Gdyby Agata oddała mi te... szpargały i obiecała milczenie, wyjechałabym nie robiąc jej krzywdy. Spotkałabym się z bratem w Borkowie i wróciła zaraz do Krakowa. Ale ona nie chciała się zgodzić... Głupia, stara wariatka...

— Szantażowała. Rogalskiego?

— Nawet nie. To znaczy niczego nie żądała dla siebie, ale dała mu miesięczny termin, żeby się zastanowił, jak ma to wszystko załatwić. Nie wiem, jak ona to sobie wyobrażała. Powiedziała, że po powrocie z Rabki na najbliższym posiedzeniu w instytucie publicznie go oskarży, jeżeli profesor wcześniej nie oświadczy, że Gębicki jest współautorem jego pracy. Adam nie mógł przecież tego zrobić. Tym bardziej że on jest naprawdę autorem tej pracy. To jest tylko powierzchowna zbieżność. Poza tym Adam był pierwszy, mógł to udowodnić.

— W takim razie czego się bał?

— Nawet gdyby się oczyścił z zarzutów, byłby skompromitowany w środowisku. To by się ciągnęło za nim przez

całe życie. Nie byłoby końca plotkom, oszczerstwom... Miałoby to wpływ na jego dalszą karierę. Pan wie, jacy ludzie są zawistni.

— Czy pani naprawdę wierzy w to, co mówi?

Mirka nie odpowiedziała.

— Ale zostawmy to. Więc postanowiła pani zmusić Domańską do milczenia.

— Tak. Ale nie zabiłam jej. Po obiedzie wróciliśmy do domu na herbatę. Miałam przygotowane HB 69...

— Co takiego?

— HB 69... Nie mogłam się jednak zdobyć na to, żeby to wsypać do filizanki Agaty, chociaż miałam ku temu niejedną okazję... Po prostu nie mogłam. Nasza rozmowa była bardzo burzliwa. Wreszcie Agata w pewnym momencie kazała mi wyjść. Wybiegłam... Postanowiłam natychmiast wyjechać i zostawić to wszystko... Koło poczty nieco ochłonęłam. Nie poszłam na dworzec, tylko do parku. Chodziłam po parku może godzinę. Wreszcie postanowiłam wrócić i jeszcze raz spróbować dogadać się z nią... albo... no wie pan... i wróciłam. Drzwi były otwarte, weszłam do pokoju... Ona leżała na tapczanie ohydnie skręcona, wykrzywiona... panie kapitanie... Ona nie żyła. Przysięgam panu, ja tego nie zrobiłam... chciałam, ale nie zrobiłam.

— Oczywiście w parku nikt pani nie widział?

— Nie wiem. Było już ciemno... chyba nikt.

— A kiedy pani wchodziła do domu państwa Rawiczów?

— Nie spotkałam nikogo. Zresztą nie wiem. Może gospodyni widziała mnie przez okno... naprawdę nie wiem...

— Miała pani klucz do pokoju Domańskiej?

— Ależ nie. Drzwi zastałam otwarte.

— Przecież tam jest zamek zatraskowy.

— Tak, ale kiedy wróciliśmy z obiadu, Agata zablokowała zatrask. Wychodziłyśmy przecież do kuchni i do łazienki, nie zamykałyśmy drzwi na zatrask za każdym razem. Pan na pewno wie, jaki tam jest rozkład mieszkania. Do pokoju Agaty wchodziło się wprost z klatki schodowej. Naprzeciwko było wejście do mieszkania Rawiczów, najpierw do korytarza, a z

niego do łazienki, kuchni i pokoju. Drzwi stale były otwarte, zarówno do mieszkania Rawiczów, jak i do pokoju Agaty.

— Więc dobrze. Weszła pani do pokoju i co pani zobaczyła?

— Już mówiłam.

— Tak, ale poza tym?

— Poza tym?

— Czy pokój wyglądał tak jak przed godziną?

— Czy ja wiem?... Agata otworzyła drzwi na balkon. Widocznie chciała wywietrzyć pokój... Na stole stała pusta popielniczka. Zwróciłam na to uwagę, bo wypaliłyśmy mnóstwo papierosów... Obok leżała ściereczka do naczynia i czysty talerzyk. Mojej filiżanki już nie było... Kiedy wychodziłam, na stole stały brudne naczynia.

— A filiżanka, z której piła Domańska?

— Koło tapczanu leżała rozbita filiżanka... zauważyłam na podłodze ślad po rozlanej herbacie... To była chyba herbata?

— Jest pani bardzo spostrzegawcza.

— Nie wyszłam od razu z tego pokoju. Stałam oparta o drzwi. Nie chciałam wierzyć własnym oczom. Przez chwilę myślałam, że chyba oszalałam. Stało się wszystko tak, jak zaplanowałam. Przeraziłam się, że może jestem niespełna rozumu, że pod wpływem szoku wymazałam z pamięci to, co zrobiłam przed godziną. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, jak wsypuję truciznę do jej filiżanki, potem spokojnie obserwuję, jak Agata siada na tapczanie, bierze filiżankę ze stoliczka nocnego, podnosi do ust... i potem... potem... Potem musiałam się przerazić i uciec. Wydało mi się to tak dalece prawdopodobne, że prawie w to uwierzyłam. Ale zaczęłam powtarzać w kółko: „nie, nie, to nieprawda” i przypominałam sobie o truciznie. Otworzyłam torebkę... miałam ją... nie ruszoną, schowaną w pudełeczku... nie tkniętą. Więc to. co chciałam zrobić, stało się bez mojego udziału... ona popełniła samobójstwo zaraz po moim wyjściu. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego? Bałam się, że ktoś może wejść do pokoju, ale jednak zostałam. Od razu - pomyślałam, że wszystko teraz będzie na mnie i że muszę wykorzystać moje alibi. Zaczęłam szukać tych papierów... w szufladzie, na półce, pod poduszką, w walizce. Spieszyłam się...

Wiedziałam, że kiedy milicja je znajdzie, wszystko od razu stanie się jasne. Nigdzie ich nie było. Agata powiedziała mi, że ich nie ma ze sobą w Rabce, ale jej nie uwierzyłam. Okazało się, że mówiła prawdę. Dlatego wiem, co stało na stole i gdzie co leżało, bo starałam się niczego nie ruszać. Staralam się, żeby wszystko zostało tak, jak było. Czysta popielniczka, ściereczka, talerzyk i otwarte drzwi na balkon – to wszystko wskazywało na to, że Agata po moim wyjściu zebrała brudne naczynia ze stołu, otworzyła drzwi, żeby wywietrzyć pokój, i wyszła do kuchni. Podeszła do tapczanu i... nagle postanowiła popełnić samobójstwo? To przecież niemożliwe. Na stoliku nie było pustego opakowania, żadnej fiolki, nawet papierka. W czymś musiała to trzymać?

Mirka zamilkła. Patrzała na kapitana Derkę, jakby oczekiwała od niego odpowiedzi.

– Proszę, proszę dalej. Co pani potem zrobiła?

– Byłam w panice. Wszystko dokładnie zaplanowałam, ale wydawało mi się, że to jest niewykonalne. Umierałam ze strachu. Wyjęłam z torebki Agaty awizo na rozmowę z Krakowem. Potem z zegarkiem w ręce stałam znowu, oparta o drzwi, i czekałam. Musiałam w ostatniej chwili wpaść do Rawiczów, pożegnać się, żeby dobrze pamiętali, o której wyszłam. Nawet pozostawienie rękawiczek na stole nie było przypadkowe. Miało na celu zmuszenie starego albo starej, żeby za mną wyszli na schody. Któreś z nich powinno widzieć, że wychodzę z domu, że biegnę w ostatniej chwili na dworzec. Wszystko poszło jak z płatka. Rawicz dognił mnie przy furtce ogrodowej. Dalej to już pan wie wszystko. Oczywiście cały czas byłam śmiertelnie przerażona. Mój plan wydał mi się nonsensowny. Przecież starzy mogli wejść do pokoju Agaty przed dziewiątą! Wprowadzie wychodząc odblokowałam zatrask, więc bez klucza nie dostaliby się do środka. Gdyby zapukali, pomyśleliby, że Agata już wyszła. Ale wchodząc o dziewiątej na pocztę, byłam nieprzytomna ze strachu.

– W takim razie pani brat musiał wiedzieć o wszystkim?

– Nie. Nie powiedziałam mu prawdy. Poprosiłam go tylko, żeby przyjechał o określonej godzinie do Borkowa i zostawił

swój samochód w umówionym miejscu. Coś mu naopowiadałam o kłopotach z Adamem, takie różne głupoty... Powiedziałam mu, że rano jadę do Bukowiny i będę wracała wieczorem pociągiem zakopiańskim. Że chcę jeszcze tego samego dnia odwiedzić Agatę, ale nikt o tym nie może wiedzieć. Prosiłam go, żeby nikomu nie mówił, że przyjechał do Borkowa samochodem, że mi na tym szalenie zależy. Bardzo mu się to wszystko nie podobało, ale dałam mu słowo, że potem mu wszystko wyjaśnię. Oczywiście domyślał się, że za tym wszystkim kryje się jakaś „machlojka”, ale nie przypuszczał, że to aż taka poważna sprawa... On zawsze mnie traktował trochę jak zwiariowaną pannicę. W każdym razie przysiągł mi, że spełni moją prośbę. Paczkę z ubraniami rano schowałam w bagażniku, a kluczyczek zabrałam. Tak więc jak pan powiedział, wysiadłam w Borkowie i wróciłam samochodem do Rabki. Zatrzymałam się w bocznej alei koło sanatorium „Orzeł”. Przebrałam się... Po powrocie z poczty zdjęłam płaszcz i perukę, włożyłam swoje buty i ruszyłam na pełnym gazie do Borkowa. Byłam przekopana, że nikt mnie nie widział. Byłam jednak tak zdenerwowana, że nie mogłam dalej prowadzić samochodu Krzysztof zorientował się, że coś się stało. Powiedziałam mu, że ktoś zamordował Agatę. „Sam rozumiesz, że nikt nie może wiedzieć, że tam byłam. Będą mnie podejrzewali...” – tłumaczyłam mu. Był przerażony. Uznał, że coś kręcę. Coś mu się nie zgadzało, ale zrezygnował z dalszych pytań, bo widział, że jestem bliska hysterii.

Dojechaliśmy do Krakowa w głuchym milczeniu. Przyglądał mi się nieufnie, ale wiedziałam, że prędzej dałby się poćwiartować, zanim by pisnął słowo komukolwiek o naszej nocnej eskapadzie. Nawet gdyby miał pewność, że popełniłam morderstwo. Przeciwnie – właśnie wtedy milczałby. Byłam zbyt zmęczona, żeby mu cokolwiek tłumaczyć. Poprosiłam go jeszcze raz o zachowanie tajemnicy. „Bądź spokojna. Widzę przecież, że wpakowałaś się w jakąś głupią historię” – powiedział.

— Więc pani brat nie wiedział, po co pani jeździła do Rabki?

— Nie.

— A profesor?

Pelska nie odpowiedziała.

— Profesor wiedział i pomagał pani. Może nawet całą rzecz wymyślił?

— Nie chcę o nim mówić.

— Dlaczego?

— Pan chyba nie zdaje sobie sprawy, jaki dramat on teraz przeżywa?

— Chce go pani oszczędzić? Jest pani zadziwiającą osobą! Bezwzględna, okrutna i pozbawiona skrupułów. Chciała pani uwolnić Rogalskiego od Agaty i równocześnie uzyskać nad nim kolosalną przewagę. Mając w ręce pracę Gębickiego, mogła pani całymi latami szantażować profesora, mogła pani z nim zrobić wszystko, co pani tylko chciała. A teraz, kiedy się nie udało, osłania go pani. Dlaczego? Przecież on nie był wobec pani lojalny. Pierwszy rzucił na panią podejrzenie.

— Bronił się.

— Przed czym? Był wtedy w Krakowie, miał na to świadków. Nie czuł się zagrożony. Czy pani jeszcze teraz nie rozumie, że chciał całą winę zwalić na panią? Sugerował, że pani była zazdrosna o Domańską. Udawał, że nie wiedział o pani wyjeździe do Rabki, oświadczył, że Agata miała bardzo zmieniony głos podczas tej rozmowy telefonicznej, podważając w ten sposób pani alibi.

— Nie, to niemożliwe. Za dużo o nim wiedziałam. Mógł się obawiać, że jak będę w krytycznej sytuacji — sygnę go.

— Zdawał sobie sprawę, że pani nie będzie mówić o pracy Gębickiego. Nie podsunęłaby pani nam takiego motywu zbrodni.

— Na pewno wolałby, żebym nie musiała składać zeznań w tej sprawie.

— Na wszelki wypadek asekurował się. Nie chciał być oskarżony o współudział. Nie chciał występować jako inspirator. Wolał pozostać z boku. O niczym nie wiedział, wszystko stało się bez jego udziału i wiedzy. A poza tym liczył na pani lojalność. I nie bez racji.

— Nie chce o nim mówić.

Derko przeglądał się Mirce przez dłuższą chwilę.

– Pani opowieść jest na razie tylko bajeczką, którą mogła pani wymyślić na poczekaniu. Nie ma pani żadnego dowodu na to, że właśnie tak było.

– Ale to prawda – powiedziała cicho.

– Prawda! – Derko wzruszył ramionami. – Pani poprzednia wersja miała być również prawdziwą. W każdym razie zapewniała mnie pani o tym. Mamy przeciw pani bardzo poważne dowody. Chyba pani nie myśli, że wystarczy powiedzieć „to jest prawda” albo „to jest nieprawda”, żeby zostać uwolnioną od wszelkich podejrzeń.

– Wiem... Ale powiedziałam panu prawdę.

– Uwierzyłeś w tę historyjkę? – zapytał kapitan Bartkowski z powątpiewaniem.

– To nieistotne, w co uwierzyłem. Moja praca nie polega na wysłuchiwaniu cudzych opowieści, aby w nie uwierzyć lub nie. Mam zebrać materiał dowodowy.

– Fakty świadczą przeciw niej.

– Może nie znamy wszystkich faktów.

– Jednak dałeś się zrobić w konia tej pani.

– Chcesz mnie sprowokować. Nie wyprowadzaj mnie, synku, z równowagi! To, co ona powiedziała, jest całkiem prawdopodobne. Nie twierdę, że tak było, ale uważam, że powinniśmy to sprawdzić. Po prostu nie możemy przejść nad tym do porządku dziennego.

– Dobrze, dobrze. Już widzę, jak będziemy szukali wiatru w polu.

– Przyznasz, że jednak Domańska po wyjściu Pelskiej umyła naczynia i otworzyła drzwi na balkon.

– Mogła to zrobić jeszcze przy niej albo Pelska zrobiła to sama.

– Czyżby? Otruła Agatę, a potem poszła do kuchni umyć filiżanki? Po co? Nie wiedziała przecież, że Rawiczowie oglądają telewizję. Mogła się obawiać, że zastanie w kuchni Rawiczową, wtedy stworzenie pozorów, że Domańska po jej

wyjściu gospodarowała w kuchni, byłoby niemożliwe.

— Ale Rawiczowie nie widzieli, kto mył naczynia.

— W ogóle nie rozumiesz, o czym mówię!

— Nie.

— Szkoda! — Derko zapalił papierosa i zaczął chodzić nerwowo po pokoju. — Przecież się nie upieram, że Pelska mówi prawdę. Chodzi mi tylko o to, że to jednak jest możliwe. Nie możemy tego wykluczyć.

— Tak, tak — westchnął Bartkowski — oczywiście masz rację.

— Poza tym zapominasz o duchu.

— O czym?! — Bartkowski na chwilę znieruchomiał. — Ach tak, o duchu! Komendant Kozoń się kłania...

— Jemu też nie wierzysz?

— Ależ tak, wierzę — powiedział Bartkowski ubawiony. — Komendant Kozoń na tropie!

— Nie rób z siebie durnia! .

— Tak jest, kapitanie! — mruknął Bartkowski, ale po chwili dodał ugodowo: — Powiedzmy, że w tym cholernym zagajniku ktoś stał. Przecież to mógł być jakiś pijany albo kawaler czekał na dziewczynę z pobliskiego domu.

— Nie doceniasz Kozonia. W takim małym miasteczku wszyscy się znają. Gdyby to była randka, Kozoń by wiedział, co to za chłopak i na jaką dziewczynę czeka. Musimy poszukać tego ducha. W każdym razie przynajmniej starać się go odnaleźć.

— Akcja „Duch”.

— Przestań się wygłupiać!

— Wcale się nie wygłupiam. Wciągnij w to Kozonia.

— Żebyś wiedział — powiedział poirytowany Derko.

— Mówię poważnie. On wreszcie zna teren, zna ludzi, nie jest wprawdzie oficerem śledczym, ale ma swój chłopski zdrowy rozum.

Derko spojrzał podejrzliwie na przyjaciela.

— Kozoń wcale nie jest głupi.

— Na pewno — powiedział zupełnie poważnie Bartkowski. — No a my będziemy znowu mieli kupę roboty.

Nagle Rabka przestała się Kozoniowi zupełnie podobać. Szedł

przez zaśnieżone uliczki, niechętnie spoglądając spod oka na krajan.

Cholerna dziura! – przeklinał w duchu. – Cholerne baby rozniosą człowieka na pyskach. Zresztą chłopom też nic nie brakuje – dodał z goryczą.

Był w okropnym nastroju, a poza tym mróz aż zgrzytał pod butami. Nogi same zniosły go „Pod Gwiazdę”, ocknął się dopiero na środku małej salki, w której za barem stał uśmiechnięty Kuba Skalski.

Sierżant strzepnął od niechcienia śnieg z rękawa, rozpiął płaszcz i usiadł przy stoliku.

– Dzień dobry, komendancie – zagadnął wesoło kelner Jabłoński. – Co podać? Jarzębiaczek? Eksportową?

Kozoń spojrział na niego podejrzliwie i wyciągnął powoli z kieszeni zmiętą paczkę „Sporciaków”.

– Grzane piwo – powiedział ponuro.

– Już się robi – odpowiedział ochoczo Jabłoński, wykonując nieokreślony manewr białą serwetką. – Grzane raz! – krzyknął w stronę baru, odpływając radośnie do następnego stolika.

Komendant Kozoń pokiwał z goryczą głową.

Oczywiście, on też... Ale mnie ten Derko urządził!...

Jeszcze kilka dni temu był pewien, że dzień triumfu jest bliski. Siedział teraz smętnie nad kufelkiem piwa i myślał z rozpaczą, że niepotrzebnie dał się „wrobić”. Kiedy Derko zwrócił się do niego z „osobistą” prośbą („nie mogę wam tego zlecić w drodze służbowej...” mówił „moi ludzie przeczeszą teren... moja ekipa...” itd.) – Kozoń oczywiście chętnie się zgodził poszukać na własną rękę tego cholernego ducha.

– Rozejrzę się dyskretnie – powiedział. – Znam tu trochę ludzi i jeżeli jest coś na rzeczy, dojdziemy do tego wcześniej czy później.

– Dyskretnie! – sapnął ze złością, pociągając łyk piwa. – Czy to jest w ogóle możliwe w tej cholерnej dziurze?

Ludzie Derki rzeczywiście „przeczesali” teren. Kręcili się po Rabce, nachodzili spokojnych obywateli, gadali, niuchali i poszli. W domu PTTK został jakiś dziwaczny narciarz –

codziennie rano demonstracyjnie smarował narty, spoglądał w zachmurzone niebo i potem gdzieś znikał. Każde dziecko już wiedziało, że to gliniarz z Krakowa. Na Słonem pojawiła się jakaś babka z bachorem. Gadatliwa jak cholera. Kozoń wzruszył ramionami. Niechby, co mu to szkodzi. Ale po co on się w to wpakował! Nałaził się, natyrał i co? Wszyscy zorientowali się od razu, o co chodzi. Rabka zamarła w radosnym oczekiwaniu sensacji. Potem baby rozpuściły jęzory. Zaczęto go nagabywać, doradzać, podpytywać. Po trzech dniach ludzie mieli dosyć i zaczęli z niego żartować.

– Kozoń szuka ducha – ktoś powiedział i wszystkim się to bardzo spodobało.

I tak już zostanie – pomyślał z wściekłością. – Nie darują mi tego ducha do końca życia.

Zapłacił za piwo i wyszedł trzaskając drzwiami. Zaraz pod „Gwiazdą” wpadł na Franka Wajdę. Siedział na tych swoich saneczkach i ssał kawałek śniegu. Kozoń miał ochotę palnąć go w łeb, ale Franek miał taką spłoszoną minę, jakby coś przeskrobał, i komendantowi zrobiło się go żal.

Właściwie czego ja od niego chcę? Przecież to nie jego wina, że mu uwierzyłem – pomyślał i bez słowa minął chłopaka. Ale Franek natychmiast się zerwał i, ciągnąc za sobą sanki, zaczął iść za komendantem. Kozoń zatrzymał się.

– Czego chcesz?

– Ja? – Franek szalenie się zdziwił.

– No a kto? Mów, czego chcesz!

– Niczego... – wzruszył ramionami i z rozmachem kopnął grudę śniegu.

Kozoń poszedł dalej. Usiłował nie zwracać uwagi na smarkacza, ale cały czas słyszał, że tamten lezie za nim. To zwalniał, to znowu podbiegał do niego, tak że chwilami prawie deptał Kozoniowi po piętach. Wreszcie zaczął iść koło niego, a kiedy Kozoń nadal udawał, że go nie dostrzega, chwycił go za rękaw.

– Komendancie!... Komendancie!...

Kozoń zatrzymał się.

– No co?

- Pan dalej szuka tego ducha?
Kozoniowi zrobiło się czerwono przed oczami.
- Chcesz w ucho?
- Dlaczego? – zapytał wystraszony chłopak. – Dlaczego? Bo jak pan go dalej szuka, to Pietrek też widział ducha.
- Jak ci przyleję, to skończy się wreszcie ta zabawa w duchy!
– powiedział groźnie Kozoń.
- To nie jest zabawa!... Jak Boga Kocham! Mówiliśmy z chłopakami, że Tadek nas nabujał, a Pietrek mówi, że wcale nie, bo on też widział ducha... tego samego dnia... nad Rabą...
- Franek dokończył cienkim głosem i cofnął się na wszelki wypadek, ale potknął się o sanki i klapnął w śnieg.
- Kozoń chwycił go za kołnierz, postawił na nogi i pogroził mu palcem tuż przed nosem.
- Słuchaj, smarkaczu! Jeszcze raz... – ale nie dokończył. Znieruchomiał, jakby go sparaliżowało.
- Jak Boga Kocham – płaczliwie chlipnął Franek.
- Gdzie? Gdzie nad Rabą? – zatrzęsł nim Kozoń.
- Co pan!...
- Gadaj zaraz, gdzie on widział... tego ducha.
- No, nad Rabą. Pietrek mieszka za Grzebieniem... w ostatniej chałupie. Tego dnia wrócił wcześniej do domu, bo matka mu kazała. Wrócił, ale się nudził i wyszedł na drogę. Dopiero robiło się ciemno. Od nich widać tory kolejowe i Rabę. Mówi, że wzdłuż Raby szedł jakiś... wyszedł z wikliny. Musiał iść po kolana w śniegu... albo co.
- Jak wyglądał?
- A bo ja wiem? Mówi, że czarny. Ale pewnie temu, bo było już prawie ciemno.
- I gdzie poszedł?
- Pietrek mówi, że skręcił w stronę torów i wlaź w krzaki.
- Zawracanie głowy – powiedział Kozoń, ale o wiele pogodniejszym tonem. – Każdy mógł tamtędy iść.
- Tak, ale w lecie. Teraz tam nie ma ścieżki. Nikt tamtą stroną nie chodzi.
- No a ten szedł.
- No, pewnie. Pietrek chciał nas nastraszyć i jak

opowiadaliśmy o tym duchu od Rawiczów, to on mówi, że ten sam, że przeszedł wzdłuż torów, krzakami do Słonki i nad rzeką zagajnikiem pod dom Rawiczów. Myśmy się nie bali, ale dziewczyny piszczały i nie chciały iść do zagajnika przez trzy dni.

— Bardzo dobrze. Niech nie chodzą. Wreszcie kiedyś nogi sobie połamiecie na tej górze. Powiedz dziewczynom, że ducha to może tam już nie spotkają, ale mnie na pewno! A teraz zmiataj!

Franek wyszczerzył zęby.

— Pietrek mówi, że to duch ze Smoleniówki!

— Głupi! Co to za duch, co się musi ukrywać w śniegu, żeby się dowlec do Rawiczów.

— Potępiony.

— Głupi! Nie ma żadnych duchów! — Komendant roześmiał się głośno. — Dlaczego akurat ze Smoleniówki? Może z Zarytego? — i Kozon znowu znieruchomiał, jakby wsłuchany we własne myśli. Cholera, może rzeczywiście z Zarytego?

W jednej chwili całe zniechęcenie i smutek opuściły Kozonia bezpowrotnie. Wyprostował się i bystrym okiem obrzucił „swoją” Rabkę. Właśnie minął go Janek od Pyzików, a w jego pozdrowieniu i uśmiechu komendant nie mógł dopatrzeć się żadnej kpiny. Po prostu chłopak, którego znał od dziecka, powiedział mu zwyczajnie „dzień dobry”. Słońce migotało w oszronionych gałęziach drzew, a śnieg przyjemnie skrzypiał pod nogami. Komendant postanowił natychmiast pojechać do Zarytego. Tak, pojechać samochodem, sankami, rowerem, byle czym, aby jak najprędzej dotrzeć na miejsce. Za to wróci piechotą — wzdłuż torów i nad Rabą.

Mała stacyjką, zagrzebana w śniegu, świeciła o tej porze pustkami. Niewielki szyldzik stwierdzał dumnie: „Rabka-Zaryte”. Dworzec kolejowy leżał w dolinie Raby, która tutaj wiała się między Luboniem a zboczami Grzebienia i Bani. Do „Zdroju” w lecie można było się dostać przez zalesiony grzbiet Bani. Nad Rabą stało nie- wiele domów. Właściwa wieś ciągnęła się wzdłuż szosy, do której od stacji trzeba było podejść nieco pod górę, tak że budynek PKP stał raczej z boku,

na dnie dolinki. Tuż za torami bulgotała rzeka, jak to górską rzeką, miejscami zamarznęta, a miejscami rwąca i bystra. Po drugiej stronie Raby wznosiło się zalesione zbocze. Kozoń dobrze znał to miejsce, mimo to stał pełen zadumy i przyglądał się okolicy. Na kartce, którą trzymał w ręce, wypisane miał przyjazdy pociągów z Sącza i z Chabówki. Pociągów z Chabówki na razie nie brał pod uwagę. Po pierwsze przychodziły o „nieodpowiedniej” porze, po drugie tylko ciężki idiota mógł kręcić się po Chabówce, potem wsiąść do sądeckiego pociągu (za dużo osób mogłoby .go widzieć, a chyba nie zależało mu na tym), przejechać przez Rabkę, wysiąść w Zarytem, żeby wrócić piechotą do Rabki.

Przyjmijmy więc na razie, że ten ktoś przyjechał z Sącza – kombinował Kozoń. – A więc przyjechał o 15.20. Było jeszcze jasno. Ale nie wyszedł na górę do wsi, tylko skręcił gdzieś tu nad rzekę. Może szedł kawałek wzdłuż torów, potem przez mostek na drugą stronę i tam skrył się w lesie. Albo tuż koło olszyny skręcił zaraz nad rzekę i tam wszedł w wiklinę. No, tam to już mógł iść raz tędy, raz tędy, przez śnieg na przełaj i tyle go widzieli. Tymczasem zaczęło się ściemniać. W lecie wzdłuż torów i Raby można dojść do Rabki w 50 minut (oczywiście dobrze maszerując). On brnął po śniegu i kluczył jak zajac. Doszedł na miejsce w ciągu godziny. No, jeszcze można mu dorzucić dziesięć minut na przejście wzdłuż Słonki do zagajnika, na zaplecze domu Rawiczów. A więc 16.30. Było już zupełnie ciemno. Ta elegantka z Krakowa twierdzi, że wybiegła z domu Rawiczów gdzieś koło piątej. No to ten ktoś stał już mniej więcej pół godziny w zagajniku. Obserwował dom i czekał na odpowiednią chwilę, żeby wejść, nie zwracając na siebie uwagi. Zobaczył Pelską. Widział ją dokładnie, bo nad drzwiami wejściowymi świeci lampa. Doszedł do wniosku, że odpowiednia chwila nadeszła... Powoli, Kozoń, powoli! – skarcił się komendant. – Tu nie ma co fantazjować! Trzeba pogadać z Kobuszem. Tak, z nim przede wszystkim.

Kobusz był zawiadowcą stacji w Zarytem i dalekim krewniakiem Kozonia.

– Był tu jeden taki – powiedział Kobusz z wahaniem – ale nie wiem, czy to akurat 14-ego stycznia... Gdzieś tak w połowie stycznia... Zaczekaj, zaczekaj... To była sobota...

– Ko to zgadza się. Czternastego stycznia była sobota.

– Tak, ale pewności nie mam.

– No, no, kto to był? Jak wyglądał?

– Widzisz... najpierw prawie nie zwróciłem na niego uwagi. Tego dnia pociągiem o 15.20 przyjechało tylko kilka osób. Pięć, sześć... coś koło tego. Stary Karłowicz przyjechał z Sącza. Był u dzieci na świętach. Pogadałem z nim trochę. Pociąg odjechał, ludzie szybko się rozeszli, a ten, o którego pytasz, zakręcił się i zaraz poszedł bokiem.

– Bokiem? To znaczy gdzie?

– Nie wyszedł przez stację na drogę, tylko jak wysiadł z pociągu, zaraz skręcił ścieżką koło torów. Nawet chciałem zapytać go, dokąd idzie, bo to jest droga tylko do magazynu, ale zobaczyłem Karłowicza i zacząłem z nim gadać.

Przypomniałem go sobie dopiero w nocy Odbierałem pociąg z Chabówki (ten o 22.10). Kilka osób stało na peronie, bo pociąg już się zbliżał. A ten znowu wyszedł gdzieś z boku. Spojrzałem na niego i myślę „gdzie ja tego gościa widziałem”. Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że to ten sam. W pierwszej chwili nie poznałem go. Przecież nie przyglądałem mu się za pierwszym razem. Wyglądał jak umarlak. Pijany czy co? Chyba gdzieś się w śnieg zwałił, bo spodnie miał zaśnieżone. Dołem całe oblodzone. Utyłany w śniegu jak nieboskie stworzenie. Czapkę naciągnął na nos, ręce trzymał w kieszeni, ale i tak było widać, że trzęsie się z zimna.

– I co, wsiadł do sądeckiego?

– Tak.

– A jak był ubrany? Jak wyglądał?

– Taki średniego wzrostu, może jak ja, tylko chudy. Czy ja wiem, jak on wyglądał? Zwyczajnie. Trochę głupio ubrany, jak na naszą pogodę. Ciemny płaszcz – czarny, może szary. I czapka z ciemnego futra na głowie.

– Poznałbyś go?

- Nie wiem... Trudno mi powiedzieć.
- I wsiadł do sądeckiego o 22.00?
- Już ci mówiłem.

Niczego więcej Kozoń nie mógł się dowiedzieć. Pogadał jeszcze trochę z Kobuszem o tym i o owym, i poszedł do starego Karłowicza.

Karłowicz nie przypominał sobie mężczyzny w czarnym płaszczu. Nie widział, nie pamiętał, nie zauważył. Jedno było pewne, od rodziny z Sącza wrócił 14 stycznia.

To już coś – pomyślał Kozoń i rozpoczął długą wędrówkę w poszukiwaniu pozostałych czterech osób, które tego dnia przyjechały do Zarytego. Nikt nie zwrócił uwagi na obcego. Michalina, ciotka Jolki Paraś, całą drogę przegadala z Kozłową z Rabki. Właściwie nie całą. drogę, bo jechała z Sącza, a Kozłowa wsiadła dopiero w Mszanie Dolnej.

Kozoń wrócił do Rabki późno w nocy, zmęczony i zmarznięty, bo jak sobie obiecał, szedł piechotą z Zarytego.

Na drugi dzień rano złożył wizytę Kozłowej. Wiedział, że Kozłowa zaraz po jego wyjściu pobiegnie do sąsiadek i że w ciągu godziny cała Rabka będzie wiedziała o jego poszukiwaniach. Ale trudno.

No i poszczęściło się. Kozłowa widziała mężczyznę w ciemnym płaszczu i futrzanej czapce, jak wsiadł do pociągu w Mszanie Dolnej. Kupował przed nią bilet. W Zarytem wyjrzała przez okno, żeby jeszcze coś powiedzieć Michalinie, i widziała tego samego mężczyznę, jak szedł peronem w stronę magazynów.

Kozoń czuł przyjemny dreszcz podniecenia. Najchętniej pojechałby do Mszy Dolnej. Chciał koniecznie sam dowiedzieć się wszystkiego, ale z drugiej stron}'... Kto wie, może lepiej niech się tym zajmie Derko. On zrobił swoje. Gdyby się okazało, że to niewypał, niech się martwi Kraków.

No tak,, tak, ale w ten sposób podaję im tego cholernego ducha jak na patelni. Tylko zjeść z frytkami i popić piwkiem. Z drugiej strony nie wiadomo, czy to piwko nie skwaśniało... Tak czy inaczej decyzja należy do Derki. Gotów potem powiedzieć, że coś spaskudziłem.

Dorota Domańska wyprowadziła się z hotelu. Żeby do reszty przebłągać Andrzeja, zamieszkała na Wiśniowej, ku dużemu zadowoleniu jego mamy. Andrzej koniecznie chciał porozmawiać z Gębickim, chociaż Derko stanowczo mu tego zabronił. Ale nie miał okazji. Od kilku dni docent nie pokazywał się w instytucie. Nawet wszechwiedząca pani Teresa nie potrafiła powiedzieć, dlaczego.

– Podobno jest chory – mówiła z dużym niezadowoleniem – ale kto może wiedzieć? Od pewnego czasu zbyt dużo ludzi u nas choruje...

Oczywiście wszyscy już wiedzieli o aresztowaniu Mirki Pelskiej. Profesor Rogalski gdzieś wyjechał. Pani Teresa mogła być niezadowolona, ponieważ główne postacie dramatu umknęły z zasięgu jej wzroku.

Andrzej Drawski znowu dostał wezwanie do komendy wojewódzkiej MO. I wszystko zaczęło się jakby od początku. Kapitan Derko wrócił do dnia 14 stycznia.

– Właściwie jak to było z tą wycieczką do Chochołowa?

– Panie kapitanie – przerwał Drawski – proszę mi powiedzieć, o co chodzi? Wydawało mi się, że wszystko już zostało wyjaśnione?

– No, niezupełnie, niezupełnie...

Potem poproszono Andrzeja do drugiego pokoju, gdzie ustawiono go w jednym rzędzie z dziesięcioma innymi mężczyznami, mniej więcej tego samego wzrostu co on. Weszła najpierw gruba jejmość i bez słowa przeszła wzdłuż szeregu, przyglądając się z uwagą każdej twarzy. Potem wprowadzono starszego mężczyznę w mundurze kolejarza.

– Panie Kobusz – zwrócił się do niego Derko – niech pan się nie spieszy. Proszę dobrze się przyjrzeć.

Kiedy Andrzej znalazł się z powrotem w gabinecie Derki, powiedział z przekąsem:

– No i co, kapitanie? Konfrontacja niezbyt się panu udała?

Derko był nieco speszony.

– Wypada mi znowu pana przeprosić – oświadczył

niechętnie. – Musi mnie pan jednak zrozumieć... nie spotykamy się tu w celach towarzyskich...

– Oczywiście. Ale wnioskuje z pańskich „zabiegów”, że nadal pan kogoś poszukuje. Sądziłem, że po aresztowaniu Mirki Pelskiej uzyskał pan już odpowiedź na zasadnicze pytanie: „kto zabił?”

– Tak... tak... Wyłoniły się jednak pewne komplikacje... Może nie tak istotne, ale jednak wymagające dokładnego sprawdzenia. Czternastego stycznia widziano nieznanego osobnika, który wysiadł w Zarytem z pociągu sądeckiego. Ten mężczyzna poszedł piechotą wzdłuż rzeki do Rabki. Wrócił prawdopodobnie tą samą drogą i wsiadł do pociągu odjeżdżającego z Zarytego o 22.10.

– Ach tak... – powiedział z namysłem Andrzej. – To dlatego wypytywał mnie pan, czy dobrze znam okolice Rabki? Ale w jaki sposób mogłem odbyć taką skomplikowaną drogę – Sącz-Zaryte-Rabka i znowu Sącz, a rano zdążyć do autobusu z Bukowiny do Rabki? Przecież to nie mogłem być ja.

– Kie musiałyby pan jechać aż do Sącza. Na przykład co by pan powiedział o Mszanie Dolnej? Po dokładnym przestudiowaniu rozkładu jazdy autobusów i pociągów nabiera to pewnych cech prawdopodobieństwa. Wspomniał pan o wycieczce do Chochołowa. Z Chochołowa- ma pan bardzo dobry autobus, który wyjeżdża na szosę krakowską w Zaborni, powyżej Rabki. Potem można pojechać jeszcze kawałek na Lubień i tam przesiąść się do autobusu jadącego przez Kasinkę Małą do Mszany Dolnej. W ten sposób, omijając niewielkim łukiem Chabówkę i Rabkę, można dostać się z Chochołowa do Mszany Dolnej.

– Ale po co?

– Żeby nie wysiadać z pociągu czy też z autobusu w samym środku Rabki, gdzie ktoś mógłby pana zobaczyć i później rozpoznać.

– Ale ja przyjechałem autobusem z Bukowiny i wysiadłem w samym środku Rabki.

– Niestety, nie mamy na to żadnego dowodu. Poza tym mógł pan wyjechać z Mszany Dolnej w niedzielę pierwszym

autobusem o szóstej rano, dojechać do szosy zakopiańskiej i tam poczekać na autobus z Bukowiny.

– Krótko mówiąc, znowu nie mam alibi?

– Raczej nadal pan nie ma alibi – roześmiał się Derko. – Ma pan denerwujący zwyczaj przebywania nie wiadomo gdzie i to właśnie wtedy, kiedy kogoś mordują albo kiedy ktoś dokonuje włamania do mieszkania denatki.

Andrzej wyszedł z gabinetu Derki o 14. Spojrzawszy na zegarek zaczął biec, wymijając na schodach ludzi, którzy spoglądali na niego ze zdziwieniem. Niedaleko komendy złapał taksówkę. Był już spóźniony na umówione spotkanie. Rano zadzwoniła do niego pani Lidka Rogalska. Prosiła o rozmowę, ale nie chciała spotkać się z nim w kawiarni. Powiedziała, że nie może wyjść z domu i nalegała, żeby przyszedł do niej o drugiej.

Profesor Rogalski mieszkał w dzielnicy willowej, w niewielkim „domku jednorodzinny”. Drzwi otworzyła pani Lidka. Była niewiarygodnie zmieniona. Zazwyczaj używała zbyt jaskrawych szminek, teraz twarz miała zupełnie nie umalowaną, bujne włosy zgarnęła do tyłu i spięła byle jaką klamrą. Wyglądała o wiele młodziej. Andrzej ze zdziwieniem stwierdził, że jest zupełnie ładną kobietą.

Makijaż wyostrza rysy i postarza, ale żeby aż tak? – pomyślał, witając się z profesorową.

Wprowadziła go do niewielkiego saloniku. Na stoliku stały przygotowane filiżanki i dzbanek z kawą.

– Napije się pan kawy? Jest jeszcze gorąca... Spodziewałam się pana nieco wcześniej...

– Dziękuję... Proszę się nie gniewać, ale piłem niedawno.

– Bardzo proszę – powiedziała nalewając aromatyczny płyn do małych filiżanek – kawa i papieros ułatwiają rozmowę. Kiedy jestem zdenerwowana, zawsze papieros pomaga mi przebrnąć przez najgorsze... – uśmiechnęła się. – Przynajmniej wiadomo, co zrobić z rękami. – Upiła łyk kawy i natychmiast odstawiła filiżankę.

– Proszę mi powiedzieć prawdę... Niech pan się nie gniewa,

że przystępuję tak obcesowo do rzeczy... ale przecież pan wie, że nie zaprosiłam pana na salonową rozmowę... Panie Andrzeju, błagam pana. niech mi pan powie, co się przydarzyło mojemu mężowi!... Muszę wiedzieć.

— Dlaczego pani właśnie mnie o to pyta?

— Wiem, że pan znalazł jakieś papiery kompromitujące mojego męża. Adam jest w okropnym stanie. Niewiele mogę się od niego dowiedzieć. Boję się o niego. Dlatego nie chciałam się spotkać z panem w jakiejś kawiarni. Prawię nie wychodzę z domu. Wydaje mi się, że moja obecność może go powstrzymać od jakiegoś rozpaczliwego kroku... Rozumiem, że pana dziwi moja szczerość... Znam tyle osób z instytutu, ale z nikim nie jestem zaprzyjaźniona. Pan wydaje mi się rozsądnym człowiekiem, a poza tym... pan wie więcej od innych.

— Chyba jest pani w błędzie – powiedział niepewnie Andrzej.

— Nie, nie myślę się... wiem o tym... Adam ostatnio jest stale wzywany na milicję... Spodziewa się w każdej chwili aresztowania... ale chyba nie to jest najgorsze. Wreszcie on jej nie zabił. Był przecież wtedy w Krakowie... Powiedział mi, że wszystko się skończyło... sukcesy naukowe, kariera, nazwisko, wszystko przepadło... Czy to prawda?

— Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

— Nie chce pan... Mój Boże...

— Dlaczego domaga się pani wyjaśnień... właśnie teraz, natychmiast i to ode mnie?

— Nie rozumiem... Tam za ścianą siedzi człowiek w skrajnej rozpacz. Jak mogę mu pomóc? On uparcie milczy... Czy to prawda... – pani Lidka zawahała się – czy to prawda, że jego ostatnia praca, za którą spodziewał się dostać „Nobla”, nie jest jego oryginalną pracą?

— Obawiam się, że nie dostanie tej nagrody...

— Ach tak... więc to prawda...

Profesorowa milczała przez chwilę.

— To będzie dla niego trudne do przeżycia... Ale musi się bronić. Nie przed kompromitacją, na to już nie ma rady... w tej sytuacji. Ale nie może dać się wciągnąć w sprawę o zabójstwo.

Andrzej patrzył na nią ze zdziwieniem.

– Sądzi pani, że profesor nie miał z tym nic wspólnego? – zapytał ostrożnie.

– A miał?

– Pani Lidko! Czy pani naprawdę tego nie rozumie, że śmierć Agaty była ściśle związana z oszustwem naukowym, którego dopuścił się profesor?

– Nie, to nieprawda! – powiedziała Rogalska stanowczo. Na jej twarzy pojawił się rumieniec. Drżącą ręką zapaliła papierosa. Andrzej obserwował ją bacznie. Ze zdziwieniem zauważył, że oczy pani Lidki robią się szkliste od łez.

– Niech mi pan pomoże... – powiedziała cicho.

– W jaki sposób mogę pani pomóc? – zapytał nieco zmieszany.

– Wczoraj wtargnął do nas ojciec Mirki Pelskiej. Adam nie chce z nikim rozmawiać, ale on po prostu siłą wdarł się do jego gabinetu. Zamknęli drzwi, ale Pelski krzyczał tak, że słyszałam... oczywiście nie wszystko. „Pan musi ją z tego wyciągnąć” – wołał. – „Ja pana wyciągnąłem, pana i pańskiego przyjaciela”. Mój mąż odpowiedział mu cicho, a on krzyczał coś o rozbitym samochodzie... Nie rozumiem, o co chodzi. Adam nigdy nie rozbił swojego wozu... Zresztą to przecież takie nieważne...

– Nie wiem, o co mogło chodzić – Andrzej wziął do ręki filiżankę, ale zaraz ją odstawił. – Naprawdę nie potrafię pani pomóc.

– Pelski szantażuje mojego męża. Jestem o tym przekonana. Niech pan z nim porozmawia. Może uda się panu czegoś dowiedzieć. Sądzę, że nie chce, żeby Adam powiedział coś, co mogłoby ostatecznie obciążyć Mirkę.

– Pani Lidko, rozumiem, że pani chwytą się każdej możliwości, ale to, co mi pani powiedziała, o niczym nie świadczy. Proszę się nie gniewać, ale obawiam się, że rzekomy szantaż Pelskiego jest tylko wytworem pani fantazji.

– Nie! Jestem pewna! Niestety nie słyszałam całej rozmowy, ale nawet z tych urywków można się było domyślić, że Pelski ma Adama w ręce. Krzyczał: „Miał jej pan pomóc! Miał pan się nią zająć!...” Jak już wspomniałam, mój mąż mówił bardzo

cicho, więc nie wiem, co mu odpowiedział. Pelski jeszcze dodał: „Na studia dostałaby się bez pańskiej pomocy. To zdolna dziewczyna... Mówił pan o karierze naukowej... ładna kariera... za kratkami...” Nagle drzwi się otwały i stanął w nich Adam. Spojrzał na mnie prawie z nienawiścią. „Co tu robisz – powiedział. – Idź stąd natychmiast! Wynoś się”. Nigdy nie był wobec mnie taki brutalny.

– Tak, to dziwne... Ale może nie mieć żadnego związku ze sprawą.

– Więc dlaczego ojciec Mirki tu przyszedł? Czego chciał od Adama?

– Nie wiem... Po prostu szukał ratunku dla swojej córki, tak jak pani teraz szuka dla swojego męża.

– Myślałam, że pan mi pomoże...

– W jaki sposób?

– Pan jest kolegą Mirki... Może pan porozmawiać jakoś z Pelskim. Ja nie byłabym w stanie... Zresztą on nie będzie chciał ze mną mówić.

– Prawdopodobnie ze mną również nie zechce.

Pani Lidka spojrzała na Drawskiego z nagłą pasją.

– Domyślam się, dlaczego pan nie chce mi pomóc.

– Nie rozumiem.

– Pan by wolał, żeby wszystko zostało tak, jak jest. To jest dla pana wygodne.

Andrzej wpatrywał się w nią bez ruchu.

– O czym pani mówi? – wycodził przez zaciśnięte zęby.

– Mamy winnych, mamy motyw, czego jeszcze szukać? Motywy! Motywy, jakie mógłby mieć Adam, są równie dobre jak pańskie! Z tą różnicą, że Adam nie mógł tego zrobić, bo był w tym czasie w Krakowie i ma na to świadków. A pan? Gdzie pan był w dniu morderstwa? O ile się nie mylę, nie ma pan alibi?

– Skąd pani może wiedzieć, czy mam alibi, czy nie?

– Nie docenia pan swoich kolegów! Przecież byli przesłuchiwani i nie potrafili powiedzieć, gdzie pan był 14 stycznia po południu. Cały instytut o tym mówi. Może Mirka jest niewinna?! I mój mąż nie ma z tym nic wspólnego?

— A jakie miałbym powody, czy o tym również mówi „cały instytut”?

— Pański wyjazd do Stanów.

— Co takiego? — Andrzej powoli wstał.

— Niech pan nie udaje zdziwionego — Pani Lidka również wstała. — Dobrze pan wie, o czym mówię. Od dwóch miesięcy kotłuje się sprawa pańskiego wyjazdu na trzy lata na stypendium do Instytutu Chemii w Massachusetts. Stypendium dla młodego, „zdolnego” chemika, o dużych możliwościach rozwojowych. Trembicki stawia pańską kandydaturę. Tylko pan jeszcze nie ma doktoratu. Prawda? Niewiele panu brakuje do ukończenia pracy i Trembicki twierdzi, że jest pan najzdolniejszym młodym chemikiem w instytucie. Ale Adam sprzeciwił się. Pański dorobek naukowy jest stosunkowo niewielki i trudno na jego podstawie twierdzić, czy istotnie powinien pan skorzystać z tej niezwyklej szansy. W grudniu mąż zaproponował Agatę, która może nie była najzdolniejszym pracownikiem instytutu, ale mogła już się pochwalić jakimś dorobkiem. No a poza tym spełniała warunek formalny: — była po doktoracie.

— Jeżeli profesor istotnie zaproponował Domańską, to...

— Niech pan nie udaje, że pan o tym nie wiedział.

— Skąd mogłem o tym wiedzieć? — zapytał Drawski z nie tajoną złością.

— Od Trembickiego.

— Nic mi o tym nie mówił. Profesor postawił kandydaturę Agaty, bo ją chciał przekupić, chciał się jej pozbyć. Ale widać Agata nie przyjęła tej łapówki i dlatego musiała zginąć.

Lidka Rogalska zaczęła się śmiać. Jej nieprzyjemny, histeryczny śmiech nagle się urwał.

— A może musiała zginąć, żeby nie przeszkadzać panu w zrobieniu kariery? Teraz dyrektorem instytutu zostanie Trembicki. Pańskie szanse wzrastają. Pan jest jego pupilem... Wszyscy wiedzą, że Trembicki lubi młodych przystojnych

chłopców...

Andrzej wykonał gwałtowny ruch, jakby chciał się na nią rzucić, ale w ostatniej chwili się opanował. Stał przez chwilę, z dziką wściekłością wpatrując się w Rogalską.

— Jest pani... jest pani... — nie dokończył Odwrócił się, odepchnął fotel, o który się potknął i skierował się w stronę drzwi. Pani Lidka biegła za nim, krzycząc rozedrganym głosem, na pograniczu płaczu i histerycznego śmiechu.

— Byłam szalona, byłam szalona, prosząc pana o pomoc! — Wypadła za nim na korytarz. — Pan zrobiłby wszystko, żeby go pogrążyć! Pan jest mordercą!

Oparła się o drzwi wejściowe, które przed sekundą zatrzasnęła za sobą Andrzej i zaczęła głośno, spazmatycznie płakać.

Drawski biegł przez mały ogródek. Na ulicy rozejrzał się, jakby nie wiedział, w którą ma iść stronę. Wreszcie oddalił się szybkim krokiem.

Za rogiem wszedł do budki telefonicznej. Na grubym łańcuchu wisiała książka telefoniczna. Otworzył ją na literze „P”. Po chwili znalazł to, czego szukał: „Władysław Pelski — Zakład Samochodowy, ul. ...” Wyciągnął z kieszeni notes i zapisał adres.

Było po dwunastej, kiedy Andrzej Drawski wrócił do domu. Matka i Dorota już spały. Nie chciał ich budzić, więc poszedł cicho do kuchni, zaświecił lampkę i długo jeszcze siedział nad nie dopitą filiżanką herbaty.

Na drugi dzień rano opowiedział Dorocie o swojej wizycie w komendzie, o podejrzaniach Derki i o spotkaniu z profesorem Rogalską.

— Nie wyobrażasz sobie, jaki byłem wzburzony. Ale jednak postanowiłem porozmawiać z Pelskim. Z tego, co słyszała Rogalska, wynikało, że ojciec Mirki oddał jakąś niebagatelną przysługę profesorowi i to ładnych parę lat temu, skoro była mowa o przyjęciu córki na uczelnię. Pojechałem do tego zakładu samochodowego. Pelski ma tuż koło warsztatu ładny, luksusowo urządzonej domek jednorodzinny. Oczywiście, jak

przewidywałem, nie chciał ze mną rozmawiać. Niewiarygodnie kręciłem, żeby z niego coś wyciągnąć, ale był nieufny i nie ukrywał niechęci. Właściwie potraktował mnie bardzo opryskliwie. W końcu powiedziałem: „Panie Pelski, wiem, jakiej robótki podjął się pan dla profesora parę lat temu. Stary łobuz wykiwał pana”. Wtedy zupełnie się wściekł. Ryknął: „Spływaj pan i to zaraz!” A jego synek, który akurat się pojawił, chwycił mnie za krawat i wypchnął za drzwi. Uzupełnił lakoniczną wypowiedź starego krótkim monologiem: „Słyszałeś, łajzo, co tatuś powiedział? Spieprzaj stąd i żebym cię tu więcej nie widział”. Zatrzasnął mi drzwi przed nosem.. Natychmiast zacząłem się dobijać do tego cholernego domu. Dzwonić, pukać, wreszcie walić pięściami w drzwi. Brat Mirki uchylił je na chwilę. Wtedy powiedziałem szybko, żeby nie dopuścić go do głosu: „Wydawało mi się, że chce pan wyciągnąć swoją siostrę z więzienia? Ale jak pan woli chronić Rogalskiego, to już pańska sprawa. Gdyby pan się rozmyślił, niech pan do mnie zadzwoni”. Ryknął tylko z pasją: „Rany Boskie! Pysk ci skuję, jak się nie odczepisz”! i już definitywnie zamknął drzwi. Krótko mówiąc niczego się nie dowiedziałem. Żałowałem nawet, że się w to mieszałem. Ale me mogę przecież iść do Derki i powtórzyć tej idiotycznej rozmowy z Rogalską... On i tak mnie podejrzewa...

Dorota słuchała z uwagą, wpatrując się w Andrzeja. Nie odezwała się ani słowem, nie zadała żadnego pytania. Siedziała spokojnie nad rozłożonym skryptem z „Równań różniczkowych”, a kiedy Andrzej skończył mówić, zaczęła powoli przewracać kartki, jakby usiłowała wrócić mimo wszystko i wbrew wszystkiemu do nauki.

– Dorota, powiedz coś. Dlaczego się nie odzywasz? – zaniepokoił się. Drawski.

– Co ja mogę powiedzieć? Jestem już tym wszystkim bardzo zmęczona...

– Ale nie rób takiej miny, jakbyś... – nie dokończył.

– Dlaczego się denerwujesz? On ma rację.

– Kto?!

– Derko.

— Jak to! Uważasz, że to byłem ja?!

— Nie, ale mogłeś być ty. Dlatego trudno mieć do niego pretensję. Po prostu musi wziąć pod uwagę i tę ewentualność.

— Tak, mogłem... Mogłem w jakiś kombinacyjny sposób dostać się do Mszany Dolnej, potem do Zarytego. Mogłem również straszyć cię telefonami i kiedy opuściłaś dom, włamać się do mieszkania Agaty... Co jeszcze według ciebie mogłem zrobić?

— Wydaje mi się, że nie powinniśmy o tym rozmawiać. To nie ma sensu.

— Dlaczego.? To ma sens! Dla mnie dość zasadniczy.

— Jesteś przewrażliwiony. Wiesz, Andrzej — powiedziała powoli — ja chyba wyjadę do Wrocławia.

— Jak to?

— Za tydzień zaczyna się sesja. Niepotrzebnie tu siedzę. Nie mogę się uczyć... A poza tym nie chcę już o tym wszystkim słyszeć...

Andrzej popatrzył na nią z uwagą.

— Oczywiście, masz rację, jedź do Wrocławia. Nie możemy tak dalej tkwić koło siebie i udawać, że nic się nie stało. Już raz uciekałaś przede mną.. Teraz znowu...

— Andrzej, przestań...

— Ależ tak, tak, Dorotko. To ja przyjechałem pociągiem do Zarytego i przez pole doszedłem piechotą do Rabki. Musisz i tę ewentualność wziąć pod uwagę. Pod domem Rawiczów czekałem, aż wyjdzie Pelska. Teraz już wiesz, dlaczego chciałem pozbyć się profesora i Agaty. Musiałem jednak sfabrykować dowody przeciw Mirce. Wiedziałem o pracy Gębickiego od Agaty. Przed wyjazdem do Rabki opowiedziała mi o wszystkim. Mało tego. Dała mi konspekt pracy Gębickiego do przechowania. „Schowaj to — powiedziała. — Jak będę to miała przy sobie, mogę się załamać i oddać te papiery Rogalskiemu”. W ten sposób dała mi do ręki broń przeciw Mirce i profesorowi. Mogłem wszystko na nich zwalić, mogłem dostarczyć milicji motyw zbrodni i równocześnie pozbyć się ich raz na zawsze. Pomógł mi przypadek. Ten niedokończony list Agaty, „...za Luboniem” napisała. Kelnerka ze „Zdrojowej”

wyrecytowała mi ten list z pamięci. Poczulem, że to jest jedyna okazja. Długo siedziałem wtedy w kawiarni i kombinowałem, jak to wykorzystać. No i wymyśliłem. Przyznasz, że to był genialny pomysł. Pojechałem do Krakowa. Odwiedzałem cię codziennie, ale nigdy nie mogłem zostać sam w domu, żeby umieścić kopertę z pracą Gębickiego pod tapczanem. Sama mi to ułatwiłaś, prosząc o dorobienie dodatkowego klucza. Po co ci były potrzebne dwa klucze? Nie mogę tego zrozumieć. Ale nieważne. Dalej to już wiesz, jak było. Z tą tylko różnicą, że nie szukałem niczego w mieszkaniu Agaty. Po prostu przykleiłem kopertę pod tapczanem i zrobiłem bałagan, żeby wyglądało, że ktoś czegoś szukał. Potem pojechałem do Rabki, porozmawiałem z kelnerką. Musiałem przecież mieć świadka, że byłem w kawiarni, bo właśnie wtedy rzekomo znalazłem kartkę Agaty za obrazem. Oczywiście żadnej kartki tam nie było. Derce dałem wymiętoszoną i zalaną kawą serwetkę z bibułki. Żaden diabeł by nie odczytał, co na niej napisano. Kapitan był bardzo niezadowolony, ale ponieważ wszystko się sprawdziło i znalazł konspekt pracy Gębickiego, pogodził się z tym faktem. Poza tym panna Kazia ze „Zdrojowej” zeznała, że istotnie tego dnia byłem w kawiarni, że z nią rozmawiałem, a nawet płacąc rachunek coś wspomniałem o jakimś ważnym odkryciu, które podobno miało związek z wiszącym na ścianie zdjęciem. A więc? Derko mógł mi tylko podziękować za pomoc.

— Po co mi to wszystko opowiadasz? — zapytała zmęczonym głosem Dorota.

— Żebyś nie musiała wysilać swojej fantazji. Wymyśliłabyś swoją wersję, może mniej udaną, ale na pewno ja byłbym twoim podejrzanym Nr 1. Oczywiście nie powiedziałałabyś mi o tym. Udawałabyś, że nic się nie stało. A więc jedź lepiej do Wrocławia.

— Nie wierzę w tę całą historię.

— Doprawdy? Masz już lepszą?

— Jesteś niesprawiedliwy.

— Ależ nie. Jestem tylko bardzo sprytny. Zwróć na to uwagę. Zamiast tłumaczyć ci, że jestem niewinny, opowiedziałem ci prawdziwą historię w taki sposób, że czujesz się zawstydzona i

naturalnie nie uwierzyłaś w nią.

O to mi właśnie chodziło.

Drawski zgasił papierosa i skierował się w stronę drzwi, ale jeszcze na chwilę się zatrzymał.

— Żałuję, że zostałam w Krakowie. Sądziłem, że będę ci mógł pomóc, że nie będziesz się czuła taka samotna. Ale teraz widzę, że źle się stało. Wyjedź. Jak wszystko się skończy, napisz. Może będę mógł zapomnieć o tym, co zniszczyło naszą przyjaźń.

— Mój Boże, jaki jesteś patetyczny... i niesprawiedliwy...

W jej głosie było tyle żalu, że Andrzej spojrzał na nią jeszcze raz z uwagą. Bardzo źle wyglądała. Buzia zrobiła jej się prawie trójkątna.

Zeszczuplała ostatnio – pomyślał i wyszedł z pokoju. Dorota wybiegła za nim.

— Wychodzisz?

Drawski ubierał się pośpiesznie.

— Tak. Bądź co bądź jeszcze jestem pracownikiem instytutu. W każdym razie dopóki ty z Derką nie postanowicie inaczej.

— Do której będziesz w instytucie?

— Nie wiem. Do widzenia, Dorotko. Chciałbym, żebyś została, ale nie będę zdziwiony, jeżeli wyjedziesz nawet dziś.

Dorota stała jeszcze przez chwilę w korytarzu i patrzyła szeroko otwartymi oczami na drzwi, które przed chwilą zatrzasnęły się za Andrzejem.

— Jednak chyba się boję – powiedziała półgłosem.

Z kuchni wyszła mama.

— Mówiłaś coś?

— Nie, nie, nic...,

— Andrzej wyszedł?

— Tak i nie wiem, kiedy wróci...

Tego dnia pani Teresa była w wyjątkowo złym humorze. Od samego rana pastwiła się nad panią Połą, która usiłowała nie odrywać wzroku od papierów. Kiedy zadzwonił telefon, pani Teresa ostentacyjnie wstała i zaczęła pilnie szukać czegoś w szafie wśród segregatorów.

Niech się ruszy – pomyślała ze złością, tym większą, że jednak woląla wiedzieć, kto i do kogo dzwoni.

– Pani Tereso, to do pani – powiedziała pokornie Pola i uciekła z powrotem do swojego biurka.

– Halo, słucham – odezwała się Teresa nieco obrażonym tonem.

– Dzień dobry, pani Tereso. Mówi Dorota Domańska.

– Ach, to pani? Nie poznałam w pierwszej chwili.

– Muszę koniecznie z panią porozmawiać. Widzi pani, ja już wyjeżdżam do Wrocławia i chciałabym się z panią pożegnać. Była pani dla mnie taka miła...

– Ależ oczywiście, pani Dorotko, może spotkamy się po czwartej gdzieś w kawiarni albo wpadnie pani do mnie do domu?

– Nie, nie, dziękuję... Widzi pani, ja jestem właśnie w instytucie.

– Ach, tak? U pana Andrzeja?

– Nie. Jestem na portierni. Wolalabym uniknąć spotkania z innymi osobami. Pani rozumie?

– Oczywiście, oczywiście. Wzięła pani przepustkę?

– Tak, do Wydziału Finansowego.

– No to świetnie. Zaraz zejść do głównego hallu i gdzieś sobie siądziemy. Może w stołówce? Ale nie. Tam może ktoś wpaść. Już wiem. Na parterze mamy „Pokój Wypoczynkowy”. Nikt tam nie przychodzi. Zaraz będę na dole.

Teresa spojrzęła na panią Połę triumfalnie, warknęła „Będę za pół godziny” i wybiegła z pokoju. Do Rady Zakładowej wpadła jak burza.

– Gdzie jest klucz od „Pokoju Wypoczynkowego”? – krzyknęła na młodą dziewczynę siedzącą przy biurku. – Wreszcie w tej strasznej instytucji człowiek powinien mieć możliwość usiąść gdzieś na chwilę w spokoju i ciszy. Od czego właściwie jest ten cały pokój!

Przerażona dziewczyna zaczęła grzebać w biurku.

– O tej porze nikt tam nie siedzi...

– A o jakiej porze? Po pracy to ja wypoczywam w domu! Po co w ogóle zamykacie na klucz?

– Bo tam jest telewizor...

– No to co? Przecież nie wyniosę go na plecach – huknęła pani Teresa i wyrwała przerażonej paniencie klucz z ręki.

W „Pokoju Wypoczynkowym” poza telewizorem stały jeszcze wygodne fotele, małe stoliczki i stojaki z gazetami. Pani Teresa natychmiast się rozgościła.

– Przynieść pani kawy? Może herbaty?

– Nie, dziękuję bardzo. Ja tylko na chwilę. Chciałam pani podziękować za życzliwość... i w ogóle... Nie mam ochoty zegnać się tu z nikim więcej.

– Moje biedactwo. Naprawdę bardzo pani współczuję. Została pani teraz zupełnie sama...

– Czy mogę panią prosić, żeby pani oddała do czytelnicy te dwa tomy chemii nieorganicznej. Wolałabym nie pokazywać się tam, bo w ogóle niechętnie widuję się z... kolegami Agaty.

– Rozumiem, rozumiem – powiedziała domyślnie pani Teresa. – Ale te książki nie pochodzą z instytutu. Nie mają pieczętek naszej czytelnicy.

– Nie? – zdziwiła się Dorota. – Byłam przekonana, że... zresztą głupstwo, mnie one nie są potrzebne; skoro już je przyniosłam...

– Jak pani uważa, ale można je sprzedać w antykwariacie.

– Ach nie -- zaprotestowała Domańska. – Może jednak napiłabym się kawy, gdyby to nie sprawiło pani zbytniego kłopotu? Trochę zmarzłam.

– Zaraz przyniosę. Przyjechała pani autobusem?

– Taksówką. Ale mimo to zmarzłam.

Dorota popijała kawę małymi łydkami i wyraźnie nabierała ochoty do dalszej pogawędki. Dopytywała się o różnych ludzi z instytutu, a pani Teresa z rozkoszą odpowiadała w nadziei, że sama dowie się również czegoś ciekawego.

– Gębicki? Ależ to mruk i odludek! – mówiła z ożywieniem, kiedy Dorota zapytała, czy docent ma jakąś dziewczynę – Czyżby się pani podobał?

Ach, nie! Skąd znowu. Pani pracuje w instytucie od wielu lat. Zna pani wszystkich starych pracowników. Niech mi pani powie, czy on zawsze był taki?

— No, niezupełnie. Swego czasu robił wrażenie bardzo zarozumiałego. Nie zadawał się z „normalnymi śmiertelnikami”. Doszłam jednak do wniosku, że to po prostu dziwak. I chyba rzeczywiście zdziwaczał w ciągu tych kilku lat do reszty.

— Z nikim się nie przyjaźni, prowadzi taki samotny tryb życia, a przecież musi dosyć dobrze zarabiać? Co on robi z pieniędzmi?

— Ej, Dorotko! — zaśmiała się Teresa. — Jednak wpadł pani w oko?

— Niech pani nie żartuje. Po prostu jestem ciekawa. Ludzka rzecz.

— Oczywiście.

— Może odkłada na samochód? Nie ma chyba samochodu?

— Kiedyś miał — powiedziała pani Teresa, która w pełni zasługiwała na miano wszechwiedzącej. — Ale go sprzedał. Pewnie ze skapstwa.

— Miał samochód? No, proszę. Dawno go sprzedał?

— Czy ja wiem... Jakies sześć, siedem lat temu.

— A jaki to był samochód? Chyba przyjeżdżał nim do instytutu?

— O ile pamiętam, całkiem dobry wóz. Zielony Volkswagen. Narzekał że go za dużo kosztuje eksploatacja. Oczywiście! Autokar instytutu jest o wiele tańszy. Początkowo usiłował naśladować profesora Rogalskiego. Samochód, ważna mina, ale to trochę za mało, żeby zostać prawdziwym naukowcem. Toteż przysiadł po kilku latach. Pani wie, że on odkąd się habilitował, podobno niczego już nie zrobił?... Skończył się. Różnie tu mówią o tej habilitacji.

— A kiedy to było?

— Co?

— No, kiedy się habilitował?

— Wiele lat temu. Miał dosyć czasu, żeby coś zrobić. Mógłby już złapać „profesora nadzwyczajnego”.

— Nie potrafi pani powiedzieć dokładnie, w którym roku się habilitował?

— Dlaczego pani na tym zależy?

— Pani Tereso! Proszę, niech się pani dowie! To dla mnie

bardzo ważne.

– Ale o co chodzi?

– Niech mi pani odda tę przysługę. Przecież to nie jest żadna tajemnica służbowa.

– No, oczywiście, że nie... Mogę przy okazji sprawdzić.

– Ale ja już dzisiaj wyjeżdżam.

– Chce to pani wiedzieć teraz? Od razu?

Niech pani się nie gniewa. Bardzo panią o to proszę...

Teresa wstała niechętnie.

– Spróbuję... ale... – Była wyraźnie niezadowolona. Zupełnie straciła orientację, o co chodzi. 'Wreszcie widocznie doszła do wniosku, że jeżeli spełni prośbę Doroty, może wyjaśni się, dlaczego jej na tym tak zależy. Westchnęła ciężko, żeby dać do zrozumienia, że wymaga się od niej zbyt dużego wysiłku, i wyszła.

Wróciła po 15 minutach.

– Gdyby nie to, że wszystkich znam w sekretariacie, nigdy bym się nie podjęła takiej szczególnej misji.

– Dowiedziała się pani? – zapytała niecierpliwie Dorota.

– Oczywiście. Więc kolokwium habilitacyjne docenta Dębickiego odbyło się 13 czerwca 65 roku.

– Jest pani tego pewna?

– Pani Dorotko!

– Więc 13 czerwca 65 roku?

– Tak, tak...

– Dziękuję pani – Domańska uścisnęła ją i pocałowała w policzek. – Bardzo pani dziękuję. Wygrałam zakład!

– Co takiego?

– Założyłam się, że Gębicki habilitował się przed 66 rokiem.

– No wie pani! – Teresa była oburzona, ale Dorota podziękowała jeszcze raz, pożegnała się i bardzo szybko wyszła.

Teresa wróciła do pokoju wściekła. Czowała się oszukana i nabrana. Smarkuła – powtarzała sobie w duchu. Pani Pola widząc, jak Teresa rzuca papierami po biurku, ulotniła się spieszenie z pokoju.

Tymczasem Dorota Domańska nie opuściła od razu instytutu. Zaczepiła kilka osób na korytarzu pytając, gdzie może znaleźć

woźnego Gorgula, wreszcie trafiła wąskim korytarzem do bocznego skrzydła, w którym znajdował się pokój „prywatny” najstarszego „pedla” w instytucie. Gorgul siedział w swojej graciarni i coś majstrował przy małym warsztacie ślusarskim zainstalowanym pod oknem.

— Dzień dobry panu. Jestem siostrą Agaty Domańskiej. Myślałam, że już pana nie znajde — powiedziała siadając na jakimś połamanym krześle.

Gorgul przyglądał się jej z ponurym wyrazem twarzy.

— Co, znowu pani zgubiła klucze? — zapytał wreszcie.

— Nie, skądże. Ale właściwie przyszałam do pana istotnie w sprawie kluczy. — Zaczęła grzebać w torebce. — Widzi pan, ten klucz wprawdzie otwiera zamek, ale bardzo ciężko wchodzi... no, trzeba go na siłę dopychać. Pan rozumie?

— Nie bardzo.

— Myślę, że jest odrobinę za gruby. Byłam akurat w instytucie i pomyślałam, że mógłby go pan trochę podpłować.

— Niech no pani pokaże ten drugi — powiedział niechętnie Gorgul.

Dorota pośpiesznie wyjęła kółko z kluczami.

— Są identyczne... No, ale jeżeli pani chce... — i już bez żadnych komentarzy odwrócił się do Domańskiej plecami, pochylając się nad swoim warsztatem.

— Proszę pana, niech się pan nie gniewa, ale czy pan Drawski zapłacił panu za robotę. Zapomniałam go o to spytać.

— Zapłacił, zapłacił. Całe trzydzieści złotych — powiedział z przekąsem.

— Jeżeli za mało, chętnie dopłacę, ile się należy. Tym bardziej, że miał pan zrobić dwa.

— Jakie dwa? Co wyście z tymi kluczami?!

— Prosiłam Andrzeja o dwa... musiał zapomnieć... Myślałam, że odda pan później.

— Wie pani co, mam już dosyć tych pani kluczy. Zarobiłem trzy dychy, a gadania tyle koło tego, jakby miały być ze złota.

— Ależ ja tylko tak zapytałam...

— Nie, nie o panią chodzi. Już tu nade mną pan Andrzej nawydział i na milicję mnie wzywali. Co jest, do diabła!

Jeszcze nigdy nie miałem takiej pechowej „fuchy”. Od razu na wstępie obrugał mnie Gębicki.

— Gębicki? A co on miał do powiedzenia w tej sprawie?

— A miał, miał. Słyszał, jak rozmawiałem w korytarzu z panem Andrzejem, że mu dorobię w ciągu dnia klucz do mieszkania pani Domańskiej, i przyleciał tutaj za mną ze strasznym krzykiem. Pani nawet nie wie, co to za facet. Nieużyta, złośliwa gadzina.

— Ale o co mu chodziło?

— Że niby w godzinach pracy robię „fuchę”, a on mnie szuka i nie może znaleźć. Kazał mi natychmiast jechać na UJ. z jakimiś próbkami. Podobno laborant był piekielnie zajęty, a goniec mu się nie podobał, że nieodpowiedzialny. Powiedziałem, że to do mnie nie należy, ale tak nalegał, że w końcu pojechałem. Cóż wreszcie robić. Pół dnia na to zmarnowałem, bo musiałem jeszcze czekać na profesora Zimowicza, który był właśnie na wykładzie, a Gębicki zażyczył sobie, żeby koniecznie Zimowicz osobiście pokwitował odbiór. Oczywiście pan Andrzej potem się jeszcze gniewał na mnie, bo musiał czekać na te klucze.

— Ależ ten Gębicki... — powiedziała z podziwem Dorota

— Jestem przekonany, że zrobił mi to na złość. Stary kutwa. Nie da zarobić nikomu ani grosza. No, teraz to już będzie dobry — powiedział Gorgul podając Domańskiej gotowy klucz.

— Nie wiedziałam, że docent jest taki, jak pan mówi... nieużyty... i skąpy...

— Oho! Czy pani wie, że kiedyś przyszedł do mnie tutaj i sam sobie dorobił klucz do biurka? Żeby tylko nie wydać paru złotych. Chciałem mu już za darmo to zrobić, ale prawie się obraził. Powiedział, że to żadna sztuka, jak się ma narzędzia i szablony. Widzi pani — otworzył metalowe pudełko pełne szablonów — za takie coś dał mi dziesiątaka. Czy to nie wstyd? Przecież gość dobrze zarabia, a patrzy, żeby zaoszczędzić na takim głupstwie te dwadzieścia złotych. Niby że to dla zabawy. „Sam potrafię, panie Gorgul, niech mi pan pozwoli się zabawić”. Zawracanie głowy. Skąpiec i tyle.

— Dziękuję panu bardzo. Ile jestem winna?

— Nic. Nie wezmę od pani ani grosza i niech mi pani nie daje

żadnej roboty, bo mi przynosi niefart.

— Bardzo mi przykro... no, ale dziękuję i do widzenia.

— Do widzenia — mruknął.

Po chwili Dorota szła zaśniewoną aleją Kasztanową w stronę szosy krakowskiej.

Dwadzieścia minut ostrego marszu — pomyślała spoglądając na zegarek, kiedy wreszcie dojrzała do przystanku autobusowego. Na szczęście nie musiała długo czekać na autobus. W Krakowie na placu Szczepańskim złapała taksówkę i już po kilku minutach siedziała w czytelni, zawzięcie studiując „Gazetę Krakowską” z 14 czerwca 1965 roku.

Więc jednak miałam rację — powiedziała sobie w duchu. — Co robić? Co dalej?

Postanowiła jak najszybciej skontaktować się z Andrzejem. Jeszcze z czytelni zadzwoniła do instytutu. „Jest w Pawilonie A” — ktoś ją poinformował. „Owszem, był, ale już wyszedł” — odpowiedziała jakaś pani, kiedy się wreszcie dodzwoniła do Pawilonu A.

— Ale czy wyszedł z instytutu?

— Tak. Chyba pojechał do domu — odpowiedział kobiecy głos.

— Czy pani musi stąd dzwonić? — powiedziała z niezadowolaniem starsza pani siedząca przy kartotece. — Tu przecież jest czytelnia, a nie budka telefoniczna.

Dorota przeprosiła, podziękowała i wyszła.

Na ulicy Wiśniowej nie zastała nikogo. Andrzej widocznie jeszcze nie dojechał, a pani Drawska musiała gdzieś wyjść.

Kiedy wróci? Czekać czy nie? — zastanawiała się Domańska.

Stała chwilę przed domem, wreszcie zdecydowała się. Wyrwała kartkę z notesu i pośpiesznie napisała: Spieszę się. Idę do Gębickiego. Kartkę złożyła na pół i wetknęła w szparę w drzwiach.

Jednak pod domem Gębickiego znowu się zatrzymała. Była już na schodach, ale nie odważyła się zadzwonić. Wyszła na ulicę i z budki telefonicznej zadzwoniła jeszcze raz do Andrzeja. Nikt nie odebrał telefonu.

Trudno — powiedziała sobie i wróciła pod dom docenta.

Dopiero po drugim dzwonku usłyszała zbliżające się kroki. W drzwiach stanął Gębicki. Twarz miał szarą, nie ogoloną. Bez słowa wpatrywał się w nią ponurym, ciężkim wzrokiem.

Może on naprawdę jest chory? – pomyślała speszona, ale wzięła głębszy oddech i zapytała w miarę swobodnym tonem.

– Nie zaprosi mnie pan do środka?

– Przepraszam. Byłem tak zaskoczony, widząc panią tutaj... Proszę, niech pani wejdzie...

Wprowadził, ją do niewielkiego pokoju. Panujący w nim nieład zdziwił Dorotę. W oknie zasunięta zasłona, na tapczanie porozrzucane ubrania i zmięta pościel, z nie domkniętych szuflad biurka wystawały jakieś papiery.

– Nie spodziewałem się gości. Jestem chory... Musi mi pani wybaczyć ten bałagan.

Dorota rozpięła płaszcz i bez zaproszenia usiadła w fotelu. Gębicki patrzył na nią, pocierając szczupłymi palcami czoło.

– Ależ pani jest podobna do swojej siostry – powiedział bezbarwnym tonem i usiadł w drugim fotelu. – Czemu zawdzięcza pani wizytę?

– Chciałam się panu zrewanżować. Odwiedził mnie pan w ciężkiej chwili, sądzę, że nadeszła teraz pańska chwila. W czym mogłabym panu pomóc?

– Pomóc? Pani chce mi pomóc? – Gębicki nie ukrywał zdziwienia. – Pani jest w błędzie. Wprawdzie jestem chory, ale nie potrzebuję niczyjej pomocy.

– Potrzebuje pan, ale już nikt nie jest w stanie jej panu udzielić. Pańska choroba to strach, którego nigdy się pan nie pozbędzie.

– Cóż to za bajeczki pani opowiada?

– Nie boi się pan?

– Nie – powiedział Gębicki z kwaśnym uśmiechem i znowu potarł palcami czoło.

– Ależ tak! Od 13 czerwca 65 roku boi się pan. To ze strachu sprzedał się pan Rogalskiemu.

– Sprzedał Rogalskiemu?! O czym pani mówi! Czego... czego miałbym się bać?

– Trzynastego czerwca w nocy znaleziono na szosie

zakopiańskiej zwłoki kobiety potrąconej przez nie zidentyfikowany samochód. To był pański wóz. Zielony Volkswagen. I to pan siedział za kierownicą. Rogalski wyciągnął pana z kłopotu. On i ojciec Mirki, Władysław Pelski. Fachowa robota. Nikt nic nie wie. Myślał pan pewnie wtedy, że Rogalski jest pańskim dobroczyńcą. Uratował pana. Nie spodziewał się pan, że każe sobie za to słono zapłacić, że odbierze panu to, co miał pan najcenniejszego, że szantażem zmusi pana do milczenia. A potem było już za późno, żeby mówić cokolwiek. Zniszczyłoby to nie tylko Rogalskiego, ale również pana, małego człowieczka, tchórza, przypadkowego zabójcę i być może największego chemika naszych czasów.

— Dosyć! Dosyć tych bzdur! Pani jest szalona!

— Ciekawa jestem, czy kapitan Derko będzie tego samego zdania.

— Zbieżność pracy Rogalskiego z moimi planami była przypadkowa. Nie wiedziałem, że Rogalski zajmuje się tą samą problematyką... On był pierwszy... i jego praca była bardziej zaawansowana.

— Tak pan powiedział Derce? Po prostu wypadek?

I przypadkowo pan był dłużnikiem Rogalskiego? Przepadkowo profesor zatuszował sprawę wypadku na szosie krakowskiej, zmontował panu alibi i zajął się uszkodzonym samochodem? Był pan gotów wtedy zapłacić każdą cenę za tę przysługę. Tylko nie wiedział pan, e cena ma być aż tak wysoka. Dlaczego zabił pan Agatę?

— To nie ja!

— Pan! Pan! Pan! – krzyknęła Dorota. Zerwała się z fotela. — To pan wszedł w Mszanie Dolnej do sądeckiego pociągu! To pan przyszedł pod dom Rawiczów, żeby przycziąć się, żeby zaczekać na odpowiedni moment, żeby wkraść się chyłkiem, podstępnie, żeby ją zabić! To pan włamał się do jej mieszkania! Chciał pan odzyskać konspekt swojej pracy. żeby uratować siebie i Rogalskiego! Co on za ten papier panu obiecał? Wolność? Jak miała wyglądać ta wolność? Co pan z nią zrobi? Może już nigdy nie napisze pan takiej pracy, jaką za pana napisał Rogalski!

– Niech pani posłucha... – powiedział Gębicki i wyciągnął do niej rękę, ale Dorota odskoczyła gwałtownie. Podbiegła do okna i szarpnęła zasłonę.

– Niech się pan do mnie nie zbliża! Nie jestem sama! Istotnie byłabym szalona, przychodząc tutaj sama – mimo woli spojrzała przez okno i zobaczyła jakiegoś mężczyznę stojącego pod oknem naprzeciwko. Zapalał właśnie papierosa i spoglądał w jej stronę. Wyciągnęła rękę, jakby chciała otworzyć okno, ale Gębicki już był przy niej. Odepchnął ją z taką siłą, że zatoczyła się na środek pokoju, i zasunął zasłonę. Dorota rzuciła się w stronę drzwi, ale on znowu był szybszy. Pod nogami zazgrzytały okulary, które spadły mu z nosa. Przez chwilę widziała jego bladą, spoconą twarz jak w powiększeniu. Zaczęła krzyczeć. Gębicki uderzył ją z całej siły w twarz.

– Wariatka! – z trudem łapał oddech. – Wariatka!

– Pan się przeliczył. Nie zdąży mnie pan zabić – powiedziała nie spuszczając z niego wzroku. Równocześnie gorączkowo myślała: Okno? Drzwi? Wołać pomocy? Może czymś uderzyć, ale czym?! – Jeżeli mnie pan wypuści, będę milczała – Gębicki pchnął ją z powrotem na fotel. – Niech mi pan... Niech mi pan uwierzy. Co mnie to obchodzi, co się z panem stanie. Chciałam tylko spojrzeć panu w twarz i powiedzieć, że jest pan mordercą... Nie zależy mi na tym, żeby pana ukarano...

Gębicki śmiał się. Najpierw bezdźwięcznie, potem odchylił głowę do tyłu i zaczął śmiać się głośno, aż zachłysnął się suchym kaszlem. Dorota powoli, ostrożnie próbowała się podnieść.

– Zaszczuliście mnie... – powiedział ochrypłym głosem, pełnym nienawiści – zagoniliście mnie na śmierć... wykończyli...

Dorota bardzo powoli szła w stronę drzwi.

– Nigdzie nie pójdziesz! Zostaniesz tutaj!

Nagle zdała sobie sprawę, że zęby jej szcękają jak w febrze. Poczula, że siły ją gwałtownie opuszczają. Położyła rękę na kłance i w tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Znieruchomiała.

Może listonosz albo sąsiadka – pomyślała.

— To oni! Niech pan otworzy.

Gębicki zasłonił jej ręką usta. Czekał. Dzwonek odezwał się ponownie, gwałtowny, jeden za drugim, równocześnie ktoś zaczął walić w drzwi. Podniosła ciężką jak z ołowiu rękę i oderwała dłoń Gębickiego od swojej twarzy.

— Za późno... Naprawdę jest już za późno... — powiedziała prawie szeptem. Stała oparta o ścianę i nie rozumiejąc już, co się dzieje, patrzyła, jak Gębicki idzie w stronę drzwi. Nie wiedziała, czy jej się tylko zdaje, czy naprawdę w małym korytarzyku zaroilo się od ludzi.

Gdzie jest Andrzej... — zdążyła pomyśleć i zemdląła.

Kiedy otworzyła oczy, znowu siedziała w fotelu. Ktoś podtrzymywał jej głowę.

— Niech pani to wypije.

Poczuła na ustach zimny brzeg szklanki. Z jakiejś nierealnej ciemności wyłoniła się twarz kapitana Derki.

To pan — chciała powiedzieć, ale głowa opadła jej z powrotem na oparcie fotela. Przez chwilę usiłowała sobie przypomnieć, co się stało.

— Jak się pani czuje? — usłyszała głos kapitana.

— Już... lepiej!... — z trudem wykrztusiła. Znowu otworzyła oczy. Koło biurka stało dwóch mężczyzn. Wyjmowali z szuflad jakieś papiery, powoli, systematycznie... Przez otwarte drzwi widać było siedzącego w korytarzu milicjanta.

Z kuchni dochodziły głosy. Derko przysunął sobie krzesło.

— Gdzie on jest? — spytała Dorota.

— Już go nie ma — odpowiedział.

— Jak to?...

— Zmienił lokal. Napije się pani jeszcze wody?

— Nie, dziękuję... A gdzie Andrzej?

— Miał tu przyjść?

— Zostawiłam mu kartkę...

— Tak, wiem...

— Skąd... pan... — nie dokończyła.

— To tajemnica służbowa — uśmiechnął się i mrugnął do niej porozumiewawczo.

W korytarza odezwał się jakiś głos i w drzwiach stanął

Andrzej. Milicjant chciał go zatrzymać, ale kapitan dał mu znak ręką i Drawski wszedł do pokoju, nie zwracając uwagi na obecnych.

– Dorotko! Co się stało?!

– Na szczęście nic – wyręczył ją Derko. – Skoro pan się wreszcie pokazał, bo pani Dorota właśnie pana wybrała sobie na „wybawiciela”, mogę z czystym sumieniem zostawić tę młodą damę pod pańską opieką. Ale dlaczego pani płacze?

Andrzej wyciągnął chusteczkę do nosa.

– Jak zwykle nie masz... – powiedział.

– Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli zabierze ją pan do domu. Porozmawiamy trochę później – zwrócił się do Domańskiej. – No, niech pani już nie płacze. Naprawdę nic się nie stało. Sierżancie, proszę odwieźć pana Drawskiego i panią na ulicę Wiśniową.

Trzy dni później siedzieli znowu w trójkę w pokoju Andrzeja przy stoliku zastawionym filiżankami z kawą. Mama Drawska wniosła półmisek pełen faworków.

– Więc jutro pani wyjeżdża? – zapytał kapitan Derko chrupiąc ciasteczka.

– Tak, za kilka dni zaczyna się sesja egzaminacyjna – odpowiedziała Dorota. – Miałam zamiar wyjechać wcześniej, ale ostatnie wydarzenia... w których tak niefortunnie uczestniczyłam... Zresztą pan by się pewnie nie zgodził na mój wcześniejszy wyjazd.

– Wiem, że wizyt w moim gabinecie nie można zaliczyć do najprzyjemniejszych spotkań towarzyskich, ale chyba pani rozumie, że musiała pani odpowiedzieć na kilka pytań i złożyć formalne zeznanie.

– Oczywiście.

– No, ale na szczęście ma pani już to wszystko za sobą. Należy teraz życzyć pani samych piątek na egzaminach.

– Obawiam się, że piątki pozostaną jedynie w sferze życzeń. Jestem niezbyt dobrze przygotowana.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie tak źle.

— Kapitanie, pan mi coś obiecał. Rozmowa w pańskim gabinecie ma charakter taki „urzędowy”, że nie miałam odwagi zadawać panu pytań. Proszę mi powiedzieć, skąd pan się wziął wtedy w mieszkaniu Gębickiego?

— To bardzo proste. Gębickiego obserwowaliśmy od dłuższego czasu. Pana zresztą również — wykonał żartobliwy ukłon w stronę Andrzeja. — Pani biegająca koło domu pana Andrzeja zainteresowała naszego wywiadowcę. Oczywiście był na tyle niedyskretny, że zaraz po pani odejściu przeczytał zatkniętą w drzwi karteczkę. Jeszcze pani nie dojechała do mieszkania Gębickiego, a ja już wiedziałem o jej zamiarach. Przyznam się, że byłem na panią wściekły. Mieliśmy już zebrane bardzo poważne dowody przeciw panu docentowi i bałem się, że pani coś narozrabia. Zresztą nie pomyliłem się — dodał żartobliwie, wywołując rumieniec na twarzy młodej matematyczki. — Poza tym pod domem Gębickiego stał mój człowiek. Miał panią zatrzymać, ale zmyliła go pani, cofając się ze schodów. Pobiegnęła pani do budki telefonicznej i to go zbiło z tropu. Kiedy ponownie weszła pani na klatkę schodową, nie zdążył zareagować w porę. Stał po drugiej stronie ulicy i obserwował dom, czekając na mój przyjazd. Szamotanina z Gębickim przy oknie nie uszła jego uwagi. Wszczął alarm. Baliśmy się, że istotnie mogło się stać coś poważnego.

— Tak, to było głupie z mojej strony. Nie wiedziałam, że i pan go podejrzewa. Myślałam, że to wyłącznie moje odkrycie.

— No, no, niech się pani tak nie tłumaczy. Wreszcie to pani sprowokowała go do wyznania prawdy. Był zaskoczony... Pani gwałtowny i może nieprzemyślany atak wytrącił go z równowagi. Nie miał czasu na zastanowienie, a nerwy odmawiały mu już posłuszeństwa. Tragiczna postać... Straszna, a zarazem tragiczna.

— Pan wiedział o tym wypadku na szosie krakowskiej?

— Owszem, kojarzyłem go z panem Gębickim. Oczywiście szukaliśmy w jego przeszłości jakiegoś śladu. Rogalski musiał o nim coś wiedzieć. Inaczej milcząca zgoda docenta na przywłaszczenie sobie jego pracy, byłaby niemożliwa. Okazało się, że Gębickiego kiedyś przesłuchiowano w sprawie tego

wypadku. "Nie będę pani zawracał głowy opisem żmudnych poszukiwań i czynności zupełnie technicznych. Krótko mówiąc, na miejscu wypadku pozostały ślady, na podstawie których milicja mogła określić markę samochodu, kolor i nawet w przybliżeniu rodzaj uszkodzeń. Wie pani, ślady opon, rozstawienie kół, kawałki szkła z rozbitego reflektora i lewego migacza, wreszcie mikroskopijne odpryski lakieru na ubraniu denatki. Zielonych volkswagenów w województwie krakowskim jest bardzo dużo. Zresztą wypadek miał miejsce na szosie zakopiańskiej, wprowadzie niedaleko od Krakowa, ale samochód mógł pochodzić, praktycznie rzecz biorąc, z każdego województwa. Ślady na szosie wskazywały na to, że samochód po wypadku zawrócił w stronę Krakowa. To wszystko. Ale po jakimś czasie trafiliśmy na Gębickiego. Pani sobie wyobrazi, co to za robota sprawdzać wszystkie volkswageny, nawet tylko w jednym województwie? Okazało się, że Gębicki 13 czerwca zdał kolokwium habilitacyjne. O czwartej po południu odbył się uroczysty obiad u Wierzyńka, na który świeżo upieczony docent zaprosił swoich kolegów. Obiad mocno zakrapiany. Koło godziny ósmej wszyscy się rozeszli. Profesor Rogalski złożył zeznanie, że zawiózł Gębickiego do siebie do domu, wypili jeszcze po koniaku, a ponieważ Gębicki był zupełnie pijany i zrobiło się już bardzo późno, został u profesora na noc. Pani Lidka przebywała wtedy w Bułgarii, ale gospościa profesora potwierdziła te zeznania. Sprawa wyglądała jednak dosyć niejasno. Samochód Gębickiego miał świeżo polakierowany prawy błotnik. I na to znalazło się wytłumaczenie. Dwudziestego czerwca, a więc tydzień po wypadku, Gębicki wstawił wóz do warsztatu Pelskiego. Zgięty błotnik, ostre rysy i rozbity reflektor. Znalazło się co najmniej dziesięciu świadków, którzy potwierdzili, że było to 20 czerwca. Z braku dowodów sprawę umorzono.

— Czy to możliwe, żeby Gębicki dopiero w tydzień po wypadku oddał wóz do lakierowania?

— Ależ nie. Z szosy zakopiańskiej wrócił prosto do profesora. Ten uruchomił natychmiast Pelskiego. Wóz doprowadzono do porządku jeszcze tej samej nocy i o świcie odstawiono.

Ponieważ w ciągu tygodnia nic się nie stało, a Pelski już miał „cynk” od swoich kolegów, że milicja szuka zielonego volkswagena, docent dwudziestego miał „kraksę” i z wielkim szumem wzięto wóz do warsztatu, żeby zatuszować do reszty ewentualne ślady.

— Mieli szczęście, że im się to udało.

— Trochę tak, ale z drugiej strony dla docenta, no i dla innych osób również, stałoby się lepiej, gdyby go wtedy złapano. Nie oskarżano by go dzisiaj o morderstwo. Rogalski byłby nadal dyrektorem instytutu, a pani siostra...

— No tak... Dlaczego... dlaczego on to zrobił?

— Gębicki przez siedem lat żył w nieustającym strachu. Nie potrafił się przeciwstawić Rogalskiemu, który w pierwszej chwili udawał jego przyjaciela, stopniowo uzależniając go od siebie. Po dwóch latach, kiedy Gębicki złożył plan swojej pracy, Rogalski bardzo długo przetrzymywał materiały Gębickiego. Kilkakrotnie z nim rozmawiał na ten temat, wmawiając mu, że praca jest niedojrzała, nonsensowna, zawiera wiele błędnych, wręcz kompromitujących stwierdzeń, mylna w samym założeniu itd. „Chcę pana ratować” mówił. „Pan nie zdaje sobie sprawy, w co się pan pakuje”. W pierwszej chwili Gębicki był gotów bronić się, ale stopniowo jego opór słabnął. Może już nie wierzył w życzliwość profesora, ale zaczął się go bać. W tym okresie odwiedził docenta kilkakrotnie Pelski, mówiąc, że nachodzi go milicja. Profesor zajął się sprawą. Zapewnił Gębickiego o swojej przyjaźni, nawet napomknął coś o znajomościach w prokuraturze i milicji. Równocześnie zwierzył się, że od wielu lat pracuje nad podobnym problemem naukowym i właśnie dlatego wie, jak dalece Gębicki się myli w swoich dociekaniach. Jak go zdołał osaczyć, nie potrafię pani dokładnie powiedzieć. W każdym razie docent postanowił milczeć i zapłacić wyznaczoną cenę. Spółka zaczęła prosperować, Gębicki znienawidził swojego „wybawcę”, ale mu służył.

Po jakimś czasie pani Agata zauważyła, że stosunek jej szefa do docenta jest niewłaściwy. Nie знаła całej prawdy, ale próbowała stanąć w obronie Gębickiego. Między Domańską a Rogalskim doszło na tym tle do nieprzyjemnych scysji, które w

rezultacie doprowadziły do zerwania ich przyjaźni. Wtedy pojawiła się Mirka Pełska. Od początku korzystała z wyjątkowych praw. Agata przeniosła się do pracowni Trębickiego i przestała się zupełnie interesować starym zespołem.

Ogłoszenie wyników przez Rogalskiego, jego pierwsze publikacje, które przyniosły mu międzynarodowy sukces, były dla Gębickiego ciosem nie do zniesienia. Nie mógł się z tym pogodzić, a z drugiej strony nie widział wyjścia z sytuacji. Na równi z Rogalskim bał się panicznie ujawnienia prawdy. Nienawidził go, ale strach przed kompromitacją i skandalem paraliżował wszelkie ewentualne próby wyzwolenia się. Gębicki nie chciał pokazać światu swojej prawdziwej twarzy, twarzy człowieka zaszczutego i okradzionego. Wstydział się tchórzostwa, a równocześnie za wszelką cenę pragnął uniknąć odpowiedzialności karnej za śmierć tamtej kobiety z szosy zakopiańskiej. Wydawało mu się, że gdyby teraz miał trafić do więzienia za tamtą sprawę, jego siedmioletnia niewolnicza praca nie miałaby sensu.

Nagle na arenę wkroczyła pani siostra. Postawiła ultimatum: w ciągu miesiąca profesor miał ogłosić, że współautorem naukowych odkryć jest Gębicki. Było już na to trochę za późno. Agata wyjechała do Rabki, zostawiając Rogalskiego w przerażającej sytuacji. Profesor poinformował Gębickiego, jakim materiałem dysponuje Domańska. Za zwrot papierów zaproponował mu wyjazd do Massachusetts. To była możliwość ucieczki. Docent miał zamiar nie wracać do Polski. Wprawdzie obawiał się, że nie tak łatwo mu będzie wystartować w Stanach, nie legitymując się żadnym poważniejszym osiągnięciem naukowym, ale wierzył w swoje siły i miał nadzieję nadrobić stracone lata. W każdym razie obietnicę profesora potraktował jako chęć zakończenia rozrachunków między nimi.

Przez trzy tygodnie nie mógł się jednak zdecydować na żadne działanie. Papiery Agata prawdopodobnie zabrała ze sobą do Rabki (Rogalski dał mu do zrozumienia, że już przeszukał jej mieszkanie). Na wszelki wypadek zrewidował jeszcze biurko pani siostry w instytucie. Tymczasem profesor zaczął się

niecierpliwić. Wtedy Rogalski posłużył się Mirką. Ułożyli wspólnie plan i przystąpili do realizacji. Nie mieli chwili do stracenia. To była ostatnia sobota urlopu Agaty! Za tydzień miała wrócić do Krakowa. Dlaczego właśnie tego samego dnia Gębicki zaczął również działać? Prawdopodobnie z tychże powodów. Poza tym dowiedział się, że profesor postawił kandydaturę Domańskiej na wyjazd do Stanów. Wpadł w panikę. Poczul się oszukany. Jedyna szansa ucieczki wymykała mu się z rąk. Zrozumiał, że profesor chce kupić papiery „z pierwszej ręki”, nie oglądając się na niego. Postanowił więc za wszelką cenę odzyskać konspekt, wyjechać do Massachusetts i wtedy odegrać się na swoim prześladowcy. Papierów oczywiście nie oddałby. Zwlekałby do ostatniej chwili, a mając już paszport w kieszeni powiedziałby, że ich nie odnalazł albo że je zniszczył.

Były mu potrzebne. Miał zamiar za granicą złożyć publiczne oświadczenie, motywując chęć pozostania w Stanach oszustwem, jakiego się dopuścił Rogalski. Oczywiście ewentualne zeznania profesora w sprawie wypadku samochodowego nie miałyby już wtedy żadnego znaczenia – zostałyby potraktowane jako oszczerstwo rzucone na Gębickiego przez zemstę. Docent liczył, że na pewno znalazłby w Stanach opiekunów i obrońców, a prasa zrobiłaby resztę.

Wolna sobota i niedziela w instytucie dawały mu większą swobodę działania. Nikt się nie interesował, jak spędza czas poza pracą taki odludek jak Gębicki. Wyjechał z zamiarem popełnienia morderstwa. Nie łączono jego osoby z Agatą. Wiedział, że podejrzenie padnie na Rogalskiego albo na Mirkę Pelską, a w najgorszym wypadku na żonę profesora, ponieważ wzajemne stosunki tych trojga były publiczną tajemnicą. Liczył się również z możliwością rozmowy z Agatą i odzyskania papierów bez zastosowania „drastycznych metod”.

Tego dnia rano widziano go jeszcze w Krakowie. Najpierw odbył podróż autobusem do Mszany Dolnej przez Wieliczkę i Dobczyce. Potem dojechał pociągiem do Żarytego. W ten sposób dostał się do Rabki „od drugiej strony”; omijając Myślenice i Chabówkę. Okolice i samą Rabkę Gębicki znał dosyć dobrze. Dwukrotnie spędzał wakacje w „Stasinie”. Tak

więc bez trudu odnalazł willę Rawiczów. Przez jakiś czas stał w zagajniku obserwując dom. Kiedy zobaczył Mirkę oddalającą się w stronę poczty, zrozumiał, że los mu sprzyja. Zrezygnował natychmiast z ewentualnej rozmowy, wiedząc, że Pelskiej trudno się będzie oczyścić z podejrzeń. Obszedł dom dookoła, żeby się zorientować w przybliżeniu w rozkładzie mieszkania. Nie miał jeszcze gotowego planu, jak i kiedy dostać się do środka. Zobaczył oświetlone okno i drzwi balkonowe, które właśnie otwierała Agata. Poznał ją natychmiast. Stał pod drzewem i obserwował, jak krząta się po pokoju. Wlała resztę herbaty z dzbanka do filiżanki stojącej na stoliku koło tapczanu, zebrała brudne naczynia i wyszła. To był ten odpowiedni moment... Agata nie wiedziała, że nieśmiały, oszukany człowiek, w którego obronie stawiała, wcale sobie tego nie życzył...

— No dobrze — powiedział z namysłem Andrzej — ale skąd Agata miała konspekt pracy Gębickiego?

— O, to długa, aczkolwiek zupełnie prosta historia. Rogalski przez dłuższy czas przechowywał konspekt w swoim biurku, w oddzielnej teczce. Dwa lata temu Mirka Pelska zaczęła się trochę orientować w sprawie. Pracowała już w zespole Rogalskiego. Koniecznie chciała zdobyć te papiery. „Na wszelki wypadek”, jak sama powiedziała. Czekwała na odpowiednią okazję. I rzeczywiście udało jej się pewnego dnia wyciągnąć klucze od biurka z teczki profesora, podczas gdy o 11 sam był zajęty w pracowni. Musiała się bardzo spieszyć, aby profesor niczego nie zauważył. Otworzyła biurko i wyjęła teczkę. Ale nie miała jej gdzie schować. Na korytarzu kręcili się jacyś ludzie, poza tym bała się, że w każdej chwili może wejść profesor. Było wtedy lato i Mirka miała na sobie lekką sukienkę, takie „nic” z kolorowej szmatki, więc schowanie papierów „pod kapotę” nie wchodziło w rachubę. W gabinecie Rogalskiego stoi wielka oszklona szafa wypchana książkami i papierami. Jest wprawdzie zamykana na klucz, ale bardzo często klucz tkwi w zamku. Tak też było tego dnia. Mirka wsadziła teczkę głęboko za książki i wybiegła z pokoju. Miała zamiar oczywiście wrócić po swoją zdobytą nieco później, ale tak się złożyło, że tego

dnia profesor nie odstępował jej na krok i nie mogła przyjąć po papierach. Na drugi dzień szafa była zamknięta. Kiedy wreszcie po trzech dniach znalazła się sama w gabinecie i szafa stała otworem, okazało się, że teczki nie ma już za książkami. Pelska była przerażona, ale oczywiście czekała, co będzie dalej. Ponieważ nic się nie stało i Rogalski zdawał się o niczym nie wiedzieć, uznała sprawę za niebyłą. Sądziła, że znalazł teczkę, ale niczego nie podejrzewając pomyślał, że sam ją tam schował przez roztargnienie. Wreszcie było jej zupełnie obojętne, co sobie pomyślał, skoro nie nagabywał jej w tej sprawie. Oczywiście skłamałaby w razie potrzeby. O wiele później jeszcze raz przeszukała biurko profesora, ale bezskutecznie, więc zrezygnowała z tego „dodatkowego argumentu”, którym miała się posłużyć w odpowiednim momencie. Dla Pelskiej sprawa teczki była zakończona aż do chwili wyjazdu Agaty do Rabki, kiedy to niespodziewanie konspekt pracy Gębickiego stał się groźnym dowodem przeciw Rogalskiemu i spółce. Inaczej rzecz się miała z profesorem. Zauważył zniknięcie teczki. Wprawdzie nie od razu, ale zauważył. Któraś rozmowa z Agatą na temat jego „stylu pracy” i jego stosunku do pracowników naukowych niższego stopnia, a w szczególności do Gębickiego, uświadomiła mu, że trzyma w biurku „dynamit”. Postanowił spalić papiery, które przestały mu być potrzebne. No i wtedy okazało się, że ich nie ma. Przewrócił swoje biurko do góry nogami i nie znalazł ich. Chodził przez jakiś czas zgłębniony. Był przekonany, że papiery wykradł sam Gębicki, ale z rozmowy z nim wynioskował, że docent o niczym nie wie. Zaczął podejrzewać Agatę, ale przekonał się jednak, że Agata nie ma nawet pojęcia o istnieniu tych papierów. Więc czekał. Pan może sobie przypomina, że był taki okres, w którym mówiło się o przerwaniu prac przez Rogalskiego. Tłumaczono to sobie przemęczeniem, przepracowaniem i chwilowym załamaniem. Przez trzy miesiące pracownia Rogalskiego była zamknięta naглуcho. Profesor powoli wracał do równowagi. Rzekomy złodziej milczał i profesor podjął badania na nowo. Czuł pewien niepokój, ale minął rok, i nic się nie stało, więc zupełnie się uspokoił i z czasem zapomniał o tym incydencie.

Pięć miesięcy temu, podczas wakacji, przeprowadzano remont instytutu. W pierwszych dniach sierpnia zaczęto malować gabinet Rogalskiego. Profesor był na urlopie, tak jak zresztą większość pracowników. W tych dniach wróciła do Krakowa pani Agata. Miała już skierowanie do szpitala, ale jeszcze przez kilka dni przychodziła do instytutu, aby uporządkować swoje sprawy służbowe. Podczas remontu malarze rozbili szybę w szafie stojącej w gabinecie Rogalskiego. Sekretarka, która czuwała nad sanktuarium pana dyrektora, zawołała szklarza i ślusarza, żeby otworzył szafę. Nasi dzielni rzemieślnicy wprawdzie naprawili szkodę, ale wywalili przy tej okazji książki z dwóch półek na ziemię. Sekretarka poprosiła Agatę, która właśnie zajrzała do gabinetu, żeby jej pomogła w uporządkowaniu szafy, tym bardziej że nie znając się na fachowej lekturze obawiała się, że ułoży wszystko nie w tej kolejności, co potrzeba, i po powrocie z urlopu profesor zbeszta ją za bałagan. Kiedy zaczęły wymiatać kawałki szkła z szafy, Agata wyciągnęła papierową teczkę. Tkwiła w szparze między półką a tylną ścianą. Pelska musiała ją w pośpiechu wsadzić zbyt głęboko i teczka spadła za książki. po czym zsunęła się o dwie półki niżej, gdzie zaklinowała się, zasłonięta grubymi tomami. „To jakieś stare papiery” powiedziała wtedy Agata do sekretarki. Przejrzała materiały pobieżnie i oświadczyła, że odda je profesorowi albo Gębickiemu. „To na pewno nie jest odpowiednie miejsce do przechowywania starych dokumentów” zadecydowała. Ale nie oddała teczki ani profesorowi, ani docentowi. Zanim wrócili z urlopu, Agata leżała już w szpitalu. W październiku, na drugi dzień po wyjściu ze szpitala, wyjechała do Krynicy. Prawdopodobnie nie знаła jeszcze wtedy publikacji Rogalskiego, który ogłosił swoje rewelacyjne wyniki w połowie września. Wróciła niespodziewanie w pierwszych dniach grudnia, chociaż miała być w sanatorium jeszcze do 15. Sądzę, że w Krynicy poczuła się na tyle dobrze, że zaczęła nadrabiać zaległości w lekturze pism fachowych i oczywiście natknęła się na publikację Rogalskiego. To chyba już wszystko... Dalszy ciąg jest już panu znany...

Kapitan Derko przerwał, spoglądał zmieszany na Dorotę,

która znowu płakała.

- Przepraszam panią, nie powinienem tyle o tym mówić.
- Sama chciałam... chciałam wiedzieć wszystko...
- Niech pani postara się o tym zapomnieć jak najszybciej.
- Tak... to już skończone...

Andrzej zerwał się.

– Kawa zupełnie wystygła. Napijesz się? Zaraz zaparzę świeżą.

Dorota bezradnie spojrzała na stół posypany cukrem z faworków.

– Dlaczego pan nie je? Mama Drawska będzie się na nas gniewała – uśmiechnęła się do kapitana. – Wygląda pan na zmęczonego. Należy się panu urlop.

– Mam teraz sporo roboty, ale myślę, że w przyszłym miesiącu uda mi się wyrwać gdzieś w plener na jakieś dziesięć dni.

– Wyjeżdża pan na urlop? – zapytał Andrzej, który właśnie wrócił do pokoju.

– Chciałbym.

– Gdzie? Do Zakopanego?

– O nie! Za dużo tam ludzi, jak na mój gust. Kozoń zaprosił mnie na ślub swojej siostrzenicy, Joli Parasiówny. Zostanę u niego z tydzień albo dwa. A pan. Jedzie pan do Stanów?

– Nie... Zrezygnowałem ze stypendium... Mam tu ważniejsze sprawy do załatwienia – powiedział Andrzej spoglądając niepewnie na Dorotę.



— Pan się przeliczył. Nie zdąży mnie pan zabić — powiedziała nie spuszczając z niego wzroku. Równocześnie gorączkowo myślała: Okno? Drzwi? Krzyzec? Może czymś uderzyć, ale czym?! — Jeżeli mnie pan wypuści, będę milczała. — Pchnął ją z powrotem na fotel. — Niech mi pan uwierzy...

Śmiał się. Odchylił głowę do tyłu i zaczął się głośno śmiać, aż zachłysnął się suchym kaszlem.

Powoli, ostrożnie podniosła się... Krok za krokiem zbliżała się ku drzwiom. Położyła rękę na klamce... i w tym momencie rozległ się dzwonek.

Znieruchomiała. Może listonosz albo sąsiadka?

— To oni! Niech pan otworzy.

Zasłonił jej usta ręką... Dzwonek odezwał się ponownie, gwałtowny, jeden za drugim, równocześnie ktoś zaczął walić w drzwi. Podniosła ciężką jak z ołowiu rękę i oderwała jego dłoń od swojej twarzy.

— Za późno... Naprawdę jest już za późno... — powiedziała prawie szeptem.

Cena zł 16.-

ISKRY